

Wc. II 1.
TOM CCLXXXIV.

ROK 71.

ZESZYT 851.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

L I S T O P A D.

1911.

TOM IV.—ZESZYT 2.

2

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. WARSZAWA ZA RZĄDÓW RADY ZASTĘPCZEJ TYMCZASOWEJ, przez <i>Wacława Tokarza</i>	209
2. KARTKI Z PAMIĘTNIKA MICHAŁA STARZEŃSKIEGO	245
3. Z DZIEJÓW ESTETYKI POLSKIEJ,—przez <i>Michała Sobieskiego</i>	268
4. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>d-ra Józefa Flacha</i>	277
5. POEZYZA I PRZYRODA W JAPONII,—przez <i>Remigiusza Kwiatkowski- skiego</i>	302
6. MAURZYCY MAETERLINCK,—przez <i>Orwida</i>	317
7. PODSTAWY ETYKI SCHOPENHAUERA,—przez <i>d-ra Zygmunta Bu- jakowskiego</i>	343
8. PIŚMIENICTWO: PAWEŁ LOUIS: „Dzieje socjalizmu we Francji do 1908 roku włączy- nie,—przez <i>Wacława Dunina</i>	365
ADAM WOLBERG: „Obwiniam prasę polską!“—przez <i>W. D.</i>	369
WACŁAW BERENT: „Ozimina,“ powieść,—przez <i>Henryka Gallego</i>	371
MAURZYCY MANN: „Rozwój syntezy literackiej,“—przez <i>M. Kridla</i>	377
D-R KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI: „Studia z zakresu statys- tyki wędrówek,“—przez <i>d-ra Zygmunta Gargasa</i>	381
LATOSIŃSKI JÓZEF: „Monografia miasteczka Wilamowic na podstawie źródeł autentycznych,“—przez <i>Ig. B.</i>	389
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Rewizya spraw katolickich, jej rezultaty i możliwe następstwa.— Statystyka samobójstw.—Groźne cyfry.—Samobójstwa dzieci i młodzieży.—Brak środków zaradczych.—Jubi- leusz Towarzystwa Szkoły Ludowej w Galicyi.—Rezultaty dwudziestoletniej działalności.—Kronika teatralna	392
10. WSPOMNIENIA POZGONNE: ś. p. Franciszek Kostrzewski, ś. p. Filip Zaleski i ś. p. Zofia Trzeszcz- kowska,—przez <i>L. W.</i>	407
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	412



De. I. 1.

WARSZAWA

za rządów Rady Zastępczej Tymczasowej

(19/IV—27/V 1794).

Historia Warszawy w czasie między zwycięstwem 17 i 18 kwietnia 1794 r. a objęciem rządów przez Radę Najwyższą Narodową w dniu 28 maja ma wydatne znaczenie w dziejach powstania Kościuszkowskiego. Kierownicy powstania byli wówczas odcięci od stolicy, nie mogli więc ani określić wyraźnie celów i charakteru ruchu, ani też wprowadzić w życie organizacyi naczelnej, zapowiedzianej przez Akt Krakowski. W tych warunkach odpowiedzialność za pierwsze kroki powstania na znacznym obszarze ziem Rzpltej przypadła w udziale władzy prowizorycznej, stworzonej w stolicy doraźnie, nazajutrz po walce. Władza ta nie zdołała ostatecznie sprostać swemu zadaniu: złożyła się na to przede wszystkim wyjątkowa trudność położenia, w dużej jednak mierze — i chwiejność oraz brak orientacyi politycznej u ludzi, należących do jej składu. Doprowadziło to do bardzo poważnych następstw dla całego powstania, a w samej Warszawie — do głębokiego rozdziwienia umysłów, którego nie mogła usunąć później Rada Najwyższa Narodowa.

Jest to więc okres pewnej niemocy w historii powstania, tem dziwniejszej, że nie wynikała ona z braku sił, ale z nieumiejętności ich użycia. Ludzie, należący do składu Rady Zastępczej Tymczasowej, byli zaskoczeni tym silnym ruchem ludowym, jaki objawił się 17 i 18 kwietnia i nie potrafili skierować go w odpowiednie łożysko, dopuszczając przez to, że stopniowo zamienił się on w chroniczny stan fermentu, zagrażający poważnie sile

i jedności powstania. Jedna więcej karta z tej tak dobrze znanej u nas historyi dużego entuzjazmu, który nie zdołał wyszukać sobie przywódców; trzeba ją jednak przypomnieć, bo na niej, choć bezładnie i bez rezultatu, zapisał się poraz pierwszy udział szerszych warstw ludowych w walce o lepszą przyszłość Rzpltej.

I.

Krwawe zwycięstwo warszawskie doprowadziło do rozbicia głównego ośrodka oporu przeciw powstaniu i uczyniło je ruchem całego narodu. A jednak, choć pozbawiło ono Igelströma prawie połowy armii, nie było tak decydującem, aby uwolnić Warszawę na dłuższy przeciąg czasu od niebezpieczeństwa i uczynić z niej pewną zupełnie podstawę dla dalszych działań. Igelström, który wyszedł ze stolicy z 200 zaledwie ludźmi, nie cofnął się w kordon pruski, nie poszedł na Litwę, ale zajął stanowisko pod Nowym Dworem, później pod Zegrzem, ściągnął tam ku sobie oddziały z Pragi i Grannego, okopał się i czekał. W Karczewie zatrzymał się Nowicki, mogący z pomocą Apraksina i Arapowa zgromadzić w krótkim czasie do 7000 ludzi. Nieprzyjaciel pozostał więc w pobliżu stolicy i wkrótce dał znać o sobie przez te straszne rabunki, których wypierał się nawet Igelström. W pobliżu znajdowali się również i Prusacy. Z początku popierali oni Rosyan słabo, do połowy maja wysyłali nawet parlamentarzy do oddziałów polskich z zapytaniami, czy i ich się uważa za nieprzyjaciół; starali się oni jednym słowem wytworzyć przekonanie, że narazie są w rezerwie. W Warszawie wiedziano dobrze, że znaczniejsze siły skupiają oni koło Częstochowy, że w okolicach Płocka, Sochaczewa, Łowicza ich wojsk jest mało; równocześnie jednak dowiadywano się wciąż o tem, że ściągają oni na gwałt posiłki przez Poznań, sprowadzają ciężką artyleryę oblężniczą. Nasuwało się więc przypuszczenie, że wkrótce razem z Igelströmem i Nowickim zagrożą oni Warszawie, nieposiadającej fortyfikacji i większego garnizonu, niezdolnej do wytrzymania krótkiego nawet oblężenia.

Obawy te nie ustały, gdy Nowicki ruszył w kordon pruski dla połączenia się z Igelströmem, który cofnął się powoli ku Łowiczowi. Wciąż przygotowywano się do oblężenia, powiększano garnizon, sypano szańce, zbierano zapasy. Stolicy długo groziło widmo głodu, bo Igelström zabierał wszystkie statki ze zbożem

na Bugu i Narwi, a od górnego biegu Wisły zatrzymywały je oddziały Apraksina, Arapowa i Bagrejewa; zboże trzeba było kupować za drogie pieniądze od administracyi magazynów austryackich w Warszawie lub sprowadzać je łądem aż z lubelskiego. To też w tydzień niespełna po zwycięstwie stolica poczęła wzywać pomocy. 24 kwietnia Zakrzewski i Mokronoski pisali do Grochowskiego, prosząc, „ażeby, jeżeli ordynansem Naczelnika do innych obiektów nie jest zajęty, albo całkowicie, albo częścią na pomoc i utrzymanie tego miejsca od zemsty nieprzyjaciół przybył.“ Później, stale i natarczywie domagano się przybycia Kościuszki; była o tem mowa w każdym raporcie Rady. „Zawsze jednym wyrazem moje pisanie do Ciebie Naczelniku będzie, powtarzał ciągle Zakrzewski, ażebyś zbliżał się do nas, wiernych, przywiązanych i posłusznych Tobie.“ A nawet wtedy, gdy garnizon zwiększono poważniej, Mokronoski obawiał się operacyi na dalszą odległość, licząc się ciągle z niebezpieczeństwem, grożącym miastu. Wprawdzie w końcu kwietnia wykomenderowano Haumana nad Pilicę przeciw Nowickiemu, dla wzięcia udziału w większej akcji, jaką zamierzał podjąć Naczelnik; gdy jednak 12 maja tenże Hauman dostał od Grochowskiego rozkaz maszerowania na Opatów, Zakrzewski i Mokronoski wstrzymali na własną rękę ten ruch, nakazany może i przez Kościuszkę, „znając, że Warszawa jest w animadwersyi.“ Dopiero pod koniec omawianego przez nas okresu, gdy Kościuszko połączył się z Grochowskim i zwrócił przeciw połączonym wojskom rosyjsko-pruskim, położenie Warszawy—na krótki zresztą czas—stało się pewniejszym.

Następnie—do tego czasu również—nie posiadano w Warszawie wyraźnych, pomyślnych wiadomości o położeniu Kościuszki. W doniesieniach Rady, w gazetach zjawiały się wzmianki o jego powodzeniach; mówiono nawet o tem, że Denisow jest prawie zmuszony do kapitulacyi, a Naczelnik lada dzień zjawi się w Warszawie. W istocie jednak panowały tu wciąż obawy, krążyły pogłoski mocno pesymistyczne o sytuacji Kościuszki. Trudno im było zapobiedz, zwłaszcza przez cały kwiecień, gdy z obozu nieotrzymano żadnej odpowiedzi na liczne doniesienia z Warszawy. Pierwszy raport o walce wysłano Kościuszcze 21 kwietnia o godz. 10 rano przez trzech kuryerów, którzy ruszyli prawym brzegiem Wisły, na Galicyę; drugi—24 kwietnia przez dwóch: Michała Sokolnickiego, podpułkownika inżynierii litewskiej, i Leopolda Sierpińskiego, znanego spiskowca. Od wysłania pierwszych kuryerów minęło 10 dni, od emisaryuszy Kościuszki, którzy przyby-

wali wciąż zachęcać Warszawę do powstania, wiedziano, że paru z nich spotkano już w Galicyi; 30 kwietnia jednak wrócił Sierpiński, oświadczając, że nie mógł dotrzeć do obozu. Dopiero 1 maja o godz. 6 rano przybył Sokolnicki, wyprzedziwszy wszystkich kuryerów, bo z pierwszych trzech tylko Ojrzanowski wrócił 2 maja. Przybycie jego zdjęło ciężką troskę z serc ludzi, stojących na czele rządu. „Między licznymi pogłoskami, pisano Kościuszcze, które w troskliwej publiczności o obrotach i stanie Twoim się szerzyły, pierwsze te odezwy do nas nie mogły tylko w całym tu obywatelstwie największą sprawić radość.“ Sokolnicki odbył swą podróż w ciągu niespełna 9 dni i wracał napewno lewym brzegiem Wisły, gdyż musiał jechać manowcami, a raz nawet—w ciągu 36 godzin ukrywać się w pobliżu oddziałów rosyjskich i pruskich. W stolicy nie zbywało nigdy na chętnych do podobnych wypraw; w tym czasie skłonności wszystkich do poświęceń los dzielnego kapitana artylerji Karola Möllera, którego Prusacy tak surowo traktowali w więzieniu piotrkowskiem, nie mógł zrazić nikogo. Jeździł więc poraz drugi Sokolnicki, którego uważano odtąd za najzdolniejszego do tych niebezpiecznych wypraw, jeździli Woyczyński, Adam Poniński, Joachim Moszyński, Tomasz Maruszewski i inni. Dla żołnierzy wyprawy te były okazyją wyróżnienia się w oczach Naczelnika, któremu ich zwykle polecali Zakrzewski i Mokronoski; cywilni, jak Moszyński i Maruszewski, którzy jeździli po parę razy, nabyli już wprawy i mieli swoje drogi pewne. Jednak zawsze—aż po połowę maja—podróż taka zabierała conajmniej dziesięć dni i rozporządzenia Naczelnika przychodziły do Warszawy nieraz mocno po niewczynie.

Zbywało więc na kierownictwie bezpośrednio Kościuszki, zbywało tem więcej, że on jedynie miał zadecydować o tem, jaki charakter wypadnie nadać powstaniu, osądzić, czy trzeba będzie silniej nawiązać do wzorów francuskich, czy też trzymać się wskazań Sejmu Czteroletniego. A tymczasem do Warszawy, do Rady Zastępczej zgłaszali się wciąż rezydenci państw obcych z zapytaniami o stosunek ruchu do ich rządów, do Francji; posłowie polscy z zagranicy żądali od niej instrukcyi, prowincya—wyjaśnień co do ważności praw grodzieńskich, wznawiania instytucyi z czasów Sejmu Czteroletniego, nakazów, jak należy postępować z Targowicznami. Od Rady również oczekiwano odpowiedzi na pytanie, co począć z zaborem pruskim wobec zagadkowej taktyki Prusaków. Od pierwszych dni po zwycięstwie 17 i 18 kwietnia poczęli stamtąd napływać wysłańcy z oświadczeniami gotowości do wybuchu. Rzecznikiem ich projektów stał się w Warszawie

Sokolnicki, którego strzelców przeznaczano odrazu do Wielkopolski, to też Rada unyślnie wysyłała go parę razy do Kościuszki, aby uzyskać w tej sprawie odpowiedź pozytywną. Około 12 maja przybyli wreszcie z pod zaboru pruskiego delegaci, ludzie poważni i zdecydowani, za których Zakrzewski życiem ręczył Kościuszcze, odsyłając ich do obozu z gotowym planem powstania.

Władze warszawskie musiały w tych warunkach brać na siebie i znaczną część zadania Naczelnika z zakresu potrzeb wojskowych, gdyż stolica po swem oswobodzeniu siłą rzeczy stała się ośrodkiem powstania. Tylko ona miała arsenał jako tako zaopatrzony, miała skarb, mogła dostarczyć wszystkich potrzeb dla wojska; na nią wreszcie przyzwyczajono się oddawna oglądać w Rzpltej. Powstanie po zwycięstwie warszawskim szerzyło się szybko, jeden po drugim napływały akcesy ziem i województw; nie był to jednak wezbrany strumień górski, usuwający zapory, ale prąd, wymagający pomocy i regulacji. Wszędzie oświadczano się z gotowością do ofiar i zbrojeń, ale wszędzie również wołano o żołnierza regularnego z Warszawy, o broń, o działa, bez których nie chciano się ruszać w tych czasach, o instruktorów do formacji ochotniczych.

Wypadło następnie z Warszawy czuwać nad jednością całego ruchu. Nie było naturalnie mowy o tem, ażeby gdziekolwiek doszło do wystąpień przeciw powstaniu; czegoś podobnego nie mogła spowodować nawet Rada Nieustająca za czasów, gdy Igelström rządził w Warszawie. Tylko z Wielkopolski dochodziły jakieś mętne wieści o knowaniach ex-marszałka Raczyńskiego, który miał jeździć do Berlina z pomysłem konfederacji przy królu a przeciw Kościuszcze. Chodziło natomiast o to, aby prowincye i województwa, przystępując do powstania, trzymały się ściśle postanowień krakowskich o organizacji władz, a następnie i o to, aby niedopuszczyć do żadnego wyłamywania się z karbów uchwalonych tam norm co do dostawy rekruta, podatków etc. W Koronie sprawa poszła pod tym względem zupełnie gładko. Tylko ziemia Stężycka w swym akcesie nie dostosowała się do postanowień krakowskich i zredukowała ciężary, włożone w nich na szlachtę, oświadczając jednak odrazu, że podda się w tej mierze decyzji Rady. Tylko w ziemi Drohickiej Krasnodębski, który na nielegalnem zgromadzeniu przeprowadził swój wybór na generał-majora ziemiańskiego, chciał organizować wszystko po swojemu, a nawet burzył i intrygował przeciw Kościuszcze, jak go oskarżali przeciwnicy. Skończyło się na tem że nie wydano mu patentu generalskiego, zagrożono sprawą w Sądzie Kryminalnym

i pozbyto się w ten sposób z Warszawy, gdzie chciał podobno agitować. Były to ostatecznie drobiazgi; poważniej natomiast przedstawiało się położenie na Litwie.

Pierwsze kroki Litwy, zdecydowane niewątpliwie przez Jasińskiego, wywołały w Warszawie sporo obaw. Akt powstania, sporządzony w Wilnie, nie mówił nic o uznaniu najwyższego naczelnictwa Tadeusza Kościuszki, którego imienia nie umieszczono również w pierwszych aktach rządowych litewskich. Zdawało się, że Litwa chce mieć swą organizację odrębną, swego Naczelnika siły zbrojnej. Kompetencya jej sądu kryminalnego, któremu przyznano odrazu prawa, zarezerwowane w Krakowie dla Najwyższego Sądu Kryminalnego, stracenie Szymona Kossakowskiego, pierwsze odezwy jej Rady, w których była mowa o związku z Francją, w których potępiano ostro Stanisława Augusta, nadawały jej powstaniu charakter więcej zdecydowany w duchu radykalnym. Nie był to żaden separatyzm w dzisiejszem słowa tego znaczeniu, bo coś podobnego nikomu wtedy do głowy nie przychodziło i powstanie litewskie miało od pierwszych swych chwil charakter wybitnie polski; chodziło tu tylko o różnice w pojmowaniu zadań i środków ruchu, wywołane przez gorętszy i bardziej zdecydowany temperament Jasińskiego.

Wilno w ten sposób stawało się mocno zaraźliwym przykładem dla Warszawy, stawiało ono bowiem przed Radą Zastępczą drażliwy problemat określenia charakteru całego ruchu, którego rozwiązanie pragnęła ona odroczyć aż do przybycia Kościuszki. Doprowadziło to do poważnego zaostrzenia stosunków, zwłaszcza, że i na Litwie program Jasińskiego znajdował niechętnych, że w szeregu aktów powstania, np. szawelskim, grodzieńskim, bielskim, brzeskim nawiązano go ściśle do wzoru krakowskiego, a wojska, zgromadzone w Bielsku pod komendą Franciszka Sapięhy, poczęły się oglądać raczej na Warszawę, niż na Wilno. Dopiero silny nacisk Warszawy i uniarkowanego odłamu opinii na Litwie rozwiązał to trudne położenie w duchu utrzymania jedności. Zakrzewski, który sądził, że w Akcie Wileńskim „osobistość i prywatna przeważa dobro ogólne,” zwrócił się 8 maja do prezydenta Wilna Tyzenhauza, domagając się w nim zmian. „Nie bez uczucia żalu, Szanowny mój Kolego, Tobie się wynurzam. Czytałem akt powstania i stosowne do aktu urządzenia; gdy w nich tego nie znajduję, co we wszystkich... województwach w duchu i treści Aktu Krakowskiego przyjęte zostało, widzę przez to otwartą drogę do tysiącznych intryg i emulacyi między ubiegającymi się do urzędów naczelnych, które zamiast jednoczyć różnić was mo-

gą. Naczelnik powstania jest jeden w narodzie...“ Tyzenhauz odpisał 13 maja, tłumacząc różnicę tem, że Akt Wileński musiał objąć całą Litwę i dać jej odrazu odrębną organizację naczelną, gdyż inaczej—z powodu oddalenia Kościuszki, małej liczby wojsk regularnych i siły Targowiczan—nie doszłoby tu do ruchu tak powszechnego, jak w Koronie. Dodawał, że Litwa bezwzględnie uznaje najwyższe naczelnictwo Kościuszki, umieści jego nazwisko we wszystkich aktach, poczyni wszelkie zmiany w urządzeniach i osobach, jakich on zażąda, wyśle wreszcie swych delegatów do jego obozu i do Warszawy. „My po Bogu Kościuszcze ufamy i pod jego się rządy poddajemy; niech pewnym będzie ufności, powolności i posłuszeństwa naszego; niech wie, że życie i krew nasza i majątki nasze na skinienie jego zupełnie poświęcone będą.“ Uniwersały Rady Litewskiej obwieściły odrazu o zarządzonej zmianie, Jasińskiego poddano wyraźnie pod komendę Kościuszki, a jeden z członków Rady tłumaczył nawet całe postępowanie Litwy, nie wyłączając sprawy stracenia Szymona Kossakowskiego, w ciekawym liście do „Gazety Wolnej Warszawskiej,“ broniąc się stanowczo przed zarzutem radykalizmu.

Ferment nie ustał jednak w zupełności. Chlewiński podkopywał stanowisko Jasińskiego jako naczelnego wodza wojsk litewskich, zbierając podpisy swych oficerów na adresie, w którym była mowa o tem, że tylko do niego mają zaufanie. „Litwa, pisał do Kołłątaja jeden z kuryerów Kościuszki, przez akt swój i list, pisany do Tadeusza Kościuszki, dowodzi ducha nieczystego, podobno jednak przez Chlewińskiego inspirowanego i potrzebuje gwałtem przystania generała z Korony, bo między litewskimi straszne rozdrażnienia panują.“

Na barki Warszawy spadał więc cały szereg zadań pierwszorzędnej wagi i to w chwili, gdy położenie jej pod względem wojskowym było conajmniej mocno niepewnem. Może w gorszych warunkach znajdował się Kraków w początkach powstania, ale tam przynajmniej władze miały w stosunku do nielicznej i mało ruchliwej ludności względnie wolną rękę, mogły nawet bez obawy przemawiać językiem rewolucyjnym, aby ją zagrzać, pobudzić. Tutaj zaś miało się do czynienia z miastem ludnem i ruchliwem, posiadającym swe tradycje z czasów Sejmu Czteroletniego, wrażliwem na wpływy Zachodu, a świeżo poruszonym do głębi przez wypadki walki dwudniowej. Było to środowisko niezwykle podatne do ofiar i poświęceń, ale równocześnie trudne do pokierowania.

II.

Na pierwszy plan w życiu Warszawy za rządów Rady Zastępczej Tymczasowej wysunęło się stanowczo zamożne i oświeczone mieszczaństwo. To nie były już czasy Sejmu Czteroletniego, gdy mimo bratania się z żywiołami miejskimi, ton życia stolicy nadawała liberalna arystokracja i szlachta. Teraz ludzi z tych sfer nie było wielu w Warszawie, bo unikano jej już za rządów Igelströma, a następnie opuszczano ją gromadnie przed walką i po niej, mimo że Kościuszko polecił utrudnić te wyjazdy, za paszportami np. wydawanymi przez rezydenta austriackiego de Caché osobom, posiadającym majątki w Galicyi. Listy ofiar na rzecz powstania, na których zapisali się z poważnemi kwotami nawet ludzie nieprzychylni powstaniu, stwierdzają wyraźnie, że głośne nazwiska reprezentowały wtedy w stolicy raczej kobiety, starające się zresztą usilnie, czasami aż przez listy do Kościuszki, o pozwolenie wyjazdu. Ze szlachty—na stanowiskach pozostali tylko ludzie, biorący gorący udział w powstaniu, szczerze postępowi, zbratani z mieszczaństwem. Oni też zajmowali $\frac{2}{3}$ stanowisk w Radzie Zastępczej, formalnie objęli kierownictwo nad wszystkim. Ale za to w licznych deputacyach powstańczych, które z początku powstawały prawie co dzień, mieszczaństwo miało mniejszą lub większą przewagę i rządziło w nich, łącząc się z żywiołami urzędniczym i wojskowym, w których zacierały się prawie zupełnie różnice stanowe. Nikt zresztą nie wspominał teraz o tych różnicach, o przywilejach szlachty. W stosunkach urzędowych, w korespondencji tytułatury ustąpiły miejsca przemawianiu per „obywatelu,” a nawet całkiem jakobińskiemu „Ty.” Zakrzewski np., który w trzech pierwszych raportach do Kościuszki tytułował go „Jaśnie Wielmożnym Panem Dobrodziejem,” w czwartym, po odebraniu od niego odpowiedzi, pisał: „Ty, Naczelniku;” w sądach, w Deputacyi Indagacyjnej — do Kossakowskiego, Massalskiego, Moszyńskiego mówiono zawsze „Ty.” Różnice stanowe zacierały się i w życiu codziennem: z ulic Warszawy zniknęły karety, bo Komisoryat zabrał konie, wypadło zredukować ilość służby, gdyż poszła ona do wojska. W pracy nad sypaniem szańców, w stawianiu pod bronią na alarm zapominano o szlachcie i nieszlachcie; zapominano o niej również przy wspólnej pracy kobiet warszawskich nad skubaniem szarpi, szyciem koszul dla wojska, posłudze w lazaretach. „Trzeba uleść okolicznościom teraźniejszym, przemawiał do uwięzionego instygatora

koronnego Roguskiego członek Rady Zastępczej Wulfers, bo to rewolucya; trzeba sobie szlachectwo z głowy wybić, teraz jest równość, nic ordery nie znaczą i choć nie zakazane i nie skasowane, to ich nie noszą.“ Istotnie, noszenie orderów i sukien galowych było tak niepopularnem, że Zakrzewski, wysyłając paru członków Rady w dniu 8 maja dla złożenia życzeń królowi, wybrał umyślnie tych, którzy ich nie mieli. Człowiekiem chwili, osobistością najpopularniejszą po Zakrzewskim w Warszawie był niewątpliwie Kiliński, wyzyskiwany w dziedzinie polityki przez klubistów, za to bardzo wpływowy w kołach rządowych, wprowadzający do wielu instytucji swych przyjaciół osobistych; arystokrację tego okresu stanowiły chyba cechy. Do jakiego stopnia liczono się podówczas z nimi, świadczy następujące zdarzenie. Rzeźnicy warszawscy opłacali wtedy podatek od rzezi i musieli bić bydło w rzeźniach, zbudowanych przez skarb. Po rewolucyi sądzili oni, że za udział w walce należy im się zniesienie tego ciężaru i przestali odrazu bić w rzeźniach tak solidarnie, że w ciągu maja ani szeląg z tego źródła nie wpłynął do skarbu. Próbowano z nimi i groźby i prośby: wydano odezwę, w której była mowa o tem, że „nie zechcą chyba zasmucać Najwyższego Naczelnika najmniejszym śladem nieposłuszeństwa,“ a Komisji Porządkowej polecono skierować ich z powrotem do rzeźni skarbowych. Nie zdało się to na nic i trzeba było użyć drogi innej. Zakrzewskiemu, prezydentowi Rady i miasta, urodził się 18 kwietnia syn, nazwany na cześć Kościuszki Tadeuszem. Chrzest tego dziecka był dużą uroczystością dla Warszawy: cała Rada Zastępcza wzięła w nim udział i zapisała decyzję o tem do swego protokołu, nieznany poeta witał nowonarodzonego wierszem:

Wśród huku armat i wojennej wrzawy,
W której się Polak z jarzma oswobodził,
Gdy nieprzyjaciel już pierzchał z Warszawy
Tyś się urodził.

... Przy męstwie naszym i naszej słuszności
Dobry Ci pewnie byt usposobiemy;
Zaszczepim w kraju gałązki wolności,
Potem pomrzemy...

Otóż Zakrzewski, „wezwawszy do trzymania do chrztu swego syna niektóre osoby z cechu rzeźniczego, żądał od nich na dowód ich przychylności ku sobie, ażeby porządkowi bicia po szlachciuzach ulegali.“ Jednak i ten środek nie doprowadził do

celu i Rada musiała ustąpić. Podobnem postąpieniem grozili piwowarzy, a tymczasem z dwóch tych źródeł skarb otrzymywał w Warszawie 1½ miliona złp. Skarżono się zresztą ogólnie na to, że cechy przy całym swym patryotyzmie przyczyniają rządowi sporo kłopotów, wyzyskując swoje znaczenie w stolicy.

W kołach tej liberalnej szlachty i oświeconego, zamożnego mieszczaństwa przyjęto powstanie z dużą i szczerą radością. Entuzjazm tych warstw nie mógł już wówczas wypowiedzieć się na scenie, bo teatr zamieniono na lazaret, a dyrektor Bogusławski pracował w Deputacyi Indagacyjnej. Brakowało zaś teatru tem więcej, że nie zbywało wcale na sztukach okolicznościowych. Jakiś Antoni Carpacci, „rodem Weneta,“ umieszczał np. w pismach następujące ogłoszenie: „Kto może, śpieszy przysługiwać się dla Ojczyzny. Są, którzy jej bronią; są inni, co o niej radzą; są, co współbraci żywią, majątkiem wspierają i czem tylko mogą ratują; są też, co piórem dla niej pracują. Nikt się tu nie może wymawiać, nikt nie powinien dać się wyprzedzić. W tym celu wkrótce na widok publiczny ma wyniść drama bohaterkie, w sposobie teatralnym ułożone p. t. „Tryumf miłości ojczystej...“ Jeśli terazniejsze drama okaże się być godnem zasłużyć na względy kochających Ojczyznę swą Polaków, zachęci autora do dalszych prac. W rzedzie których gotuje już żywy obraz dni powstania narodu w Warszawie.“ Nie spoczywały również i muzy. Narazie posiłkowano się poezją pochodzenia krakowskiego, związaną z pierwszemi usiłowaniami Naczelnika, ze zwycięstwem Raclawickiem. Ukazała się więc naprzód w pismach, a później w oddzielnych odbitkach „pieśń ochotników krakowskich“:

Pókiż Polaku zgnuśniały,
Rozłączony z bracią twemi,
Bez sił, bez rządu, bez chwały,
Będziesz więźniem w swojej ziemi?

Za nią przyszła tak długo popularna „Śpiewka włościów krakowiaków“:

Dalej chłopcy! dalej żywo!
Otwiera się dla nas żniwo,
Rzućwa plugi! rzućwa radło!
Trza wojować, kiej tak padło.

Wkrótce jednak powstała i oryginalna poezya warszawska. Krążyła jakaś „Pieśń żołnierska,“ może jedna z tych, których później, w r. 1807, weterani uczyli rekrutów; pisano wiersze

„z okazji listu Igelströma do ministra wojennego, w którym odwołuje się do Boga i dobrej sprawy monarchini swojej,“ pisano je przede wszystkim na cześć Kościuszki. W stolicy wytworzyła się cała ikonografia Kościuszkowska: portretami Naczelnika ozdabiano wszelkie wydawnictwa, dołączano je do gazet, dochodziło na tem polu do poważnej konkurencji wydawniczej. Gazety donosiły zresztą, że i w Paryżu na wiadomość o powstaniu publiczność rozkupiła wszystkie portrety Kościuszki.

Z zakresu literatury publicystycznej prawie nic nie zjawiało się w tym przeciągu czasu; tutaj zdarzeniem pierwszorzędnej wagi miało być dopiero przywiezienie przez Dmochowskiego pierwszych egzemplarzy książki „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja,“ gdy komunikacja między Warszawą i Krakowem stała się pewniejszą.

Dla prasy peryodycznej warszawskiej okres ten zaznaczył się tylko pomnożeniem ilości pism, gdyż pod względem jakościowym nie wytrzymywała ona porównania z dziennikarstwem Sejmu Czteroletniego. Zadanie kierowania opinią, oświecania jej brał na siebie rząd, którego odezwy, uniwersały i prawa były nieraz formalnymi traktatami politycznymi; on również wypełniał wszystkie pisma swymi komunikatami. W tych warunkach nie było miejsca na samodzielną prasę. Zastanawiało chyba to, że ograniczono w niej tak obszerną dawniej rubrykę wiadomości zagranicznych, opuszczano nieraz nawet „artykuł paryski,“ choć właśnie wtedy można się było z niego dowiedzieć o procesie Hebertystów i Dantonistów. Pierwszeństwo wśród pism warszawskich przypadło niepodzielnie „Gazecie Wolnej Warszawskiej,“ która—po zmianie redakcyi—z dawnej Targowickiej „Gazety Krajowej“ przeistoczyła się odrazu w organ zbliżony do klubów.

Zapał kierujących warstw Warszawy wyrażał się przede wszystkim w ofiarach pieniężnych na rzecz kraju. Do ofiarności tej apelowano już za czasów Sejmu Czteroletniego i właśnie teraz można się było przekonać, że niejednen z ofiarodawców ówczesnych skończył na deklaracyi, a później—przy pomocy sancytów Targowicy—uwolnił się formalnie od przyjętych na się zobowiązań. Rada Zastępcza musiała teraz—z wątpliwym zresztą skutkiem, bo podobno resztę tych deklaracyi wyegzekwował dopiero Lubecki—wzywać ich pod groźbą „wydania ich wojsku na delatę“ do złożenia w ciągu 4 tygodni zadeklarowanych kwot. W oryginalny sposób postąpiono sobie z księciem Stanisławem Poniatowskim. „Będąc pewną, oświadczała Rada w protokóle, że X-ze Jmć Stanisław Poniatowski, uczyniwszy ofiarę swojej

Ojczyźnie w subskrypcyi 50,000 złp. w sejmie zeszlým konstytucyjnym, nie czynił jej jak w najlepszej intencji, której skutkiem wyliczenie skarbowi tej sumy mieć chciał, gdy jednak dotąd przez odmianę różnych okoliczności taż suma dostarczoną skarbowi nie była, Rada obliguje J.P. Budziszewskiego, kasyera X. J. St. Poniatowskiego, aby taż sumę... do kasy generalnej dziś złożyć nieomieszkał.“ Teraz było inaczej: deklaracye przyjmowano tylko wtedy, gdy ofiara miała być peryodyczną, w przeciwnym wypadku żądano odrazu gotówki.

Te ofiary samej Warszawy na cele powstania przyniosły za czasów Rady Zastępczej gotówką przeszło 173,700 złp., a bezporównania więcej w efektach, między innymi w srebrze, które odrazu można było oddać do mennicy. Kwota w gotówce nie była może tak znaczną — wszak Litwa w ciągu 4-ch tygodni złożyła 461,750 złp.—stanowiła ona jednak 14% wydatków Rady Zastępczej (1,219,900), pokrywała więcej niż połowę miesięcznego żołdu garnizonu. Jej istotne znaczenie można jednak ocenić dopiero wtedy, gdy weźmiemy pod uwagę powszechny brak gotówki, wskutek którego już Rada Zastępcza nagliła o wprowadzenie asygnat i wypracowała odpowiedni projekt, gdy zważywszy, jaka bieda panowała wówczas w Warszawie. Dowóz do stolicy był wciąż nieznaczny i ceny wszystkich artykułów poszły w górę, zwłaszcza, że przekupnie odstraszały chłopów, przyjeżdżających na targi, opowiadając im, że w stolicy zostaną przymusowo zaciągnięci do wojska.

Na tych listach ofiar najznaczniejsze kwoty złożyli ofiarodawcy bezimienni, prawdopodobnie ludzie, posiadający dobra za kordonem; poważną część gotówki dał król, jego otoczenie i ludzie raczej bojący się powstania; najliczniejszymi jednak były składki mieszczkańskie i urzędnicze.

Następnie miasto ponosiło bez szemrań ciężar dawnych i nowych podatków, między innymi t. zw. poboru, rodzaju postępowego podatku dochodowego, który z samej Warszawy miał przynieść 5 milionów złp., a który, dotykając głównie klasy zamożniejszej, poważnie jednak obciążył i budżet rzemieślników. Pobór ten ostro krytykowali klubiści. „Podatki, mówili oni, jakie nałożono na Warszawę, wydają się tak przesadzonymi, jak gdyby chciano ukarać ten lud za jego bohaterstwo.“ Dzięki tym krytykom, skończyło się na tem, że Kościuszko polecił skreślić cały szereg niższych pozycji tego podatku; a jednak z raportów Rady wiemy, że składano go chętnie, domagając się tylko proulgat, że w biurach poborców panował natłok. Warszawa musiała

w dodatku zadosyć uczynić licznym rekwizycjom rządowym o konie, żelazo, ołów, siarkę, saletrę etc., które nie zawsze prowadziły do wypłat, a spadały znowu przeważnie na zamożniejsze warstwy mieszczaństwa. Jemu również powierzono opiekę nad rannymi i rodzinami poległych w dniach 17 i 18 kwietnia; aptekarzy i „materyalistów“ wezwano do dostarczenia w ofierze lekarstw do apteki polowej, lekarzy do posług w lazaretach, akcyonaryuszy fabryki łowickiej do oddania płótna na wojsko, a całe setki ludzi do bezpłatnego sprawowania czynności urzędowych. I nigdy prawie nie doznano zawodu, nie napotkano na niechęć. Mieszczaństwo wreszcie wystawiło swym kosztem niektóre oddziały wojska, np. kongregacja kupiecka — pułk Czyża, przyczyniło się do umundurowania rekrutów, spełniało służbę w milicyi, dozorcując więźniów i pilnując zamku.

Można zatem mówić o dobrej woli, o poświęceniu tych warstw stolicy, które wybiły się na pierwszy plan za rządów Rady Zastępczej. Wyjątek stanowili chyba ci nieliczni mieszczaństwo, którzy jeszcze niezupełnie żyli się z narodem, nie zapomnieli o swem pochodzeniu niemieckiem. Tutaj pozostawano wciąż pod obawą odwetu, który prędzej czy później miał zagrozić Warszawie, i wysnuwano stąd wnioski, że można go będzie uniknąć jedynie przez poddanie miasta Prusakom. W proklamacyach urzędowych, w gazetach mówiono przeciw wciąż o pomysłach Igelströma dokonania rzezi w Warszawie w dniu 20 kwietnia. Zdawało się nawet, że istnieją dowody materyalne w tej sprawie. „Przyłączam kontramarkę, pisał Zakrzewski do Kościuszki, których całą skrzynię u Igelströma znaleziono. Wiadomości sekretne twierdzą, że te kontramarki miały służyć za obronę życia i majątków tych, którymby były rozdane, inni zaś w pierwszy dzień Wielkanocy mieli być rabowani, plądrowani i zabijani.“ Cóż to dopiero nastąpi, gdy przyjdzie do odwetu za 17 i 18 kwietnia! Pogróżki w tym kierunku dochodziły stale do stolicy. „Szkoda Warszawy, mówił jakiś oficer rosyjski doktorowi Schaade z Góry, bo ją zrujnujemy tak, że kamień na kamieniu nie zostanie.“ „Zobaczysz Waćpan, rozumował kupiec warszawski Michał Klos w szynkowni, iż będziemy Prusakami, ponieważ ja słyszałem..., że interesem jest samego króla pruskiego, aby Rosyanie nie przyszli, gdyżby kamień na kamieniu w Warszawie nie zostawili, a królowi pruskiemu jest potrzebna cała i niezdezelowana Warszawa.“ Christian Michel, kamerdyner księcia eks-podkomorzego, „mający u niego tyle kredytu, co Ryx u króla,“ oświadczał: „Mam 300 dukatów, tych bym połowę oddał na wojsko, ażeby się Rosyanie nie wrócili;

Prusacy lepiejby się może z nami obeszli,“ na co Kloss dodawał, iż Prusacy nie biliby się tak, jak Rosyanie, w samym mieście, „ale otoczywszy Warszawę, głodemby ją do poddania zmusili.“ Ale to, powtarzamy, były wyjątki, nie mogące wcale wpływać na sąd ogólny o mieszczaństwie stolicy.

Mieli więc zupełne prawo moralne ci przedstawiciele liberalnej szlachty i oświeconego mieszczaństwa do czynnego udziału w kierownictwie powstania, do zadecydowania o jego charakterze i celach. Znaczna część z nich, zgrupowana dokoła Rady Zastępczej Tymczasowej, solidaryzująca się z ludźmi takimi, jak Zakrzewski, Kochanowski, Wybicki, ze zwolennikami króla, jak Mokronoski, Cichocki, Deboli, Dzieduszycki, Wulfers, nie chciała w niczem nawiązywać do wzorów francuskich. Chciano, przeciwnie, na każdym kroku trzymać się wskazań Sejmu Czteroletniego i zasad konstytucyi 3-go maja, a z Rosyą prowadzić zwykłą walkę, bez rewolucyjnej zaciętości, nie wyłączając w rezultacie możności układów, za cenę np. nawiązania do dawnych pomysłów o W. Ks. Konstantym. Gdy Stanisław August domagał się od delegatów Rady Zastępczej gwarancyi, że nowy stan rzeczy uszanuje religię, własność, różnice stanowe, powagę tronu, gdy rezydent pruski Buchholtz w rozmowie z Dzieduszyckim „rozwodził się, jak niebezpiecznie byłoby przyjmować prawidła konstytucyi francuskiej,“ dodając, że „raczej przystałoby Polsce trzymać się konstytucyi 3-go maja za ułożeniem się z sąsiadami względem niektórych punktów jej egzekucyi,“ to rady te wywoływały tutaj duży i szczery odgłos. Gdzie się dało, przywracano ludzi i instytucye z czasów Sejmu Czteroletniego, zaprzeczano gorąco posądzeniom o zamiar naśladowania Francyi. „Dosyć jasno okazuje Polska, odpowiadał Dzieduszycki Buchholtzowi, że za cudzymi przykładami nie idzie; teraz zaś nikt nie myśli o konstytucyi, tylko o odporze nieprzyjacielowi.“ Gazety warszawskie odpierały stanowczo ataki prasy niemieckiej, mówiącej o jakobińskim charakterze ruchu, przedrukowywały artykuł niemieckiej gazety lwowskiej, biorącej je w obronę przed tym zarzutem.

O charakterze, jaki chciano nadać walce, mówiły zresztą wyraźnie stosunki Rady z Buchholtzem i de Caché, oraz jej postępowanie w sprawie uwięzionych członków poselstwa rosyjskiego. W układach z Buchholtzem działała zresztą Rada, a raczej Zakrzewski, z wyraźnego polecenia Kościuszki, który stanowczo zastrzegł sobie kierownictwo całej dyplomacyi powstańczej i pilnował postępowania Warszawy z całą ścisłością. Szło tutaj ni mniej ni więcej—tylko o medyacye króla pruskiego między powstaniem

i Rosyą, na warunkach bliżej nam nieznanych, bo Zakrzewski mówił o tem w swych raportach bardzo tajemniczo. Nie jest niemożliwym, że Kapostas, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku, oczekiwany wtedy z niecierpliwością w Warszawie, miał dużo słuszności, gdy twierdził później, że i za powstania myślano o osadzeniu ks. Konstantego na tronie polskim. Dlatego zatrzymywano Buchholtza w Warszawie, mimo że ciągle domagał on się z polecenia Berlina paszportów, mimo że współdziałanie Prus i Rosyi rzucało się wprost w oczy. Sprytny Prusak dostosowywał się do tej gry wcale nienajgorzej: w depeszach do Berlina mówił o konieczności solidarnego działania z Rosyą, natomiast w rozmowie z Dzieduszyckim „wyrzekął na alians w Grodnie z Moskwą zrobiony, który nazwał niegodziwym i naród polski tudzież i inne narody z Polską traktujące upadlającym,” zaręczał, że król pruski medycyaci podejmie się chętnie, wzywał nawet Dzieduszyckiego do Łowicza, gdzie on, Buchholtz, a nie Lucchesini, „będzie wszystkie interesy przy królu robić.” Zyskiwały w ten sposób Prusy na czasie do sprowadzenia posiłków, zabezpieczały się narazie przeciw wybuchowi w Wielkopolsce. Przecież władze powstańcze nie tylko osłaniały magazyny pruskie w Warszawie, ale z początku chciały nawet wydawać Prusakom ich dezertarów. Na ich usprawiedliwienie należy jednak dodać, że wielkich złudzeń co do powodzenia tej medycacji niedawnego sprzymierzeńca nie miały. „Polityczne widoki, mówił Zakrzewski Kościuszce, radbym aby tylko przy Tobie i przez Ciebie kierowane były... Przy nas ostrożność zostaje, przy Tobie zaś dyspozycja.”

W związku z tymi pomysłami medycacyjnymi, z których niewątpliwie wynikał zasadniczy błąd bitwy pod Szczekocinami, pozostawała sprawa uwięzionych członków poselstwa rosyjskiego. Rada chciała ich zrazu wypuścić, uważając ich zatrzymanie za naruszenie prawa narodów; później widziała w nich wciąż gotowych pośredników do rokowań i traktowała z wszelkimi możliwymi względami. Do ich dozorowania wyznaczono takich ludzi, jak Debolego, żonatego z Rosyanką i zżytego z Rosyą, jak dawnego bankiera poselstwa rosyjskiego Maysnera; na ich utrzymanie dawano 600 złp. dziennie. Domagała się Rada również wypuszczenia z Warszawy uwięzionych kobiet rosyjskich, ale temu sprzeciwił się Kościuszko, żądając, aby wzmian za nie władze rosyjskie uwolniły obywateli Rzpltej, uwięzionych przed powstaniem.

Cóż dopiero było mówić o stosunkach z de Caché, reprezentantem, jak sam mówił, państwa, „które dotąd nie okazało się nie-

przychylnem powstaniu.“ W swych depeszach zajmował on również stanowisko niechętnie powstaniu, odnawiał starań o przepuszczenie broni, zamówionej przez władze powstańcze zagranicą, przez posiadłości austriackie. Ale o tem nikt prawie nie wiedział i wśród publiczności liczone conajmniej na życzliwą neutralność Austrii. Wszak Stanisław August zapytywał później Ignacego Potockiego o to, czy jego następcą na tronie nie zostanie jeden z arcyksiążąt; wszak dzienniki warszawskie przynosiły z Galicyi wiadomości, że „co tylko potrzebuje Kościuszko, to sobie ma pozwolone brać za kwitami tak z magazynów (cesarskich) jako i z kasy.“ Odwdzięczano się więc przepuszczaniem galarów galicyjskich do Gdańska, które bez skrupułu zabierał nieprzyjaciel, liczone się z paszportami, wydawanymi przez de Caché, słuchano jego rad co do postępowania ze Stanisławem Augustem, uwięzienia Skarszewskiego i Massalskiego.

Dla tej samej chęci utrzymania dobrych stosunków z Austrią, uratowania ich z Prusami, zarezerwowania sobie nareszcie możliwości układów z Rosyą, ludzie z Rady Zastępczej pragnęli za wszelką cenę uniknąć oskarżeń o zwracanie się przeciw tronowi, religii, o naśladowanie teroru francuskiego. Co do postępowania ze Stanisławem Augustem, to położenie było bardzo trudnem już choćby z powodu jego zachowania się podczas wypadków 17 kwietnia. Starał on się wówczas o zapewnienie Igelströmowi kapitulacyi pod warunkiem swobodnego wyjścia z miasta, wzywał Zakrzewskiego do uspokojenia ludności stolicy. „Po sprowadzeniu mnie do zamku, pisał Zakrzewski do Kościuszki o wypadkach 17 kwietnia, zapytałem króla, czyby się na czele rewolucyi naszej w tem tu miejscu stawił, albo przynajmniej przystępującym do niej oświadczył się. Wezwawszy wprzód król na radę do gabinetu Moszyńskiego, Ożarowskiego i innych, odpowiedział, że nie.“ To też, gdy 22 kwietnia zgłosił się on do rady z akcesem do powstania, Zakrzewski nie chciał brać tego na swoją odpowiedzialność i odesłał go do Kościuszki. Odtąd położenie króla i dla niego samego i dla Rady stało się niewyraźnem. Wypadło mu odebrać wszelki wpływ na wypadki, zapobiedz temu, aby rezydenci państw obcych i posłowie polscy z zagranicy nie pisywali do niego, odmówić jego żądaniom o wypłatę listy cywilnej i trzymać go w zawieszeniu. Pomimo jego zarządzeń ostentacyjnych, ofiar na rzecz powstania, a nawet pomocy, jakiej udzielał nieraz władzom, nie ufano mu naprawdę nigdy — i nawet w kołach Rady podejrzewano wciąż o pomysły ucieczki, czuwano po cichu nad każdym jego krokiem. A jednak, ze względu na Europę, z oba-

wy przed zarzutami prasy obcej, która już głośno mówiła o niebezpieczeństwach króla, usiłowano i z nim nawiązać lepszy stosunek. Uwiadomiono go przez uroczystą delegację o objęciu władzy, wysłano doń 8 maja paru członków Rady z życzeniami, „ażeby w tem zniszczyć obcych ministrów obserwacye,“ słuchano jego rad, nie zrażano się nawet jego ruchliwością nietaktowną, jego naleganiami o danie mu pewnego wpływu na wypadki. Broniono go czasami przed Kościuszką. „Dosyć on przychylny czynności naszej i powolny być się okazuje“—pisał Zakrzewski 4 maja. Gdy z obozu przychodziły nakazy ostre, czasami nawet drobiazgowe, jak np. w sprawie usunięcia Ciołka Poniatowskich z monet, Rada bądź opierała się temu, mówiąc o „złem wrażeńiu,“ jakie to wywiera na rezydentów, o ich remonstracyach, bądź też łagodziła je w praktyce.

Co do religii—to zadanie jej było tem łatwiejsze, że po walce warszawskiej doszło do dużego wzmożenia się uczuć religijnych w stolicy. Zdawało się, że to niespodziewane zwycięstwo, odniesione w przededniu Świąt, jest dziełem wyraźnego zrządzenia Opatrzności. Pogarnięto się tłumnie do kościołów, które Rada poleciła otworzyć natychmiast, chcąc przez to uspokoić wzburzony i gromadzący się wciąż na ulicach lud. Rozpoczął się szereg uroczystych mszy, 40-godzinnych nabożeństw na intencję powodzenia powstania, licznych kazań patryotycznych; wychodziły wciąż książki tej treści, jak „Chrześcijańskie i obywatelskie uwagi,“ „Nabożeństwo patryotyczne w czasie wojny“ etc. Duchowieństwo wezwano do przeniesienia tego ruchu na wieś, do współudziału w powstaniu. Poddawali się temu prądowi nawet niechętni ruchowi dygnitarze kościelni: Prymas i Skarszewski wydali patryotyczne listy pasterskie do swych dyecezyi, na listach ofiar spotkać było można nazwiska nietylko zacnych Gawrońskich, Strojnowskich, Skrzetuskich, ale i Prymasa i Szembeka, świeżo skompromitowanych przez zeznania Kossakowskiego, „powołującego ich za towarzyszków zbrodni swoich,“ a nawet i Massalskiego, ks. Ghiggiotiego i in.; kapituła warszawska dała 6000 złp., Misyonarze 1000 złp. To też—mimo wolteryanizmu klubistów, liczących zresztą w swem gronie wielu księży—ten charakter religijny ruchu utrzymał się długo. Gdy więźniowie polityczni zażądali spowiednika w osobie patryotycznego i postępowego ks. Witoszyńskiego, Rada Zastępcza przychyliła się odrazu do tego „nader chwalebного żądania;“ jeńcom rosyjskim dano również spowiednika w osobie zasłużonego ks. Saby Palmowskiego; w raporcie urzędowym do Naczelnika o wypadkach 9 maja zaznacza-

no fakt, że wszyscy skazani spowiadali się przed śmiercią. Ponieważ w liczbie skazańców znajdował się biskup (Kossakowski), więc rząd nie zaniedbał niczego, aby przed egzekucją pozbawić go sakry. „Nie zapominając uszanowania dla obrządków religii, delegowaliśmy do Nuncjusza, ażeby on charakter biskupa z Kossakowskiego zdejmował. Ukontentował go ten krok nasz, ale że nie ma mocy sobie do takowego postępku od Stolicy danej, oświadczył; jednakowoż, gdy naleganym był o środki i gdy ze strony naszej co do nas należało uczynionem zostało, przełożenie nasze do tego zmierzało, ażeby konkluzję żądaniu naszemu położył. Otóż dał facultatem ks. kanonikowi Wodzińskiemu spowiedzi słuchania i czynienia co będzie potrzebnem w takowym razie... Witoszyński, Wodziński i jeszcze trzeci duchowny odbywali zwyczajną degradację podług ceremoniału.“ Jeżeli zaś sam fakt aresztowania trzech biskupów i stracenia jednego wywoływał reklamacye Stanisława Augusta, de Caché, Nuncjusza przede wszystkim, który mówił o złem wrażeniu na ludność, o wpływie tego na stosunki z Rzymem, to należy stwierdzić, że Rada opierała się nie tylko egzekucyi, ale i aresztowaniom. Tylko wtedy, gdy chodziło o nieliczne zresztą wypadki oporu przeciw zarządzeniom władz, występowano ostro i karano odrazu. Gdy następnie paru księży zważyło podatek poboru, nałożony na duchowieństwo, na własnych chłopów, rząd ogłosił odrazu ten fakt w pismach, wywołując zresztą reklamacye ze strony patryotycznego odłamu kleru, który żądał wyraźnego wymienienia winowajców, zaręczając, że ukarzą ich przykładowie same władze kościelne. Podobnie energicznie występowała Rada i w sprawie zaboru sreber kościelnych. Prymasowi przełożono odrazu, że staną się one łupem nieprzyjaciela, jak tego dowiodły już liczne wypadki, i zażądano, aby skłonił duchowieństwo do dobrowolnego oddania ich skarbowi za rewersami; później, gdy przyszło rozporządzenie Kościuszki, poleceno Komisji Porządkowej, nie czekając na rezultat akcji Prymasa, po cichu spisać srebra i zabrać je do mennicy.

Tak samo nie chciała Rada stanowczo teroru w Warszawie. Jej łagodna praktyka policyjna, mimo surowych przepisów paszportowych, pozwoliła szeregowi osobistości zbiedz na czas ze stolicy; co się tyczy pozostałych, to Rada raczej wykonywała nakazy aresztowań, przychodzące z obozu, pozwalając więzić klubistom i ludowi, niż aresztowała sama. Uwięzionych pragnęła ona stanowczo uratować od poważniejszych kar, zasłaniając się formalnym brzmieniem Aktu Krakowskiego, który wymiar sprawiedliwości za występki polityczne, popełnione w przeszłości, zachował

dla nieistniejącego jeszcze Najwyższego Sądu Kryminalnego. Pod naciskiem opinii utworzyła ona Sąd Kryminalny, Deputację Indagacyjną, ale w praktyce wstrzymywała, o ile możliwości, badanie zdobytych papierów ambasady rosyjskiej, podobno nawet pozwalała na usuwanie niektórych z nich, nie zaczynała żadnego śledztwa, ani procesu. Dozór więźniów politycznych za jej rządów, znowu mimo bardzo surowych przepisów, przedstawiał się jak najgorzej: korespondowali oni z całym światem, a zdarzało się nawet, że wysyłali służbę do swych opieczetowanych mieszkań, aby stamtąd usuwać kompromitujące dokumenty.

Taki to pogląd na charakter powstania panował wśród ludzi, należących do Rady Zastępczej, a reprezentujących wyższe warstwy mieszczaństwa oraz szlachtę liberalną. Można go dziś zrozumieć z łatwością, bo odpowiadał całkowicie wzorom Sejmu Czteroletniego, które chciano stosować tak, jak gdyby nic od tego czasu nie zaszło, odpowiadał następnie całej psychologii liberalnej szlachty z doby Stanisława Augusta. Miała ona wciąż na ustach — mówiła o tem stale i Rada Zastępcza w swych odezwach — słowa o katastrofie, mogącej już nieodwołalnie rozstrzygnąć o losach Rzpltej, ale nie posiadała w sercach energii i decyzji użycia tych środków ostatecznych, jakich wymagało to przeświadczenie.

Ten pogląd na politykę powstania stawiał Radę Zastępczą w pewnej sprzeczności z tem, co zaszło w Warszawie w dniach 17 i 18 kwietnia, mało co mniejszej od tej, w jakiej znaleźli się ludzie, wysunięci przez Lubeckiego na czoło powstania roku 1830 wobec zdarzeń nocy listopadowej.

A przecież nocy listopadowej nie można nawet porównywać, o ile chodzi o zaciętość walki i udział ludu, z wypadkami kwietniowymi. Były one naprawdę bojem o śmierć i życie: zdawało się, że jedna strona nie wierzy już w możliwość kapitulacji i woli strzelać do parlamentarzy, a druga nie jest w stanie jej przyjąć. Jakżeż niewielu rannych nieprzyjacielskich znaleziono później na miejscach walki w stosunku do liczby poległych. Zaciętość obu stron nie zmalała i po skończonej bitwie, objawiając się w przeszukiwaniu domów i krótkich, krwawych starciach z odszukanemi grupkami żołnierzy nieprzyjacielskich, a następnie w zachowaniu się jeńców i ich konwojów. „W dniu dzisiejszym, pisał Zakrzewski 21 kwietnia, z przeprowadzonych jeńców jeden, wyrwawszy broń konwojującemu i strzeliwszy do niego, przyniósł śmierć współprowadzonym 87 pierzchać zaczynającym, którzy rozsiekani przez nieuspokojony jeszcze lud zostali. Przypadek ten zagroził

niebezpieczeństwem wszystkim po więzieniach niewolnikom i dotąd jeszcze lud odkazywać się na wybicie onych nie przestaje; doskonałe opatrzenie więzień nadzieję czyni, iż więźnie przy życiu utrzymają się.“ O ludowym charakterze walki świadczyły już choćby straty po stronie polskiej. Zakrzewski w pierwszym raporcie do Kościuszki twierdził, że liczba ich „bodaj 500 przeniesie ludzi i to w nieregularnem obywatelstwie więcej daleko niż w wojsku“; zdaje się jednak, że cyfra ta obejmowała tylko zabitych. O ile chodzi o rannych z ludu, to jeden tylko z lekarzy warszawskich, dr. Kozłowski, opatrzył w koszarach gwardyi pieszej koronnej „różnego gatunku osób do 300,“ a przecież zajmowali się tem i inni. Zabrakło środków opatrunkowych w Warszawie i wypadło wzywać publiczność o zapomożenie lekarzy „fleytuchami i starymi gałganami, chociażby te nawet i brudne lub trochę przygrube były.“ Wśród poległych i rannych znajdowano kobiety, o których udziale w walce zaświadczały jeńcy nieprzyjacielscy.

Walka więc warszawska—zrozumiał to np. odrazu Buchholtz—przez swą niezwykłą zaciętość, nie licującą prawie z charakterem narodowym, wykopała między Polską a państwami rozbiorowemi przepaść, którą nie tak łatwo było zapełnić. Była ona walką ludową, wprowadzającą do życia Rzpltej nowe siły, których trzeba było koniecznie użyć, bo inaczej groziły one wytworzeniem trwałego fermentu w stolicy.

Świadomość tego posiadali w pierwszych chwilach ludzie z Rady Zastępczej. Ten niespodziewany a szeroki udział warstw ludowych napełnił zrazu ich serca dumą, rozbudził nieoczekiwane nadzieje. „Ojczyzna, donosił Zakrzewski Kościuszce, w terażniejszym powstaniu swoim znalazła walecznych obrońców w tej części narodu, która ledwie słodyczy wolności Sejmem konstytucyjnym nadanej zakosztowała.“ Zdawało się, że cała ludność miejska i wiejska Księstwa Mazowieckiego pójdzie za przykładem stolicy. „W okolicach Warszawy, gdzie nieprzyjaciół częste czyni napady, rolnicy na odgłos wzięcia się do obrony najżywszą pałają chęcią wyćpienia tego nieprzyjaciela, który przez przeciąg tylu lat, a mianowicie w ostatnim ucisku onych zniszczył. Już z Radzimina wieśniacy pod przewodnictwem JP. Sokolnickiego, podpułkownika, rzuciwszy się na kilkadziesiąt żołnierzy, trzydziestu kilku w niewolę do Warszawy przyprowadzili... Duch męstwa i odwagi z tej stolicy do różnych przeszedł miast i włościan... obywatele miasta Tarczyna, odpędziwszy od taboru konwój, kilka wozów z rekwizytami... tu przyprowadzili, powszechno zaś

wiadomości to potwierdzają, że wieśniacy w wielu miejscach obronnie po wsiach nieprzyjacielowi przeszkody... czynią i furazowania nie pozwalają... Przy Haumanie w ziemię Czerską 500 kos na sztorc osadzonych i 500 pik postaliśmy; dzisiaj znowu już kilka tysięcy takiego oręża gotowego mamy, który przy komendach wolontaryuszów w różne okolice Warszawy dla uzbrojenia ludu przesłany będzie.“

Dlaczego nie wyzyskano tego momentu do powiększenia sił powstania, dlaczego nie nadano mu charakteru prawdziwie rewolucyjnego i ludowego? Złożyła się na to napewno psychologia ludzi z Rady, nie wierzących—po ochłonięciu z pierwszych wrażeń walki warszawskiej—w siły nowego prądu, zrażonych pewną anarchią, jaką w nim zauważali, pojmujących wreszcie walkę w ten jedynie sposób, jak ją prowadzono w roku 1792. Tłómaczą ich jednak poniekąd i warunki. Na to, żeby poruszyć lud, trzeba było dwóch rzeczy: poważniejszego zwycięstwa i przybycia Kościuszki do stolicy. Chłopi z okolic Warszawy chwycili np. za broń dość licznie i dość zacięcie na wiadomość o zwycięstwie w stolicy; wytrąciły im ją z rąk odrazu represye Igelströma i Nowickiego. Tymczasem widzieliśmy, jak się przedstawiało położenie Warszawy pod względem wojskowym, jak trudno było myśleć wtedy o większej akcji zaczepnej. Następnie, bez osobistego zjawienia się Naczelnika—dowodły tego czasy Rady Najwyższej—żaden rząd nie mógł pokierować Warszawą. Trudno bowiem opowiedzieć nawet, czem było wtedy dla ludności stolicy nazwisko Naczelnika. Od czasów bodaj Jana III ono dopiero przeniknęło do warsztatów i chat, stając się tam symbolem budzącego się odruchowo poczucia obowiązku wobec kraju. Z zeznań ludzi, stawionych przed Deputacją Indagacyjną, sprawców rozruchów ulicznych, żołnierzy niekarnych, dezterterów etc., z podań niegramatycznych ich żon—widzi się dopiero, czem nawet dla ludzi stojących bardzo nisko moralnie i umysłowo był Kościuszko. Jakże święcie i głęboko wierzono tu w jego moc niezwykłą, w jego życzliwość dla warstw niższych, w bezbrzezną wreszcie łagodność i wyrozumiałość. A cóż dopiero mówić o ludziach, którzy pogarnęli się do walki, żołnierzach, rzemieślnikach; jakimże ważnym argumentem w ich oskarżeniach było zawsze to, że ktoś nie dzielił ich czci dla Naczelnika. Wypowiadał się w ten sposób jedyny bodaj środek pociągnięcia ludu, wierzącego tak święcie w swego przywódcę, ujawniała najważniejsza dźwignia powstania. Takiej ufności nie wzbudził już nikt po nim. A tymczasem jego obecności, a nawet regularnych z nim stosunków, zabrakło w Warszawie.

III.

Rada nie umiała, nie zdołała, nie mogła w części zużytkować ruchu ludowego; miało się to pomścić na niej tem silniej, że była rządem wyjątkowo słabym. Była naprawdę władzą kolegialną, w której żadna potężniejsza ręka i głowa nie naprawiała zasadniczej wady organizacyjnej, była następnie rządem prowizorycznym i za często mówiła ludności o tej prowizoryczności, była wreszcie władzą, która wynikła z rewolucyi ludowej i nie była w stanie nawet używać silniejszych środków przeciw zawierusze ludowej. „Siła nasza rządowa, mówiono w raporcie do Kościuszki, jest dosyć wątła, po rewolucyi nikomu przykrą być nie mogła.“ Jakże tu było zwracać się przeciw temu ludowi, który oswobodził Warszawę, a któremu nie szczędzono słów uznania, nie skapiono nagród. Z całej pierwotnej nadziei oparcia się na ludzie pozostała Radzie jedynie chęć ugruntowania swych rządów na szerokiej popularności, na łagodnem, wyrozumiałem postępowaniu z ludnością stolicy. Dlatego np. ogłaszała ona drukiem protokoły swych czynności, zdawała sprawę ze wszystkich wiadomości z pola walki, pomysłów wojennych, w tej mierze, w jakiej nie czynił tego po niej żaden rząd polski; dlatego ustępowała, gdzie tylko można było ustąpić, czasami nawet z wyraźną szkodą dla sprawy powstania. Gdy Mokronoski chciał ściągnąć z placów publicznych armaty do naprawy i radził wydać odezwę o tem do publiczności, Rada, obawiając się poruszenia, odmówiła jego żądaniu i zakazała zabierać armaty bez swego upoważnienia, chyba, że każdą zabraną zastąpi się odrazu nową. Wojsku zbywało wciąż na broni palnej, której nie udało się sprowadzić przez Niemcy i Austryę z Amsterdamu, Liège i Drezna, choć zakontraktowano i zapłacono tam nawet częściowo liczny transport karabinów nowego modelu. Tymczasem Rada dopuściła do tego, że z 13,600 karabinów, znajdujących się w arsenale, a sprowadzonych częściowo w tajemnicy przed Rosyą przed samem powstaniem, 7941 dostało się w ręce ludu, a tylko 2527 rozdano wojsku. W ciągu jednego dnia 8 maja, właśnie w czasie, gdy najbardziej obawiano się oblężenia, lud zabrał z arsenału za 18,000 dukatów broni i ładunków.

Należy zresztą zaznaczyć i to, że Rada, gdyby nawet chciała postępować ostro, nie miała środków ku temu. Nie posiadała żadnej prawie policyi, gdyż dawna, marszałkowska, uległa pewnej dezorganizacyi, a nową stworzono dopiero za Rady Najwyższej.

Nie mogła ona następnie nigdy liczyć na milicję obywatelską, a często nawet i na garnizon stolicy. Wśród wojsk, konsystujących w Warszawie, panowały na ogół stosunki bardzo dobre. Udział w przygotowaniach do wybuchu, w walce ludowej umocnił w oficerach i żołnierzach poczucie obywatelskie; budzące się w całej Warszawie zamiłowanie do służby wojskowej, napływ sił inteligentnych do szeregów—uczyniły je prawdziwym przedstawicielstwem narodu. Rozporządzenia Kościuszki, który posunął wszystkich uczestników walki o stopień wyżej, ogłaszając, że odtąd tylko zdarność ma decydować o awansie, zachęciły korpus oficerski do studyów fachowych i poważnego traktowania swego zawodu. Na wystawach księgarskich ukazały się znowu wydawnictwa wojskowe, schowane po wypadkach 1792 r.; Łęski zapowiadał wydanie nowego dzieła o taktyce, a młodzież garnęła się na wykłady Hubego do szkoły kadetów, które na życzenie profesora uczyniono publicznymi. Oficerów brukowych pozbyto się odrazu ze stolicy, natomiast przybywali tutaj licznie do swych pułków urlopowani dawniej, nieraz z za kordonu, rzucając swe rodziny i majątki. I „gemejnow“, którym rewolucja rozluźniła potrosze karby dawnej karności pruskiej, podobnie jak zniosła harcapy pruskie, otwarcie przez Kościuszkę drogi do szarż dla wszystkich, awansowanie wielu podoficerów i szeregowców na oficerów za walkę warszawską—podniosło na duchu, uczyniło jeszcze dumniejszymi ze swego zawodu. Na polu walki garnizon ten spełniłby niezawodnie dobrze swą rolę. Ale wielu oficerów nie przyjmowało bez zastrzeżeń polityki Rady, podzielało pogląd klubów, a nieraz i wprost należało do nich. Z klubów zaś wychodziły stale podejrzenia, skierowane przeciw nowej starszyźnie wojskowej. „Mokronoski — mówiono tu — duszą i ciałem królowi poświęcony... i przez ten kanał król ma dużą influencję... Rada wojenna, złożona z oficerów wszystkich korpusów, zawsze na ustęp wychodzi przy każdej decyzji, a Mokronoski w liczbie dwóch lub trzech decyduje, a w liczbie tych zawsze Cichocki. Cichocki równie zawsze w Komisoryacie...; na płótno, którego dość ma w magazynie, jeden pułk 2 tygodnie czekał... Dwóch oficerów rosyjskich przechowanych znaleziono u niego.“ I szeregowcy, pochodzący często z samej Warszawy, przebywający tutaj oddawna, zbyt żywo odczuwali to wszystko, co czuła jej ludność. Dlatego Joachim Moszyński, późniejszy szef policji bezpieczeństwa, rozważając w d. 31 maja sprawę utrzymania porządku w Warszawie, oświadczał Kołłątajowi, że: „garnizon cały musi być złuzowany nowym,

a teraz będący wprowadzonym w karność nie zostanie, chyba gdy Najwyższy Naczelnik go do swojej armii zainkorporuje.⁴

Ludność Warszawy wybornie odczuwała słabość tego rządu, który groził czasami użyciem siły zbrojnej, ale nigdy nie wyprowadził jej na ulicę. Od czasów walki przyzwyczała się ona gromadzić i obradować tłumnie na ulicach, miała w dodatku broń w rękę, a później i pewną organizację w postaci milicyi municypalnej, gdzie przy wyborach setników, tysięczników i komendantów cyrkułów staczano formalne walki partyjne. Rady nie słuchano zwykle, wiedząc, że zawsze prawie ustąpi w końcu. „Nieostrożnością i popędliwością, do której ludzie byli przywykli przez ten rczruch i niespokojność”— tłumaczyła później Marya Damięcka przed Kołłątajem swego męża, aresztowanego za okrzyki przeciw wjeżdżającym do stolicy Ignacemu Potockiemu i Kołłątajowi. W chwilach większego wzburzenia żadne nazwisko popularne, żadna powaga nie imponowały, nie wzbudzały w ludności zaufania. Gdy 8 maja Zakrzewski wysłał w swej karecie dwóch członków Rady dla sprowadzenia Stanisława Augusta z Pragi, tłum nie pozwolił im jechać, krzycząc, że to prezydent ucieka z Warszawy za królem; w nocy z 8 na 9 maja usiłowania członków Rady nie wywarły żadnego wrażenia na lud, pilnujący stawiania szubienic, a rankiem 9 maja nie zdała się na nic wymowa Zakrzewskiego, Wulfersowi zagrożono nawet osobiście. W codziennych stosunkach najrozmaitsi doradcy ze sfer mieszczkańskich zasypywali Radę memoriałami, które zawsze wypadało traktować poważnie. Liczono się z nimi, czy wtedy gdy Stanisław Nowicki domagał się ukarania Targowiczian i odebrania mennicy królowi, dodając, że „jeżeli prześwietna Rada ma jaką opozycję w tem, niech zawiadomi lud, który jest troskliwym o dobro kraju... a ma prawo żądać mieć o wszystkim wiadomość,“ czy nawet wtedy, gdy nieznaną projektodawca zauważał, że „ratusz miasta Starej Warszawy nie jest dość wygodny dla pomieszczenia składu Rady, a nawet ma zamknięte powietrze, przez co członki Rady osłabiać się na zdrowiu mogą.“ Dopiero za czasów Rady Najwyższej nawrócony klubista Joachim Moszyński, który zorganizował policję bezpieczeństwa i ostro zwrócił się przeciw działalności klubów, podał oryginalny projekt zużytkowania podobnych memoriałów. „Przyjmowanie w karbonę dużą—mówił—na ten koniec przygotowaną, wszelkich projektów, pism, refleksyów, choć bezimiennych, a których autorów łatwo dociec będzie można, mając w konspiracyi (spisie ludności) wszystkich własnymi rękami spisanych,

będzie łatwym sposobem docieczenia burzliwych i niespokojnych głów.“

Następnie po zwycięstwie kwietniowym ludność Warszawy dręczoną była przez cały szereg obaw i podejrzeń. W drugiej połowie maja np. rozeszły się wśród niższych warstw rzemieślniczych pogłoski o tem, że w kościele luterańskim znajduje się 50,000 karabinów, które za zbliżeniem się Rosyan lub Prusaków dyssydenci mają rozdać jeńcom rosyjskim i przy ich pomocy dokonać rzezi w stolicy. Aresztowano paru ludzi, „rzeź dyssydentów i Żydów z hałasem doradzających,“ rozlepiających po ulicach plakaty „z wezwaniami do wyrżnięcia neofitów.“ Zeznania ich rzucały dziwne światło na sprężyny i psychologię tej agitacji. Przyłapano na rozlepianiu plakatów Antoni Niewiarowski tłumaczył się tem, że dał mu je „jakiś narodowiec w kurtce towarzyskiej...“ mówiąc: „Mój przyjacielu! poprzylepiał to, bo to tak dobre, jak od Kościuszki; wy wszyscy przez to będziecie szczęśliwi. Jeżeli kochasz Kościuszkę, to to przylep!“ Okazało się, że przez to charakterystyczne kłamstwo Niewiarowski chciał „pokryć człowieka takiego, który dobrze robił dla ubogich ludzi,“ t. j. eks-jezuitę Kosteckiego, istotnego autora plakatów. Można sobie wyobrazić, w jaki sposób ta agitacja działała na lud. „Co to ta kocia wiara narobiła!—poczęto mówić po warsztatach Starego Miasta.—Będziemy ich tak rżnąć szelmów jak Moskali, jeśliby tak było.“ Tu i owdzie doszło już nawet do drobnych zajść.

Przy podobnym nastroju, zbiegowiska i fałszywe alarmy były na porządku dziennym zaraz po 18 kwietnia, a powód do nich dawało byle co. Przecież istotnym powodem alarmu 8 maja było ukazanie się od strony Powązek małego oddziałku kawalerzystów narodowych Ożarówskiego, których wzięto za Rosyan i Prusaków. Nieostrożnie wypowiedziane słowo, wymowa z ruska — ściągały w tej chwili tłum, który groził nieraz napadem na dom, gdyby mu nie chciano wydać osoby podejrzanej. W tych czasach, gdy każdy mający broń w rękę uważał się za uprawnionego do aresztowania, podejrzania ludowe przepędziały nieraz więzienia. Ludzi aresztowano za byle co: Piotra Wolańskiego osadziła w więzieniu kupcowa za to, że chciał u niej nabyć maski „do straszenia,“ szlachcica Romanowskiego przytrzymało u rogatek, gdy powiedział, że jedzie z Szymanowa, a jego woźnica, że z Nowej Wsi, należącej do klucza Szymanowskiego. „Z woli i prywatnej nienawiści J. P. Kiewłowicza, zem naganiał żonie jego rozsiewanie próżnych plotek, mylnie zaskarżony i przez niego samego wzięty, siedzę niewinnie siódmy dzień w areszcie,“ skarżył się niejaki

Darewski. Czasami zdarzało się, że ludzie, na których padło podejrzenie ludowe, woleli sami iść do aresztu i prosić o śledztwo. Radę, a później Deputację Indagacyjną zasypywano denuncjami. „Cieszyć się z uzyskanej tak miłej ludziom wolności—mówił, wnosząc oskarżenie, Jan Iwaszkiewicz—nie dosyć. Czuwać jeszcze, aby ta przez skryte narzędzia fakcyi zachwianą albo wzruszoną nie była, każdego poczciwego republikanina jest powinnością.“ „W terażniejszym czasie wszelka ostrożność winna być zachowaną—mówił w podobnej okazji A. Piasecki—a mający nadzieję przeciwnych obrotów w powstaniu narodowemu, nie jednakoż z narodem życzący, a tem samem zdrajcy, donoszonymi być powinni.“ Po takich ustępach następowały oskarżenia przeciw dysydentom, Żydom, królowi, którego myśl o ucieczce wciąż gnębiła stolicę, otoczeniu królewskiemu, ludziom rozsiewającym fałszywe wieści. Nieszczęsna przeszłość targowicka i grodzieńska, fakt, że Rosyanie i Prusacy mieli stałych korespondentów w stolicy—tłumaczyły poniekąd ten nastrój ludności, który czynił ją tak bardzo podatną na wpływy klubów.

Rada starała się trochę odprowadzać ten prąd bezładu i wrzenia w łożysko korzystne dla powstania. „Ludzi luźnych“ skierowała ona do oddziałów ochotniczych, których formacja w pierwszych chwilach zapału poszła z niezwykłą szybkością. Taki pułk Kwaśniewskiego, liczący 400 ludzi doborowych, a wśród szeregowców niemało młodzieży inteligentnej, a nawet byłych oficerów, między innymi Ponińskiego, można było już 26 kwietnia wysłać w pole. Inne oddziały ochotnicze, do których stolica dostarczyła ogółem do 2,244 ludzi, wykomenderowano w okolice już w pierwszych dniach maja. Trochę gorzej poszło z uzupełnieniem wojska regularnego. Mokronoski obliczył początkowo, że do skompletowania garnizonu wypadnie dostawić 4,840 rekrutów; tymczasem na schyłku rządów Rady otrzymano ich tylko 2,747 (podług innych danych 3,823), choć nie wiadomo, czy winę ponosiła tu Warszawa, gdzie rekruta dawano naogół chętnie, czy też Księstwo Mazowieckie, w którym szlachta oświadczała—może nie bardzo szczerze—że bez pomocy komend wojskowych nie wymusi rekruta na chłopie. Skierowano następnie ludność do pracy nad sypaniem szaniców, do której pogarnęła się ona całymi tysiącami. Na razie jednak, dzięki brakowi decyzji Rady, dzięki warunkom zresztą, ferment ludowy wyzyskały kluby.

IV.

O klubach tych albo „schatzkach,” jak je wtedy czasami nazywano, wiemy bardzo niewiele i to przeważnie ze świadectw ich przeciwników. Powstały one, podług Zakrzewskiego, już w dniu 19 kwietnia. „Już w tej tu stolicy — donosiła „Gazeta Wolna Warszawska,” mająca niezawodnie pewne stosunki z nimi — wielu dobrze myślących obywatelów, przyjaciół powstania narodowego, w tym jedynie celu udzielają sobie wzajemnie światła i swych wiadomości, aby rząd i zwierzchność poczciwem zdaniem, dobrą radą i zbawiennymi projektami zasilać.“ Z pewnych danych możnaby wnosić, że założyli je ci sami ludzie, którzy w dniu 17 kwietnia znaleźli się obok Zakrzewskiego na ratuszu w charakterze jakiegoś rządu tymczasowego i ustąpili dopiero wtedy, gdy na wezwanie Zakrzewskiego, rozesłane 18 kwietnia, zjawił się tu na drugi dzień szereg więcej znanych osobistości i utworzył Radę Zastępczą. Zakrzewski, mocno nieprzychylny klubom, twierdził później, że należeli do nich czasami ludzie mocno podejrzani: posądzał on klubistów o związki z przyjaciółmi Ankwicza, donosił, że przed 4 maja aresztowano jednego z nich, „z powodu wysłędzonych przy rewizji zdobytych papierów konneksyi jego z Moskwą.“ Wypadek z Lanerim, którego zdemaskowano w podobny sposób, uwalniając go jednak potem od odpowiedzialności i używając do posług w policji bezpieczeństwa, czyni prawdopodobnemi i takie zjawiska. Byłoby jednak przesadnem uogólniać ten fakt i twierdzić, że kluby składały się wyłącznie z ludzi niepoczytalnych politycznie; w takim razie nie zdołalibyśmy wytłómaczyć tego, że na schyłku powstania przystąpili do nich Jasiński i Taszycy, że później, na emigracyi i w kraju, ich zwolennicy zdołali zgromadzić całe szeregi ludzi w swej organizacyi. To też ze świadectw pamiętnikarskich wiemy, że należeli do nich ludzie innej miary, dawni spiskowcy odłamu radykalnego, mający duże zasługi z doby spisku i walki dwudniowej. Takim był Tomasz Maruszewski, podobno właściwy organizator zwycięstwa warszawskiego, który 5 maja przybył znowu do stolicy z rozkazami Naczelnika i stał się głównym sprawcą wieszai 9 maja, takimi inteligentny i rzutki Jan Dembowski, ks. Meier, ks. Jelski i Konopka, posiadający znaczny wpływ na ludność stolicy, takimi wreszcie dość liczni oficerowie radykalni w rodzaju dzielnego Chomentowskiego. W deputacyach powstańczych przewijają się już i nazwiska młodszych członków klubu: Karola Eisbacha, Bartłomieja

Szuleckiego, Alojzego Orchowskiego, Kalasantego Szaniawskiego i in., którzy potem wytworzyli stronnictwo t. zw. jakobinów polskich.

Jakiż był program tych klubów? co przeciwstawiwały one ostrożnej, umiarkowanej polityce Rady Zastępczej? Wiemy bardzo niewiele o aspiracjach tych „duchów francuskich“; słyszy się tylko o ich teroryzmie i demagogii. A jednak z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać można, że teroryzm nie był dla nich wszyskciem, że były one przedewszystkiem rzecznikami zaciętej, rewolucyjnej walki, jaką zapowiedział Akt Krakowski, następnie naśladowania przykładu Francji, który mimo wszelkie zaręczenia Rady porusza do głębi serca w Polsce. Zajmowały się one na pewno sprawą przyszęłego ustroju Rzplitej, dyskutowały nad prawami człowieka, podnosiły myśl zmiany położenia włościan, choć nie wiemy dokładnie, w jakiej postaci. Joachim Moszyński doradzał potem Kołłątajowi—w celu zwalczania ich wpływów—wydanie pisma, „któreby mocno wytkłomaczyło, że jak przezorność i oko dozorcze ludu francuskiego sprawiedliwie się tym objektem zatrudniają, kiedy ten naród razem i bije się i rząd stanowi, tak naśladowanie tegoż ludu przez Polskę jest zdrożnem, kiedy Polak przyrzekł sobie aktem rządu nie stanowić, póki się bić będzie.“ Zwracano się tu następnie ostro przeciw Radzie, zarzucając jej, że nie umie wyzyskać zapału ludowego. „Lud—mówiono—który rewolucyę tak sławną uskutecznił, jest z najwyższą pogardą traktowany. Subselia są napełnione ludźmi podejrzanymi, nawet szpiegami, dawniej od Rosyan płatnymi. W całych robotach Rady zdaje się być, jak gdyby arystokracja i zupełna anarchia były jedynym celem.“ Klubiści krytykowali również umiarkowanie Rady na polu dyplomacyi: żądali odrazu uwięzienia Buchholtza i ponowili to żądanie 8 maja, domagali się usunięcia od kierownictwa Wydziału dyplomatycznego zbliżonego do króla Dzieduszyckiego, któremu przypisywano widać rokowania medycyjnne. „Sposób traktowania z ministrami zagranicznymi—skarżono się tutaj—jest jeden dla wszystkich i z równą oziębłością traktowani szwedzki, duński, jak pruski.“

Tematu do dyskusyi klubowych dostarczało jednak głównie postępowanie Rady z królem i sprawa teroru rewolucyjnego. Klubiści stali się odrazu rzecznikami wszystkich podejrzeń ludowych, skierowanych w stronę zamku, mówiąc wciąż o zamierzonej ucieczce króla, o tajnych konferencyach jego zwolenników, o ukrywaniu na zamku Rosyan. Dzięki ich agitacyi, Rada została zmuszoną do przeprowadzenia formalnej rewizyi w zamku i ciągłego

dozorowania króla. Zwalczali oni Stanisława Augusta wznawianiem oskarżeń z r. 1792. Zarzuty te doprowadziły do publicznego pouczenia króla przez kaznodzieję, ks. Witoszyńskiego, na nabożeństwie za poległych, ścigały go, gdy ukazywał się przy sypaniu okopów. „Patrz, królu — przemawiał do niego plakat, rozpowszechniony przy tej okazji—jak ten lud, który mężnie krwią i życiem zgromił nieprzyjaciół Ojczyzny, dziś tą samą mężną dłonią ryje twarde skiby ziemi na ugruntowanie tej tak drogiej wolności. Patrz, jak jest mocne i święte hasło: „naród z Ojczyzną! Ojczyzna z narodem!“ O, gdyby twoje hasło było prawdziwem, nie przyszłoby nam do tej konieczności rozlania tyle krwi ludzkiej.“ „Nie zaczynaj, Najjaśniejszy Panie!—dodawała na plakacie kobieta, widząc, że król bierze rydel do ręki—bo co zaczniesz, to wszystko źle się skończy.“

Chodziło następnie klubom o uwięzienie i ukaranie przykładne uczestników Targowicy i Grodna. Wymagała tego konieczność oczyszczenia atmosfery moralnej życia narodowego, uznawana zresztą przez szerokie koła społeczeństwa. Wypadki na Litwie, liczne akty województw, które, przystępując do powstania, żądały usunięcia od udziału w życiu politycznym narodu uczestników Targowicy i Grodna, przekonywały o tem dowodnie. Prąd ten ogarniał nawet nawskroś humanitarne warstwy inteligencji. „Tysiące obywateli obojej płci—pisał Zakrzewski o wypadkach 9 maja—którzy od podobnych egzekucyi oczy odwracali i przez życie swoje na one patrzeć nie chcieli, tym patriotycznym tragicznym scenom oklaski i okrzyki radości dawali.“ W tej sprawie klubiści mieli za sobą dużą część społeczeństwa i może dlatego cała ich działalność skupiła się na tem wyłącznie polu. Zażądali oni odrazu aresztowania całego szeregu osób, domagali się, aby poczty, furmani, przewoźnicy na Wiśle nie wypuszczali z Warszawy nikogo, a to pod karą śmierci, aby „papierów ruskich i w innych językach zabranych najspieszniejsza nastąpiła rewizya i tłómaczenie, a to w przytomności od ludu delegowanych, dla dojścia planu, wpływu i środków na zgubę Ojczyzny użytych i użyć przedsięwziętych.“ Byli oni zwolennikami łagodnego obchodzenia się z jeńcami wojennymi. „Żywność dla nich przyzwoita—żądali—żeby była obmyślona, iżby człowiek w niewoli zostający u ludu o wolność walczącego poznał, że słodsza niewola, niżeli wolność nikczemnymi sucharami dawnych dowódców ich opłacana. Ranieni nieprzyjaciele—być powinna i nad tymi dana baczość, dlatego, że i to ludzie.“ Domagali się natomiast surowego traktowania „swoich wyrodných Polaków“ i takiego dozoru nad

nimi, któryby uniemożliwił ucieczki i porozumiewanie się między sobą.

Widzieliśmy, jakie stanowisko w tej sprawie zajmowała Rada; doprowadziło to odrazu do starć z klubistami, którzy ze swemi skargami zwrócili się do obozu. „Sąd Kryminalny Księstwa Mazowieckiego — pisali do Kołłątaja—obiecuje, że wszyscy kryminaliści będą uznani niewinnymi, bo już i o Rogozińskim mówią, że nie masz go z czego sądzić. Paszportów co niemiara wydają, a wielu takim, którzyby raczej do aresztu brani być powinni.“ Roli pośredników między nimi i obozem podjęli się kuryerzy do Kościuszki: Maruszewski, Joachim Moszyński przedewszystkiem, którzy w Warszawie odegrywali rolę krytyków, a nawet i cenzorów nowego rządu. Taki np. Moszyński przeprowadzał tutaj epurację urzędów: usunął z deputacyi powstańczych Rylskiego, „redaktora praw grodzieńskich“, Płońskiego, urzędnika policyi marszałkowskiej, którego na jego rozkaz wzięto nawet do aresztu, pozbawił bankiera Maysnera udziału w dozorze więźniów dyplomatycznych rosyjskich. Maruszewski i Moszyński skargi klubów zawozili Kołłątajowi.

I należy stwierdzić wyraźnie, że we wszystkich tych sprawach, z wyjątkiem medycy pruskiej, Kościuszko w tym czasie zgadzał się ze stanowiskiem klubów; wystarczy do przekonania się o tem proste zestawienie faktów. Z korespondencyi Zakrzewskiego okazuje się np., że nieprzyjęcie akcesu króla do powstania, odebranie mu gwardyi, mennicy, surowe kontrolowanie jego korespondencyi, nastąpiło na wyraźne życzenie Naczelnika. Wbrew żądaniu Rady, a zgodnie ze stanowiskiem klubów — polecił on również aresztować Skarszewskiego, Moszyńskiego i Massalskiego, ganił bardzo surowo zwłoki w rewizyi papierów poselstwa rosyjskiego, niedbalstwo w dozorze więźniów, łagodność praktyki paszportowej. Kluby skarżyły się na Dzieduszyckiego, Kościuszko polecał ograniczyć jego wpływ; kluby mówiły o przeciążeniu podatkowem biedniejszej ludności, Naczelnik rozkazywał skreślić szereg niższych pozycyi poboru i zwrócić nawet pobrane pieniądze; kluby wreszcie narzekały na fatalny, niepewny skład niektórych deputacyi — i zaraz z obozu przychodziła surowa nagana. Jednem słowem—stanowisko ówczesne Kościuszki było dalekiem od tego umiarkowania politycznego, jakiego się trzymała Rada. Doprowadzało ją to stopniowo do przekonania, że nie posiada zaufania w obozie. „Rada—broniono się przed Kościuszką—acz przy największej usilności dopełniła tego, co zapal ludu i pomnożenie siły zbrojnej zapewnić może, wdzięcznie przyjmuje napom-

nienia od tej ręki, która, dźwigając naród z upadku i niewoli, całemu narodowi pomyślność ma odzyskać... Ze Rada jaknajściślejszą zwróciła bacność na osoby podejrzeniu jakowemu podległe i w opinii publicznej źle położone, o tem lista aresztowanych... dosyć przekona. Między którymi... nie wiele takich liczyć się może, na którychbyśmy przekonywające dotąd mieli dowody... Straż tych aresztantów, gdy dla niesposobności komendanta do dawania regularnego żołnierza, przez osoby cywilne odbywaną bywa, wiele stąd błędów i przestępstw się okazało... Strofowanie Twoje Naczelniku, żeśmy wypuszczali z Warszawy takie osoby, za przestrogę nadal przyjmując, nie baczmy się dotąd do winy... Wydział dyplomatyczny zatrudnia się ciągle rewizją mnogich papierów... Znajdziesz w nich zbiór niemały zdrad przeciw narodowi i płatnych jurgielników na zgubę naszą; które zaś osoby z tychże wyśledzone zostały, a w obrębie Warszawy się znajdują, te już wolne nie chodzą... Ponawiając więc prośbę, ażebyś nam szczególniejsze dawał zlecenia, które osoby z Departamentu żywności chcesz mieć wyrugowane, dopóki tej nie odbierzemy, staraniem naszym będzie, ażeby w niej zdrady się nie popełniały... Nieukontentowanie Twoje, gdyby przeszło do ludu, już nie osłabić (władzę naszą rządową), ale ją roznieść może.“ Tak pisała Rada jednak dopiero w dniu 22 maja, na schyłku swych rządów, gdy już poprzednio szereg demonstracji ludowych, zmusił ją do ustąpienia z zajętego pierwotnie stanowiska. Kluby potrafiły wyzyskać i ferment panujący wśród ludności i niezadowolenie obozu z polityki Rady, doprowadzając przez to, niestety, do formalnej anarchii w Warszawie.

V.

Do pierwszej demonstracji ludowej, zorganizowanej przez kluby, doszło już około 21 kwietnia i Radzie Zastępczej przedstawiono wtedy t. zw. „żądania obywatelskie,“ złożone z 23 punktów. Klubiści domagali się tutaj między innymi, „żeby Rada przynajmniej jedną osobę wyznaczyła do słuchania wszelkich od ludu doniesień i te natychmiast potem ad plenum dochodziły i w wypadkach potrzebnych niezwłoczna bacność zaradzająca wynikała skutecznie,“ „żeby lud mógł niezwłocznie wiedzieć o sile do odporu będącej: wiele jest anunicyji w arsenale, prochu, armat własnych, a wiele nieprzyjacielowi odebranych i jakiej wielkości,“ „żeby z odleglejszych od Warszawy miejsc na wszystkie strony ustawiczne i pe-

wne dochodziły wiadomości o najmniejszym postępowaniu nieprzyjaciela.“ Była tu mowa następnie o dozorze nad królem, aresztowaniach, o niewypuszczaniu nikogo ze stolicy, rewizji zdobytych papierów, dozorze więźniów etc. Rada ustąpiła odrazu na wszystkich prawie punktach, jak świadczą dowodnie jej protokoły z dni 21—24 kwietnia, starając się tylko uratować pozory. „Wypadają zdarzenia—odpowiadała w odezwie z dn. 22 kwietnia na główne żądanie klubistów—że lud skupiony... czeka oświecenia lub uwiadomienia rzetelnego... w takowym przypadku powinnością będzie każdego urzędnika... stanąć w gronie ludu, żądania jego wysłuchać, zapytanie rozwiązać, umysły oświecić, a po takowem oświeceniu lud za rekwizycją przez urzędnika swego nieodwłocznie uspakajać i rozchodzić się będzie... Żeby zaś tenże lud urzędników swoich... poznawał, każdy zasiadający w Radzie Zastępczej, jako konsyliarz, będzie mieć na lewej ręce chustkę ponsową zawiązaną.“ Równało się to, jak widzimy, zupełnemu ustąpieniu w praktyce, przy zachowaniu pewnej godności, co do formy. Ograniczono, stosownie do żądań ludu, wydawanie paszportów, rozciągnięto dozór nad pocztą i przewoźnikami, nakazano rewizję zdobytych papierów, utworzono Sąd Kryminalny, obostrzono dozór nad więźniami. Rada uznała dokonane przez lud uwięzienie Kosakowskiego, zabrała z zamku Ożarówskiego i Ankwicza, od rezydentów szwedzkiego i saskiego, Antoniego Czetwertyńskiego i Karola Boscampa, przyjęła wreszcie oskarżenia co do konferencji w zamku i ukrywania się tam Rosyan. Musiała ona w tym czasie uleść również żądaniom ludu w sprawie pierwszorzędnej wagi: mianowicie 23 kwietnia, chcąc ułatwić sobie dozór nad ludnością, nakazała ona zwrócić broń zabraną z arsenału, a już 24 kwietnia cofnęła prawie całkowicie to zarządzenie. Położenie jej było nie do pozazdroszczenia, jak świadczyła choćby przytoczona powyżej częściowo „Proklamacya względem zachowania spokojności.“ „Ta wspaniała rewolucya, sprawiona w nieporządku i rozpacz, odtąd porządkiem jedynie utrzymana i dalej prowadzona nim być powinna... Okażcie, iż według potrzeby umiemy być zarówno mężnymi odporcami przemocy i spokojnymi obywatelami. Ufajcie pieczołowitości i nieustannemu staraniu Rady, wybranej przez Was.“ Grożono tu w końcu użyciem siły wojskowej w razie, gdyby tłum, wezwany przez urzędnika do rozejścia się, nie usłuchał tego wezwania.

Ani ustępstwa te, ani groźby nie pomogły. Rada, wydając w czasie od 24—30 kwietnia coraz surowsze przepisy o paszportach, dozorze więźniów, powiększając kompetencję Sądu Krymi-

nalnego, ustanawiając wreszcie Deputację Indagacyjną, nie zmieniła w niczem swych przekonań i łagodnej praktyki, stwarzając tylko przez to położenie mocno niewyraźne. Klubiści czuli za sobą poparcie ludności i uzyskali w tym czasie silny argument przeciw Radzie w postaci wiadomości z Wilna, gdzie, jak widzieliśmy, nie liczone się wcale z zastrzeżeniami Aktu Krakowskiego co do wymiaru sprawiedliwości. Ich akcja zarysowywała się coraz silniej. „Zgiełk ich (klubów)—donosił Zakrzewski Kościuszce—częstokroć imponować nam zaczyna.“ Demonstracje ponowiły się. „Sądowi kryminalnemu (klub) aż do ułęknięcia zagroził“; klubiści aresztowali na własną rękę i osadzali z powrotem w więzieniu ludzi, których Rada poleciła wypuścić.

Szałę zwycięstwa na korzyść klubów przechyliła ostatecznie demonstracja 1 maja. Rankiem tego dnia przed ratuszem zjawily się tłumy ludu, a w ich imieniu deputacya „mniej przyzwoicie“ przełożyła Zakrzewskiemu nowe żądania. Była w nich mowa o zwiększeniu dozoru nad więźniami i konieczności nowych aresztowań, między innymi—Massalskiego, Skarszewskiego i Moszyńskiego. Rada znalazła się w położeniu wyjątkowo trudnem, bo właśnie tego dnia o 6 rano Sokolnicki przywiózł nakaz Kościuszki, aby aresztować tych trzech ludzi. Wypadło tedy znowu uledez. „Lubo co do tych trzech osób już wzmiankowanych—donosił Zakrzewski—skutek nastąpił, jednak do poznania (klubowi) dosyć się dało, że to bynajmniej nie następuje z jego nalegania.“ Było to, niestety, złudzeniem, bo tegoż dnia cała Warszawa wiedziała, że polecenie aresztowania przyszło z obozu. Klubiści stali się odtąd panami sytuacji. „W sposób łagodniejszy—pisał Zakrzewski do Kościuszki 4 maja—chcielibyśmy się pozbyć tych oratorów, którzy brzmiącemi deklamacyami lud mamia, a nam przeszkody czynią. Obwieszczenie Twoje w tej mierze jakie, potrafi stłumić to przypstrzone niby duchem gorliwości towarzystwo.“

Od tego czasu jawnie i systematycznie kluby przygotowywały wszystko do wielkiej, decydującej demonstracji, przez którą chciały zmusić Radę do pójścia za przykładem Wilna. Pisał o tem do Kościuszki Zakrzewski już w dniu 4 maja, donosił mu również Stanisław August 5 t. m., przewidując z góry, że Rada znowu będzie musiała ustąpić.

Wypadki 8 i 9 maja zdyskredytowały już całkowicie Radę. Alarm 8 maja, którego sprawców nie wykryto nigdy, gdyż aresztowanych doraźnie 4 ludzi z pośród otoczenia Ankwicza wypadło uwolnić, podobnie jak i 6 klubistów, z powodu oczywistej niewinności, wstrząsnął do głębi stolicą. Była to jedna z tych

panik masowych, przejmujących na razie uczestników do głębi duszy, po których na drugi dzień zostaje tylko pytanie, skąd się to wszystko wzięło i uczucie nieokreślonej niechęci do całego świata z wyjątkiem siebie samego. Lud zwrócił się wtedy głównie przeciw Stanisławowi Augustowi, którego nawet Rada posadzała poważnie o zamiar ucieczki. „O którym wyjeździe (króla) dowiedziawszy się, Mokronoski zaraz dysponował kilkadziesiąt koni z nowo erygowanego pułku wolontaryuszów pułkownika Ośmiałowskiego, ażeby w rezerwie znajdowali się, jeżeliby król do umknienia pokusić się śmiał.“ Wypadło wysłać odrazu delegację na zamek z żądaniem, „ażeby (król) spacerów nie używał, tylko w Saskim Ogrodzie... i przyjął 4 lub 8 adjutantów municypalnych, którzyby bezpieczeństwa jego osoby pilnowali.“ Ale wkrótce burza skierowała się i przeciw Radzie. Doszło do „fermentacyi i zgromadzania się w różne miejsca ludu“ i „nieskończonych to na króla, to na komendanta, a wreszcie i na mnie i na Radę suppozycyów“—pisał o tem Zakrzewski.

W tym stanie rzeczy, gdzie cały świat szukał winnych, klubisci z łatwością zdołali przeprowadzić swoje. „Między godziną 10 a 12 w nocy publiczność stawianiem się szubienic... zatrudniła, których budowania lud pod bronią nieodstępnie dopilnował.“ Rada wiedziała o wszystkim: podobno Mokronoski chciał użyć wojska, ale niepodobna było liczyć na oficerów, z których wielu wzięło udział w demonstracyi dnia następnego. Skończyło się na tem, że do ludu wysłano Kilińskiego, który, przekonawszy się o bezskuteczności swych przemówień, faktycznie przyłączył się do ruchu i poparł swą popularnością żądania klubistów. Nazajutrz Rada musiała uleść wobec nacisku tłumu, który wdarł się do ratusza, a wśród którego zauważano licznych przedstawicieli inteligencyi i wojska. Tylko Wulfers i Wybicki próbowali się opierać, wystawiając się na znaczne osobiste niebezpieczeństwo; niektórzy z konsyliarzy Rady, mimo wezwań, nie zjawili się wcale na tę niebezpieczną sesję. Wypadło więc starać się tylko o to, „ażeby supplicium nie było ante judicium“, jak mówił Zakrzewski, aby, ulegając żądaniu ludu co do stracenia 4 najwinniejszych z pośród więźniów politycznych, nadać ich procesowi jaką taką formę legalną. Rozszerzono więc kompetencyę Sądu Kryminalnego, dostarczono mu dowodów przeciw winnym, przeprowadzono śledztwo i proces, egzekucję nareszcie—w łącznym okresie czasu 4 godzin.

Kluby tryumfowały. „Już tedy życzenia wszystkich dobrze Ojczyźnie życzących obywateli są skutecznione—pisała „Gazeta

Wolna Warszawska—już kilku zdrajców, którzy ją zaprzędawali, łącząc bezczelność z szyderstwem, odebrało karę... Odrodni synowie Ojczyzny niech się dowiedzą, że teraz w Polsce zbrodnie dumnych magnatów nie ujdą bezkarnie, że nad ich przewrotną głową miecz sprawiedliwości wisi.“ Zapominano tylko, że taki sumaryczny sposób postępowania, nawet w stosunku do tych 4 ludzi, z których każdy niewątpliwie zasługiwał na swój los, dyskredytuje poważnie w Polsce myśl wymiaru sprawiedliwości za zbrodnie wobec kraju.

Rada poszła odtąd jakby na lewo, w stronę pewnego radykalizmu. W swych uchwałach i odezwach mówiła o wzorowym zachowaniu się ludu, rozszerzyła kompetencję Sądu Kryminalnego do wszystkich spraw, datujących się od dnia 24 marca, nakazała zrehabilitować listę zbiegłych przestępców politycznych. „Z dobrowolnego ustnego zeznania tych łotrów (straconych 9 maja)—pisała do Kościuszki—bardzo ważne nam się odkryły rzeczy, przez których dalsze wysledzenie więcej się jeszcze robót zradzieckich przeciw Ojczyźnie odkryje. Zeby jednakowoż miejsca łotrów nie wakowały, na miejsce ubytych Ostroróg, Tęgoborski, Staniszewski i Cerner osadzeni zostali.“ Zwiększono trochę dozór nad więźniami, energiczniej zajęto się sprawą rewizyi papierów, polecono przyspieszyć proces znieawidzonego w Warszawie intendenta policji Rogozińskiego, którego stracono 15 maja.

Nie przejechało to klubistów, zrażonych aresztowaniami i śledztwami z powodu zajść 8 i 9 maja, które Sąd Kryminalny prowadził energicznie. Wyzyskali oni później sprawę znieawidzonego przez siebie członka Rady, Wulfersa, który zgubił się swą nielegalną i dziwaczną wizytą u więźniów politycznych w dniu 15 maja, a którego w śledztwie podejrzewano o to, że usunął z papierów poselstwa rosyjskiego dokumenty kompromitujące Stanisława Augusta. Z klubów szły nadal do obozu oskarżenia Rady o słabość, przyjmowane tam, jak widzieliśmy, coraz chętniej.

Zmiana postępowania Rady zraziła natomiast do niej te umiarkowane warstwy mieszczańskie i szlacheckie, na których się dotąd opierała. Teror był tutaj stanowczo niepopularnym. Dowodził tego już choćby fakt, że w dniu 9 maja Jan Małachowski, członek Rady, uwolnił się od zasiadania w Sądzie Kryminalnym, że 14 maja Sowiński i Baczyński zażądali dymisji ze swej godności sędziów, a cały skład Sądu nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za proces sumaryczny i żądał od Rady wyraźnego zdjęcia jej z siebie. Jednak i Rada nie czuła w sobie siły moralnej do tego i odwoływała się do obozu. „Bardzo zagrażają,

ale słabe tylko umysły—pisano 12 maja—szmery rozmaite, które patriotyzmu maskę na siebie wciskające osoby, a przez intrygę moskiewską zapewne zakupione, przeciw zwierzchności i magistraturom tutejszym rozsiewają, rozgłaszając to, co skład Rady naszej w sekrecie między sobą chciał mieć zachowane, to jest, że Rada nasza Zastępcza, na fundamencie Aktu Krakowskiego, nie miała mocy do sądzenia i ukarania za dawniejsze występki stanu. Trzebaby więc w tej mierze coś takowego publiczności wydać, coby też publiczność zaspokoilo i postępowanie tak Rady, jak i Sądu Kryminalnego usprawiedliwiło.“

W obozie zdecydowano się jednak skończyć z tym stanem rzeczy, który coraz bardziej szkodził sprawie powstania.

Dn. 24 maja nieprzeliczone tłumy ludu prowadziły od okopów przez Nowy Świat do ratusza idącego pieszo Ignacego Potockiego i otaczały powóz, w którym obok Kilińskiego siedział chory na nogi Kołłątaj, kłaniający się na wszystkie strony. Cała Warszawa wyległa na ulice: stały tu pod bronią szeregi milicyi, muzyka przygrywała wesołe marsze, a tłumy brzmiały wiwatami i oklaskami; wieczorem oświetlono częściowo miasto. W tych owacych łączyły się wszystkie żywioły stolicy. Umiarkowani widzieli rękojmię w Ignacym Potockim; klubiści odprowadzali uroczyście Kołłątaja do domu, wygłaszając przytem liczne mowy; lud wreszcie witał w nich wysłańców człowieka, którego tak już często zapowiadano w Warszawie, a który miał przynieść spokój, a może i zwycięstwo decydujące i ustalenie losów Rzplitej... Naczelnika. Rządy Rady Zastępczej Tymczasowej dobiegły swego kresu.

WACŁAW TOKARZ.

KARTKI

Z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757 — 1795).

XXXI.

Zakończyłem tedy swoje czasowe urzędowanie. Znajdowałem się w pozycyi miernego aktora, który choć zmęczony swoją rolą, kontent jest przynajmniej, że go w niej nie wygwizdano. Unikałem rozmaitych okazji, które mogły nadwereżyć mój spokój, zdrowie i majątek. Zawdzięczam to nie tyle mojemu osobistemu rozumowi, ile przymusowemu zajęciu, które zapełniło wszystkie dnie i godziny.

Kończyłem obowiązkową moją pracę o godzinie siódmej wieczorem, posiliwszy się, siadałem na konia i wyjeżdżałem na miasto, następnie udawałem się do Antoniego Dzieduszyckiego, gdzie się zgromadzało zawsze dosyć liczne towarzystwo ludzi rozumnych; była więc poważna rozmowa, a także partya szachów, fajki i łatwość dowiedzenia się, co słychać w świecie, a głównie co się działo na Sejmie.

Po Konstytucyi 3 Maja nasi panowie i młodzież cała wróciła do dawnego polskiego stroju. Strój ten i wąsy tak mnie zmieniły, że mało kto mógł mnie poznać.

Pod względem majątkowym wcale dobrze stałem. Osiem tysięcy złp., które pobierałem rocznie, wystarczały prawie na moje utrzymanie. Najważniejszy ówczesny wydatek stanowiło uformowanie mego szwadronu, co mnie przeszło 40,000 złp. ko-

sztowało. Dochody z mojej ekonomii regularnie wpływały. Te ostatnie lata były bardzo dobre. Całe Podlasie, dowożąc produkta wiejskie do Warszawy, miało zyski niezwykle. Chłopi ze starostwa brańskiego, drobni dzierżawcy płacili swoje należności samymi dukatami. Żona moja, zarządzając majątkiem, żaliła się tylko na brak drobnej monety miedzianej, która gdzieś znikła zupełnie. Dla synów moich szukałem odpowiedniego nauczyciela, był nim eks-kapitan Miller.

Strabla odległą była od Warszawy o 16 godzin drogi. O dom byłem zupełnie spokojny, bo wiedziałem, że żonie i dzieciom na niczem nie zbywa. Teraz, mając więcej czasu, mogłem zrobić bilans swoich własnych interesów. Miałem lat 34, zdrowie żelazne i oprócz majątków ziemskich około 27,000 dukatów w złocie. Zapomniałem powiedzieć, że zdarzyło mi się nabyć ładny folwark o dwie mile od Warszawy, Młociny; było to ulubione miejsce pobytu hr. Brühl'a, naczelnego komendanta artylerji, któremu rozmaici współzawodnicy, zazdroszczący wysokiego stanowiska, różne robili szykany. Żona jego, Saksonka, namówiła go, żeby to miejsce porzucił, co też uczyniwszy, ulubione Młociny mnie za bardzo umiarkowaną cenę ustąpił. Nie mając dosyć czasu, żeby się zająć zagospodarowaniem tego folwarku, wypuściłem go w dzierżawę domowi bankowemu Tepper i Schultz bez kontraktu, tylko na ósmy procent od wyłożonego przezemnie kapitału.

W takich to okolicznościach powróciłem w jesieni 1792 roku do Strabli, gdzie znalazłem pożądaną ciszę i spokój, bo wojsko rosyjskie wymaszerowało na kwatery zimowe, szwadron strzelców wrócił do Białegostoku, a brygada Ożarowskiego do Bielska.

XXXII.

W roku 1793 matka moja i bracia powołali mnie do Galicyi w celu uzupełnienia podziału majątków, pozostałych po ojcu. Pośpieszyłem tam i w ciągu dni pięciu działy były zrobione, na podstawie testamentu ojca naszego. Ja zostałem przy moich majątkach na Podlasiu z dodatkiem folwarku Markopol w Galicyi, przytem wziąłem na siebie spłacenie długów ojca. Stanisław otrzymał Mogielnicę, Ksawery 240,000 złp. na Koniuszkowie oraz majątek Olejów, przyjmując na nich prawa dożywocia naszej matki. Brat mój, Adam, wziął z ogromnymi lasami Sassów. Ksawery, będący już w wieku, w którym można myśleć o ożenku,

prosił mnie, żebym go oświadczył pannie Jabłonowskiej, córce wice-prezesa Sądu szlacheckiego. Zająłem się tem energicznie i w ciągu czterech tygodni wszystko było skończone. Działy nasze wciągnęto do ksiąg stołowych królewskich. Prócz tego podzieliliśmy się stadniną i meblami. Wszyscy byli zadowoleni, a ja łudziłem się słodką nadzieją, że się te kwestye działów na prawdę i na zawsze skończyły.

W roku 1793 brat mój, Adam, przyjechał na wiosnę do Strabli w zamiarze ożenienia się. Hr. Zaleski, przepędziwszy jak najspokojniej cztery lata sejmowe u siebie w Borkach, w Galicyi, powrócił właśnie do dóbr swoich, Turośli, ze swoją siostrzenicą, Konstancyą. Ponieważ ojciec w swojej ostatniej woli wyraził życzenie, żebym się zajął ożenieniem moich braci, a więc wybraliśmy się z Adamem do Turośli.

Następnie hr. Zaleski przybył z siostrzenicą do Strabli. Tutaj urządziliśmy nawigację, maskaradę w rodzaju wschodnim w biały dzień; ja, jako basza ze Strabli, wyjechałem na statku udekorowanym wspaniale naprzeciw baszy z Turośli, przeprowadzającemu się ze strony przeciwnej przez rzekę. W czasie tej podróży, przyjęcie, chłodniki, sorbety, wszystko po turecku. Adam ubrany za murzyna-niewolnika, którego ja ofiarowałem baszy turoślskiemu, który znów ofiarował go swej siostrzenicy; ta zdjęła z niego kajdany żelazne, a włożyła za to kajdany z róż, którymi go owinęła. Na brzegu czekały posiadłane konie, ale basza z Turośli, będąc bardzo otyły, wolał wsiąść do wygodnego powozu, i tak przyjechalśmy do Strabli. Tutaj był obiad, później maskarada, tańce do białego dnia; na drugi dzień zamiana pierścionków, oddanie podarunków, które w tym celu przywoziłem z Warszawy. Później droga wspólna do Grodna, gdzie mieszkał brat panny, Jundziłł, którego trzeba było o przyzwolenie na ten związek prosić. Odbyło się świetne bardzo wesele w Turośli, poczem państwo młodzi wyjechali do Galicyi.

Znów więc spełniłem wyrażone w testamencie ojca polecenie zajęcia się losem braci i miałem nadzieję odpocząć trochę w domu, ale była to tylko illuzya. Emisaryusze francuscy kręcili się po kraju, różni intryganci zjawiali się z propozycjami podpisów, okazywali jakieś papiery hieroglificzne, trójkąty nakłute kropkami, usiłowali tłómaczyć ich znaczenie, ale sami widocznie ich nie rozumieli; kończyło się to wszystko zawsze wyłudzeniem pieniędzy. Miller, nauczyciel moich synów, odbierał masę listów, pisywał sam całemi nocami, a gazety chciwie czytywał. Sejm był

zwołany do Grodna; były więc sejmiki, na których różne tworzyły się partie.

Król przybył do Białegostoku pod ochroną wojska rosyjskiego. Lista deputowanych nie była dostateczną. Prawdziwi patrioci uchylali się od wyborów. Rosyanie, a raczej cesarzowa Katarzyna oburzona była na króla, który nie mógł spełnić obietnic kaniowskich. Sejm się odbył. Kolega mój, Bieliński, człowiek pod każdym względem nieodpowiedni, został obrany marszałkiem. Projekt nowej konstytucyi, przypominającej trochę Konstytucyę 3 Maja, został uchwalony. Ministrowie, rosyjski i pruski, otrzymali od Sejmu sankcyę nowego podziału kraju na zasadzie zajętych już przez ich wojska kordonów. Wojska te tak były rozmieszczone, że nasze najlepsze oddziały były niemi ze wszystkich stron otoczone.

Rosyanie mieli sposobność ocenienia zalet wojsk polskich; to też oficerom wyższych stopni ofiarowywano miejsca w wojsku rosyjskiem. Utworzono brygadę kawaleryi z nazwą „Brygada złotej wolności.“ Sformowano regiment ułanów, niczem się nie różniących od dawniejszych. Król pruski robił ze swej strony różne propozycye wojskowym, znajdującym się w jego kordonie. Z wojska polskiego pozostało to tylko, co się trzymało w bliskości granicy austriackiej; ale i o tych już myślano, żeby im podciąć skrzydła. Wiadomem było, że nowa komisya wojenna, której prezesem był Ożarowski, mianowany hetmanem, obradowała nad zmniejszeniem i zreformowaniem tych resztek armii polskiej. Radzono bardzo sekretnie, ale ten sekret wszystkim był znany.

Co do mnie, to widziałem wyraźnie, że jeszcze nie przebyłem „pola“ ze snu ojca mojego i że roztropniej będzie od wszystkiego się usunąć.

XXXIII.

Trzy państwa sprzymierzone przyczyniły się bezpośrednio do upadłości bankierów krakowskich, warszawskich i poznańskich. Kiedy trzeci podział był już dokonany, każdy z rządów starał się poufnie uprzedzić kapitalistów w nowych posiadłościach, ażeby zakończyli swe rachunki z domami bankowymi i wogóle ze swymi kredytorami.

Zazwyczaj bankierzy udawali się na kontrakty do Mińska gubernialnego, do Lwowa lub Dubna, ażeby zaciągać tam nieraz

milionowe pożyczki. Na takich kontraktach ogromne z rąk do rąk przelewały się sumy. Bankierzy zgłaszali się do większych posiadaczy i ofiarowywali 7 lub 8 procent od kapitałów a dostawszy tyle, co chcieli, wracali do swoich stolic. Tutaj dopiero pożyczali już to panom, już to młodzieży lub samemu królowi, a także i kupcom rozmaitym; dostarczali też wiele rzeczy, sprowadzanych z zagranicy, wszystko jednak na bardzo wysokie procenty. Wielu też bogatych panów zamiast trzymać pieniądze w domu, wołało je złożyć u bankierów i stamtąd w miarę potrzeby czerpać, robiąc ogólny obrachunek przy końcu roku.

Wojna 1792 r. pomieszała szyki tych operacji. Wszyscy posiadacze kwitów depozytowych zgłosili się po odbiór złożonych pieniędzy. Na kontraktach w Dubnie i Lwowie kapitaliści zatrzymali przy sobie swoje walory; bankierzy wrócili z niczem. Powtórzyło się to samo i w Mińsku. Skoro w Warszawie panowie zażądali zwrotu swoich kapitałów, w braku własnych pieniędzy wypłacano do pewnego czasu cudzymi; i oto cała historia ówczesnego bankructwa.

Rząd rosyjski miał u nich znaczne sumy, rząd pruski także swoje pretensye. Trzy sprzymierzone potencje postanowiły utworzyć Komisję główną, złożoną z jednego prezesa i z dziewięciu komisarzy, po trzech z każdego państwa i tym była dana władza ostatecznego sądenia wszystkich interesów i obrachowywania strat tych poddanych, którzy do danego mocarstwa należeli.

Hr. Raczyński, prezes komisji, uprzedził mnie bardzo uprzejmym listem, że jestem wyznaczony jednym z trzech komisarzy ze strony Rosyi. Był to co prawda sposób łatwiejszego zakończenia swojego interesu; ale *sen* mojego ojca, przedstawiający pole nieskoszone, przyszedł mi na myśl, a widząc, że obowiązek taki zatrzymać mnie może jakie lat kilka w Warszawie, wołałem od tego się usunąć. Odpisałem hr. Raczyńskiemu, że ponieważ sam jestem mocno interesowany, mając w masie upadłości majątek Młociny i kapitał, zdaje mi się więc, że nie mógłbym być razem i sędzią i petentem. Gdyby jednak sprawa moja mogła być sądzoną jedną z pierwszych, to wtedy służyć będę chętnie.

Zamianowano kogo innego na to miejsce. Dopiero w końcu 1793 r. Komisya rozpoczęła swoje publiczne posiedzenia. Dano mi znać, żebym przybył do Warszawy. Przybywszy, pooddawałem wizyty naprzód prezesowi Raczyńskiemu, a następnie dziewięciu komisarzom, z których nie znałem żadnego. Ponieważ trzech komisarze pruscy umieli tylko po niemiecku, musiałem osobiście sporządzić o mojej sprawie referat w języku niemieckim, ażeby,

gdy przyjdzie sprawa moja na wokandę, wiedzieli o co w niej chodzi.

Tymczasem cała Warszawa była w ogromnym ruchu. Będąc niezłym fizyognomistą, mogłem wyczytać w wyrazie twarzy spotykanych na ulicy osób ogromne zaniepokojenie. Zbliżał się także dzień, w którym Komisya miała rozpocząć swoją czynność w sprawie Tepperowskiej i los moich 27,000 dukatów oraz Młocin miał być rozstrzygnięty.

Dom Teppera, zajęty na Trybunał w tej sprawie, znajdował się naprzeciw pałacu generał-komendanta Warszawy Igelströma. Ulicą Miodową nieustannie defilowały bataliony wojsk rosyjskich, które przeciągały z wielką paradą; posterunki gwardyi przy pałacu zmieniały się co parę godzin. Czuć było wewnętrzne wrzenie w pośród ludności Warszawy — całe miasto dzieliło się na różne tajemne stowarzyszenia. Były schadzki przy zamkniętych drzwiach. Trzeba było widzieć, co to się wówczas działo. I ja też w końcu dowiedziałem się o wszystkim.

Pułkownik Cichocki ¹⁾ mnie zawdzięczał swoje stanowisko, poczuwał się też do okazania mnie swej wdzięczności, skoro się ku temu sposobność zdarzyła. Będąc naówczas szefem Komisarjatu i generał-majorem, zmuszony był pozostać w Warszawie, ażeby doczekać się zwrotu pieniędzy, wyłożonych ze swych oszczędności na rozliczne dostawy wojskowe. Dzięki swym zdolnościom i niez mordowanej pracowitości, został mianowany komisarzem wojennym. Następnie Ożarowski, zostawszy hetmanem, mianował go komendantem miasta Warszawy, przydawszy mu do nadzoru nad nim generała rosyjskiego, który podpisywał jego rozkazy, rozporządzenia, paszporty i zdawał o wszystkim sprawę Igelströmowi. Ten to właśnie gen. Cichocki oraz krewny mój, Antoni Dzeduszycki, uprzedzili mnie o grożącym mi niebezpieczeństwie.

Mój szwadron wraz ze szwadronem Ożarowskiego²⁾, powróciwszy z kampanii 1792 r., znajdowały się właśnie na Pradze.

¹⁾ Jan August.

²⁾ Kajetan Ożarowski, starszy syn hetmana, urodzony z tegoż pierwszej żony Pacówny, generał-brygadyer wojsk narodowych, zmarły w 1811 r. w Horynce, pod Krzemieńcem, majątku żony swej, kobiety wielkiej świętobliwości, Cecylii z Platerów, kasztelanki trockiej (niektóre o niej szczegóły podaje Karolina Nakwaska w dziełku, p. t. „Cecylia z Platerów O. Obrazek z życia rzeczywistego.“ Lwów, 1876); synem ich był zmarły *in opinione sanctitatis* w kła-

Utraciły one jednego oficera i dwóch jezdnych szeregowców, nie było ani jednego dezertera. Z radością witałem dzielnych moich żołnierzy, ażeby im lepiej zadowolenie moje okazać, rozdałem w pośród nich kilkadziesiąt dukatów. Każdy inny zrobiłby to samo na mojem miejscu. Fakt ten jednak zauważono i doniesiono Igelströmowi, który niezwłocznie obydwą szwadrony odesłał do ich brygady. Ja sam, uprzedzony w porę, miałem się na ostrożności; ale dzięki znajomości mojej z kilku oficerami rosyjskimi, sprawę tę umorzono. Klubiści francuscy nie dowierzali mi, biorąc mnie za stronnika pruskiego; z drugiej strony inni wojskowi z gwardyi królewskiej pułku liniowego Działyńskiego mówili mi na ucho: „Nie zobowiązujemy pana do niczego, ale jesteśmy go pewni.“

Jednem słowem czułem się, jak na wulkanie. Rewolucya wojskowo-ludowa mogła wybuchnąć lada chwila. Król, którego widywałem u pani Branickiej, był przybity i niespokojny. Pewnego razu zwierzył mi swe troski. „Widzę—mówił—że naród pędzi ku rewolucyi, ku swojej zgubie, na to nic już poradzić nie można, niech się stanie wola nieba.“ „Miłościwy panie — odrzekłem — gdybym miał do wyboru długą, nieuleczalną chorobę i wszystkie trwogi powolnego konania, wołałbym umrzeć odrazu na polu bitwy. Choroba naszej Ojczyzny trwa od wieku, stanowczo zaś od 1717 r., Wasza królewska mość niema sobie nic innego do zarzucenia jak to, że przybył zapóźno, aby odrodzić Polskę. Wnioskuję zatem, że lepiejby było, aby rzeczy zdecydowały się odrazu, aniżeli...“ Tu przybycie kilku osób przerwało rozmowę, po której król nabrał przekonania, że należę do klubu zapamiętałych szaleńców.

Postronnie wiedziałem również, że się rewolucya gotuje; to też posuwałem, jak mogłem, swoją sprawę. Nakoniec nadszedł dzień, w którym dozwolono mi bronić osobiście sprawy mojej przed Komisją trzech państw sprzymierzonych. Dowodziłem przede wszystkim praw swoich do majątku Młociny, wykazałem czarno na białem kwitami daty i wysokość sum, złożonych u Teppera. Wygrałem sprawę większością ośmiu głosów przeciw jednemu. Obliczono według mojej książki kapitał z 7%, odłączono majątek Młociny od masy upadłości. Jedynie 12 dukatów odesłano masie

sztorze na Bielanach, pod Krakowem, ks. Wiktor Ożarowski, ur. 1799 r., zm. 1871 r. (Pisali o nim ks. Prokop w „Żywotach Świętych“ i Ludwik Dębicki w „Portretach i sylwetkach,“ wyd. w Krakowie 1900 r.).

Teppera. Suma znajdowała się w kasie. Wydano mi kwit do odebrania swoich pieniędzy. Wszyscy ogólnie przyklasnęli wyrokowi sądu; załatwiwszy inne drobne formalności, udałem się na obiad do hr. Antoniego Dzieduszyckiego, gdzie zastałem gen. Cichockiego. Pieniądze miały być wypłacone o godz. 6 wieczorem. Prosiłem hr. Dzieduszyckiego o powóz i dwóch urzędników, którzyby mi przywieźli 15,000 dukatów kapitału i około 8,000 dukatów procentów.

W całej Warszawie wiedziano już o mojej wygranej. Czekamy w salonie hr. Dzieduszyckiego, nasi wysłani urzędnicy nie powracają... przez ten czas przyniesiono do mnie kilka listów z prośbą o pożyczkę, o przyjęcie w zastaw brylantów etc. etc. Nareszcie urzędnicy wracają, ale z pustemi rękoma. Od 10 rano do 6-ej wieczorem pan C., mój dawny kolega z Lipska, zdażył zamienić dukaty na inną monetę, przytem na marginesie wyroku znalazłem niezgrabnie dopisane zastrzeżenie, że 27,000 dukatów mają być wypłacone w złocie lub innej bieżącej monecie. Całe to nadużycie było bardzo niesmaczne. Każdy inny byłby wybuchnął gniewem przeciw pamiętnemu uraz koledze, który wypłatał podobnego figla. Odłożywszy zemstę na później, poprzestałem na założeniu protestu i wyszukaniu tego urzędnika, który za rozkazem swego przełożonego zrobił dopisek na akcie wyroku sądowego. Wyznałszy go, zmusiłem do podpisania deklaracji, że czyn ten popełnił bezwłasnowolnie. Co do mnie, byłem prawie zadowolony, że pieniędzy nie odebrałem, gdyż przy nadchodzącej burzy niepodobna było przechowywać w domu u siebie znacznego kapitału, trzebaby było emigrować, ryzykując zatrzymanie na granicy. Miałem nadzieję, że mi to nie przepadnie i że potem będę mógł również odebrać. To rezonowanie znacznie mnie uspokoiło.

XXXIV.

Po skończonym procesie przestałem być celem obserwacji, sam natomiast nie omieszkalem czynić ich w dalszym ciągu. Święta Wielkanocne się zbliżały. Dzień Wielkiej Soboty lub samo Wielkie Święto oznaczono jako chwilę najsposobniejszą do powstania. Wszyscy zwierzchnicy znajdowali się w kościele; łatwo też można było opanować arsenał i rozbroić przeciwników. Ruch panował miśtychany. Oficerowie pruscy, huzarzy, adjutantci przy-

bywali z planami, mapami pod pachą, a po widzeniu się z Igelströmem, powracali pocztą. Podróżowanie w tych czasach było bardzo utrudnione, gdyż poczty zatrzymywano i rabowano po drodze. Wielu szlachty bratało i łączyło się z ludem. Igelström blady, pożółkły naradzał się z Ożarowskim, który bynajmniej nie czuł się spokojnym.

Wszystko oznaczało zbliżające się powstanie. Zagadnąłem raz gen. Cichockiego. „Cóż uczynić zamierzasz, generale?“—pytam. „Palnąć sobie w łeb“—odpowiada. „Hola, hola!“—wołam. „Chwila rozwiązania jest bardzo bliska, sam nie wiem, co robić.“ „Istotnie—odpowiadam—położenie pańskie jest bardzo trudne. Jako komendant Warszawy pod nadzorem rosyjskim jesteś pan uważany powszechnie za zdrajcę; a gdy wojsko połączy się z ludem, coż pan uczynisz? Jeśli zaś uważasz się pan za stronnika rosyjskiego, czemu nie uprzedzasz Igelströma o tem, co się dzieje? Czemu nie radzisz mu, aby raczej opuścił miasto i cofnął się na Marymont, gdzie w każdej chwili mogą nadejść posiłki od Prusaków lub wojska, konsystującego w Grodnie? Któż będzie śmiał go zaczepić, gdy będzie stał w otwartem polu z 80-ciu armatami.“

„Proponowano mu to poprzednio—odpowiedział Cichocki—ale propozycję odrzucił; chce bowiem zasłużyć sobie na mizerną chwałę uśmierzyciela powstania, do którego nigdyby nie doszło, gdyby z miasta ustąpił, a przytem jego dama choruje na spazmy i nie chce go puścić od siebie. Zresztą podejrzewam, że jest to plan ułożony z góry, mający na celu wywołanie zamieszania i ostatniego zawładnięcia Polski.“

Hr. Antoni Dzieduszycki i jego siostra, będąca przedmiotem głębokiego afektu Cichockiego, czy to żartem, czy seryo wymogli na nim podpisanie deklaracji, którą nosił głęboko na sercu, że nie przestanie być nigdy dobrym patriotą, choćby mu to przyszło krwią i życiem opłacić. Cichocki wziął tę deklarację na seryo i aby wzruszyć serce swojej kuzynki, a zarazem opinię swoją naprawić, obmyślił następującą kombinację. Przed Igelströmem i hetmanem Ożarowskim zobowiązał się, że odpowiada za całość arsenału w razie powstania, poczem pozostawiono mu całkowitą swobodę działania. Wówczas, ciągle za pozwoleniem hetmana, sprowadził z Kozienic najlepszy pułk ułanów w 600 koni, aby zastąpić dwa szwadrony kawaleryi narodowej, które zostały odesłane. Wyrachowanie było takie: Jeżeli rewolucya w Warszawie się uda, jest on w posiadaniu 400 ludzi zbrojnych, 200 artylerzystów i 200 strzelców i takiej ilości broni i amunicyi, jakiejby było

potrzeba. Jeżeli rewolucya upada, miał zasługę obronienia arsenału. Pozostawiłem go jego illuzjom, sam zaś zwróciłem się do hr. Dzieduszyckiego, pytając się, co on myśli robić?

Był to dyplomata, który pragnął usunąć się jak najspieszniej od wszelkiej odpowiedzialności i w tym celu najpierw żonę wyprawił do Wielkopolski; wystarał się dla niej o paszport, sam zaś miał cokolwiek później za nią podążyć, licząc przytem na opiekę Prusaków. Podobnej rady i mnie udzielił. Paszport dla mojej żony i dzieci dostałem przez agenta rządu austryackiego; do mnie zaś powiedział: „A ty, Michale, co lubisz wojskowość, armaty i bitwy, pozostań tutaj i trzymaj się zawsze partyi silniejszej.“

Zdecydowawszy się na wyprawienie z kraju żony i dzieci, wysłałem służącego pocztą z paszportem i krótkim listem do żony, polecając jej, ażeby wierzyła wszystkiemu, co jej mój służący powie odemnie. Miał jej powiedzieć w krótkości: „Przygotuj się tu rewolucya, weź z sobą konie, powozy, pieniądze, papiery, dzieci i wyjeżdżaj w tej chwili.“ W paszporcie były wyliczone miejscowości, gdzie się miała udać, to jest do Markopolu w Galicyi.

W kilka dni potem wrócił mój służący z wiadomością, że pani, zamiast wyruszyć w drogę z dziećmi, pojechała do swojej matki do Klukowa, że tam się z nią naradzi i potem zajmie się podróżą. Tenże sam służący przywiózł mi listy od oficerów brygady, donoszące, że przybyli tam oficerowie rosyjscy z rozkazami od hetmana Ożarowskiego, aby szwadrony zmniejszać o stu ludzi; białostockich strzelców zredukować do 40 na każdy oddział. Z rozpaczą i żalem rozpoczęto listy redukcyjne układać.

Po odebraniu tych wiadomości, trzeba było się decydować, co robić ze swoją osobą. Jeżeli zostawałem w Warszawie, musiałem należeć do powstania, w razie wyjazdu, tam mnie znów czekały nieprzewidziane kłopoty. Na dwa tygodnie najwyżej przed Wielkanocą wyjechałem do Strabli. Tam zastałem moją żonę ogromnie zajętą przygotowaniami do święconego, śpiewaniem wraz z dworskimi ludźmi gorzkich żalów i jak to zaraz na wstępie zauważyłem, obrażoną na mnie. Kiedyśmy nareszcie zostali sami i mogła swobodnie wypowiedzieć swój żal, że jej przez służącego przysłałem rozkaz wyjazdu, zanim miałem czas cośkolwiek na to odpowiedzieć, usłyszeliśmy na dziedzińcu tentent koni, szczęk ostróg i pałaszy, zwiastujący przybycie wojskowych. Był to major Rzewuski z dwoma adjutantami, którzy oznajmili nam, że stanowczo nie myślą rozpuszczać swoich żołnierzy i że rewolucya

wybuchła już w Wielkopolsce, gdzie oczekują przybycia Kościuszki. Prosił mnie przytem, abym udał się zaraz do Bielska, gdzie hr. Ożarowski, syn hetmana, czeka na mnie, ażebym się zdecydował ostatecznie i udzielił nowin z Warszawy.

„A co, moja kochana żono? cóż teraz będzie z podróżą? Gdybyś była dziesięć dni temu wyjechała, byłabyś już przebyła granicę i stanęła na miejscu, a teraz nie wiadomo, co robić?”

Tymczasem pojechałem do Bielska. Powiada mi Ożarowski: „Moje szwadrony są zdecydowane nie dać się rozbroić. Cóż ja mogę przeciw woli całej brygady? Mój ojciec ogromnie niebezpieczne zajmuje stanowisko w Warszawie. Redukcyja rozpoczęła się, ale postępuje bardzo powoli; jednakże generał Cycyanow z kilku tysiącami żołnierzy, jak przyjdzie z Grodna, to może nas zmusić do jej przyspieszenia.“

„Czyż tylko o to chodzi?—powiedziałem—Generał Cycyanow nie ruszy się z Grodna, dopóki rozkazu z Warszawy nie dostanie. Co do mnie, nie jestem za powstaniem, które nie może się dobrze skończyć. Pańskie szwadrony mogą się w danej chwili napowrót sformować, skoro wieść o wybuchu insurekcji nadejdzie, a pan będziesz mógł wówczas z całą dawniejszą brygadą czekać rozkazów i iść w wojennym rynsztunku, tam gdzie spokój będzie zagrożony, a powinność powoła.“

Emisaryusze tej brygady już się porozumieli z batalionem strzelców białostockich, tym samym, co się tak dzielnie odznaczył pod Dubienką, ułożono sobie zawiadomić niezwłocznie urlopowanych żołnierzy, którzy mieli w szeregi powrócić.

Za powrotem z Bielska do domu zastałem tam szczególną jakąś osobistość, ubraną w mundur kawaleryjski, mówiącą wszystkimi językami. Ów jegomość objeżdżał moje wioski, zwiedzał stajnie i częstował wódką moich ludzi. Przyciśnięty do muru, przyznał się, że jest przysłany przez hetmana Ożarowskiego, aby podpatrzeć moje postępowanie i że w ten sposób wysłano kilku jego towarzyszy w różne strony kraju. Za tę szczerłość zapłaciłem mu sowicie, dostarczyłem koni i powozu, radząc przytem, aby porzucił podły urząd szpiega wśród rodaków. Ten nawrócony szpieg zawiadomił mnie poufnie, że członek Komisyi wojennej, Dąbrowski, wraz z kilku innymi oficerami wyjechali z Warszawy i udali się w rozmaite strony kraju, ażeby stworzyć partyę kontrrewolucyjną. Generał Dąbrowski mianowicie udał się w stronę Ostrołęki, na granicę pruską, gdzie miał zabrać żołnierzy, uwolnionych z brygady Madalińskiego. Wiadomość ta poruszyła mnie

do głębi. Myśl wywołania wojny domowej w pośród samych Polaków była oburzająca.¹⁾

W wielkim tygodniu udałem się znów do Ożarowskiego. Podczas śniadania poczmistrz przyniósł mi w wielkim sekrecie list z Warszawy, adresowany do jakiejś panny w Wilnie i wyprawiony sztafetą zastrzeżoną. Zacząłem żartować sobie z poczmistrza, że go interesują listy do panien, ale on ogromnie nastawał na otworzenie tego listu, mówiąc, że w nim niezawodnie są wiadomości o rewolucyi w Warszawie, że nieustannie idą sztafety z Wilna do Warszawy i na odwrót, więc w tem coś być musi. Koniec końcem poczmistrz list otworzył. Był pisany atramentem czerwonym, donoszono w nim, że w Warszawie robią się przygotowania do wielkiego balu, że panie zajęte są tualetami, że suknie będą z ogonami; a więc przybierają się do uprzątania ulic, schodów i domów dla zachowania czystości tych świetnych ubiorów; że wyznaczono otwarcie balu na dzień 1-szy Wielkanocy, w końcu, że ten piszący do swej lubej kochanek prosi ją, żeby także sztafetą odpowiedziała i opisała mu zabawy wielkanocne wileńskie.

Nie trzeba było wielkiego sprytu, żeby się domyśleć, że to było prozumienie się rewolucjonistów. Poczmistrz przyniósł księgę podróży. Przejeżdżało w tych dniach czterech czy pięciu klubistów, pułkownik Jasiński, także z Warszawy do Wilna, gdzie znajdował się hetman Kossakowski pod opieką Tuczkowa i licznego garnizonu rosyjskiego.

XXXV.

Chwila ta była ogromnie ważna i rozstrzygająca. Zdecydowaliśmy się też ostatecznie. Brygadyer Ożarowski wysłał natychmiast rozkazy do komendantów szwadronów, aby się stawili w oznaczonym miejscu, niedaleko Bielska, na drodze do Brańska; przytem wezwanie do oficerów batalionu strzelców, aby przybyli

¹⁾ To fałszywe doniesienie było powodem następnych nieporozumień Starzeńskiego z Dąbrowskim; wszelkie inwektywy pamiętnikarza, skierowane przeciw wodzowi Legionów są bezpodstawne. O tych nieporozumieniach wspomina Wybicki (Pamiętniki II, 63—66) i Bronisława z Dąbrowskich Mańkowska (Pamiętniki, 33); por. Skałkowski: „J. H. Dąbrowski,“ I, 81, 321.

bez namiotów i niepotrzebnych bagaży. Ułożyliśmy, że mi doniesie o chwili wyjazdu, abyśmy się połączyli.

Co do mnie miałem kilku strzelców na dobrych koniach, dobrze ubranych, byli to ludzie całym sercem mi oddani. W Wielką Sobotę o świcie dano mi znać, że brygada rozpoczęła pochód w nocy w stronę Brańska i że brygadyer mnie oczekiwał. Pożegnałem się z moją żoną, której radziłem, aby nic nie chowała, z wyjątkiem srebra i moich papierów, aby rozdała chłopom zboże, bydło, a sobie zapewniła mieszkanie w Białymstoku i tam przeprowadziła się z dziećmi. Zabroniłem zamykać na klucz zamki, tylko klucze miały być w zamkach na swoim miejscu. Wydawszy te rozporządzenia, puściłem się w stronę Brańska.

Spichlerze moje obfitowały w zapasy żywności, paszy i napitków. Dwanaście szwadronów kawaleryi liczyło około 2,000 koni, batalion strzelców miał 600 koni. Ażeby oszczędzić włościan, kazałem swemi furmankami przewieźć żywność, siano, napitki, oraz ofiarowałem 16 wołów tucznych. Dla panów oficerów było wino i piwo angielskie. Nie potrzebuję mówić, że wszystko to przyjęto z wdzięcznością.

Kompania strzelców przeszła Narew pod Strablą, zabrawszy 6 moich armatek drezdeńskich; były to modele nowych saskich armat, które hr. Brühl ofiarował mi przy sprzedaży Młocin. Były to sztuki małego kalibru o kulach funtowych, doskonale zrobione, podług których przerabiano działa naszej artyleryi.

O czwartej po południu byliśmy w Brańsku—obóz rozłożył się w porządku pod miastem, czas był cudowny. Siedziałem przed pocztą, paląc fajkę i myśląc o przeszłości i przyszłości, kiedy nagle zajeżdża z wielkiem trąbieniem i hałasem ekstrapocztą i wysiada jakiś oficer ogromnie wystrojony i wyelegantowany. Już widziano go, jak się zatrzymał koło naszego obozu, jak wysiadł i rozmawiał z dwoma oficerami. Pytał się ich, gdzie się znajduje brygadyer Ożarowski, powiedziano mu, że na poczcie, więc tu przybył. Skoro się stawił przed Ożarowskim, ten zapytał go: skąd i po co jedzie? czy ma rozkaz jaki, paszport czy list? Młody elegant się zmieszał. Brygadyer rzekł do niego: „W każdym razie uprzedzam pana, że jesteś aresztowany, a teraz mów, skąd przybywasz?”

Zaczął się tłumaczyć, że jego komendant, generał Dąbrowski, zrobił umowę z Prusakami zawieszenia kroków zaczepnych na przeciąg kilku dni dla wspólnej wymiany jeńców, że Prusacy budują na Narwi most dla przeprowadzenia kolumny swoich wojsk. Że generał Dąbrowski, nie mając dostatecznych sił do przesko-

dzenia temu, cofa się i jest ścigany przez kawalerię pruską, że on opuścił generała Dąbrowskiego na ostatniej stacyi pocztowej, o czem w każdej chwili przekonać się można.

„Wszystko to dobrze—mówił Ożarowski—ale jakim sposobem mógł wiedzieć generał Dąbrowski, gdzie ja się znajduję? Jeżeli jest ścigany przez Prusaków, to byłby do mnie choć parę słów napisał.“

W rzeczy samej generał Dąbrowski przychylił się do żądania króla, ażeby stworzyć jądro kontr-rewolucyi. Zgromadziwszy około 400 konnych kawalerzystów z resztek brygady Madalińskiego, szedł z nimi przez Brańsk do Bielska, ażeby się złączyć z Ożarowskim i do swoich celów go namówić.

Zaledwie oficer skończył swoje opowiadanie, wpada znów bryczka z samym generałem Dąbrowskim, który wyskakując z niej rzuca się Ożarowskiemu na szyję i w krótkich słowach opowiada tę samą historję o ścigających go Prusakach. Prosi więc o pomoc czterech szwadronów, z którymi się złączywszy, odpowiada za wszystko.

Znałem generała Dąbrowskiego od dawna i miałem nawet kilka razy sposobność oddać mu dosyć znaczne przysługi, ale nie sympatyzowaliśmy ze sobą. To też, gdy wychodząc od Ożarowskiego spotkał się ze mną oko w oko, zmieszał się niezmiernie, gdyż poznał zaraz, że ja wiem, o co mu chodzi właściwie. Na słowa, w których wyrażałem zdziwienie dla jego postępowania, Dąbrowski wybuchnął:

„Gdyby nie pańska obecność tutaj, miałbym już swoją partję, a muszę ją mieć koniecznie.“

„Nie należę do żadnej partyi — odrzekłem — wolę śmierć od kuli lub szabli, aniżeli od batogów w Strabli. Idę za oddziałem. Proszę podpisać deklaracyę, że nie będę w Warszawie ani powieszony, ani czci pozbawiony, a po zdjęciu munduru udam się, gdzie pan zechcesz.“

Dąbrowski odjechał nazajutrz. Adjutantowi jego zwrócono przytrzymany pałasz. Ożarowski pozostawił na swoich tyłach dla zabezpieczenia pochodu dwa szwadrony z kompanją piechoty i dwoma działami, a sami wyruszyliśmy z całym oddziałem ku Warszawie. Forpoczty nasze dosięgły wkrótce Grannego nad Bugiem, gdzie zajęły się przygotowaniem promów i łodzi dla przeprawy przez rzekę naszego taboru; następnie zagarnęły znaczne zapasy żywności, znajdujące się w tamtejszym spichlerzu, przyczem wzięły do niewoli 40 strzelców rosyjskich, którzy niespodziewając się napadu, spokojnie spali. Rozbrojono ich tymczasowo.

Oficera zaś polecił Ożarowski puścić swobodnie, oddawszy mu jego broń, rzeczy i konie, radził mu jednak nie oddalać się od brygady, mógł bowiem wpaść w większe niebezpieczeństwo. Zao-
patrzywszy się z magazynu w potrzebniejsze prowianty, zostawili-
śmy resztę dla Dąbrowskiego, który szedł za nami. Przedostaw-
szy się szczęśliwie na drugą stronę rzeki, pościgaliśmy na brzeg
promy i łodzie. Kiedyśmy tem byli zajęci, patrzymy, że nadciąga
Dąbrowski ze swoim oddziałem i że oddział ten rozciąga się
wzdłuż brzegu Buga. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Wkrótce
jednak przysłała łódka oficera, który, powtórzywszy jeszcze histo-
ryę o ścigających Prusakach, prosi o odesłanie promów i łodzi
Dąbrowskiemu, oraz przyjęcie go do kompanii. Ożarowski raz
jeszcze odmówił, ale promy i łodzie odesłał. We dwie godziny
po nas przeprawili się i oni także przez rzekę.

Przez Liwiec przeszliśmy pod Węgrowem po moście. Wśród
konnicy, przechodzącej w największym porządku, zaplątał się
pocztylion, poganiający trzy zmęczone i ledwo żywe szkapiny.
Na moście zaczęło się robić zamieszanie. Major Rzewuski roz-
gniewany, kazał pocztylionowi jechać wolno. W powozie spo-
strzegliśmy wówczas podróżnego we wstędze i dekoracjach, które
dziwnie nie licowały z przerażoną fizygnomią jadącego dygnita-
rza; na koźle siedział huzar, przebrany za lokaja w liberyi. Gdy
po przebyciu mostu kolumna formowała się na brzegu, a oficero-
wie spożywali śniadanie, zauważono, że ów podróżny, nie tracąc
czasu, drze jakieś papiery w drobne kawałeczki, a niektóre kła-
dzie do ust i połyka.

Kilku oficerów zbliżyło się do niego i zapytało skąd i do-
kąd jedzie? Zmieszany, z pełnemi papierów ustami, nie mógł
odpowiedzieć; oznajmiono mu w bardzo zresztą uprzejmy sposób,
że mu nie pozwolą ani jechać dalej, ani się wrócić na powrót.
Rozebrano go i zrewidowano, z tej rewizyi pokazało się, że była
to osobistość, nosząca piękne nazwisko, ale używająca bardzo
złej opinii i niejednokrotnie karana przez policję warszawską.
Tym razem powracał, jako szpieg, z Litwy. Aby więcej do jego
historyi nie wracać, dodam tylko, że w kilka dni później powie-
szono go w Warszawie.

Węgrów oddalony jest od Warszawy o mil dwanaście. Dro-
ga prowadziła ciągle lasami, w których można było co krok
wpaść w zasadzkę; to też postępowaliśmy wolno i ostrożnie.
Przez dwa ostatnie dni dawał się słyszeć huk armat od strony
Warszawy.

W każdej chwili mogliśmy napotkać cofających się Rosyan lub Prusaków. Uradziliśmy, że zatrzymamy się w Makowcu, skąd wyślemy do Warszawy po wiadomości. W Makowcu na poczekaniu dowiedzieliśmy się, że rewolucya była w całej pełni. Pocztylion, który wioził podróznego do Warszawy, z Pragi konno uciekł. Rosyanie i Prusacy cofnęli się w stronę Pułtuska. Zaledwie wysłuchaliśmy tych wieści, gdy widzimy dwóch oficerów, przybywających od Warszawy z nadzwyczajnym pośpiechem; wiozą oni rozkazy od Mokronowskiego, komendanta wojsk i miasta Warszawy, datowane z poniedziałku świąt Wielkanocnych, do wojsk, konsystujących w Bielsku i Brańsku.

Ożarowski przekonał się, że dobrze uczynił, słuchając moich rad, idąc sam naprzeciw rozkazów.

Oficerowie w tej chwili powrócili z raportem do Warszawy, odkąd oddzielało nas jeszcze dwa dni drogi. Generał Dąbrowski, z którym porozumieliśmy się w końcu, jechał jednocześnie z nami. Trzymając się naszej prawej strony, napotkał podwoły pułku piechoty Kasztolińskiego. Eskorta kozacka i 30-tu żołnierzy poddało się Ożarowskiemu, resztę ludzi wraz z wozami i tłumokami zabrał Dąbrowski i przyprowadził na Pragę.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o moim sąsiedzie, Karwowskim. Ojciec jego był to zamożny dosyć obywatel, osiadły niedaleko Strabli. Syn służył w strzelcach, gdzie doszedł do stopnia pułkownika. Miał wiele odwagi osobistej, ale powierzchowność bardzo nie odpowiadała dzielności duszy. To też za namową ojca podał się do dymisji i otrzymał od króla nominację na generała ziemiańskiego, w początkach Sejmu Wielkiego. Jako taki, zobowiązał się utworzyć swoim kosztem pułk ochotników. Fundusze osobiste, na ten cel przeznaczone, znacznie powiększone zostały przez zebrane z dobrowolnych kontrybucyi ofiary obywateli powiatu. Gdy król przystąpił do Targowicy w r. 1792, nie chciał już nosić swego mundur i pełnić nadal przyjętych obowiązków, ale nie oddał, a raczej jeden z jego oficerów, któremu były powierzone, nie zwrócił pieniędzy z dobrowolnych kontrybucyi powiatu bielskiego. W 1794 r. był wciągnięty do rewolucyi i posłał swojego agenta do Krakowa; jego oferty tam były przychylnie przyjęte i przysłano mu nominację na generał-majora oraz polecono zrobić powstanie powiatu bielskiego.

Ten to generał przyłączył się do naszej kompanii, jechał powozem i chciał koniecznie nakłonić mnie, ażebyśmy wspólnie sformowali oddział. Ale nasze warunki nie były równe. On był bez grosza, ja miałem pieniądze i kredyt; przytem miewał prze-

mowy ognisto-rewolucyjne do naszych żołnierzy, których chciał nakłonić do złożenia przysięgi.

— Panie Karwowski—rzekłem mu—błędnie pan zapatrujesz się na rzeczy; rewolucję zrobili lud i mieszczenie, wojsko zaś musi być posłuszne rozkazom swoich wodzów. Możesz pan jechać za brygadą do Warszawy, a tam uczynisz pan, co uznasz za stosowne.

XXXVI.

Nakoniec przybyliśmy na Pragę. Straszny widok nam się przedstawił. Setki trupów pływało po powierzchni rzeki, zaczepiając o statki. Tłumy ludzi chciały przedostać się na drugi brzeg. Wisła przybrała; przygotowano już do przewożenia ze czterdzieści statków; przewoźnicy i niektórzy mieszczenie dziwnie byli postrojeni, jedni za oficerów, drudzy w mundurach rosyjskich, w kaszkietach z pióropuszcami, czapach grenadyerskich. Przy wylądowaniu na warszawskiej stronie było gorzej jeszcze. Brzegi Wisły i wszystkie szynki przepełnione były wojskowymi polskimi, gwardyą królewską, żołnierzami z regimentu Działyńskiego, ułanami w większej części pijanymi. Przyjęto nas kilku wystrzałami w górę.

Skoro brygada już całkowicie się przeprawiła, a nota bene wszyscy przybrali paradne mundury, rozwinęła się w szeregach na Krakowskim Przedmieściu; batalion strzelców na prawem skrzydle. Generał Mokronowski, komendant miasta, zrobił przegląd wszystkich linii i wydał rozporządzenia. Moich szesnastu strzelców, których w ciągu drogi wyekwipowałem, eskortowało w drodze spotkane dwa ciężkie powozy, idące z Petersburga, a w których jechało pięciu oficerów i trzy prywatne osoby—prosilili oni sami, żeby im pozwolić jechać przy oddziale pod naszą opieką. Położono najpierw pieczęcie na ich kufrach, szkatułach i tłumokach, ale za mojem wstawieniem oddano im wszystko w porządku.

Ożarowski przyprowadził swój oddział w samą porę, w trzy dni po rewolucyi. Generał Mokronowski miał tylko swoich oficerów i uzbrojone mieszczaństwo dla obrony miasta. Żołnierze miejskiej załogi, obłowieni rabunkiem, byli w strasznym rozprężeniu. Lękano się w mieście powrotu wojsk rosyjskich i pruskich. Można sobie wyobrazić, że zasługa takiego pośpiesznego stawienia się w stolicy była należycie ocenioną. Batalion strzel-

ców zajął straż na zamku, a gwardziści na Krakowskiem Przedmieściu; im także powierzono więźniów wojennych. Kawalerię rozdzielono na kilka oddziałów i polecono rozdawnictwo mieszczanom broni, pałaszów i tornistrów. W ciągu trzech dni wszystko było zreorganizowane i można było pomyśleć o środkach wojennych.

Generał Dąbrowski w kilka godzin po nas przybył ze swoim oddziałem; wszedł do miasta z pocztem czterystu porządnie uzbrojonych i umontowanych kawalerzystów z muzyką na czele, przeprowadził ze dwudziestu jeńców i ze 200 wozów z butami, odzieżą i żywnością, zabranych Rosyanom.

Moich strzelców z bagażami odesłałem do własnej stajni, sam zająłem dawne swoje mieszkanie i poszedłem na obiad do krewnego mojego, pana Antoniego Dzieduszyckiego, który wraz z dwiema kuzynkami bardzo mi byli radzi. Jedna z tych kuzynek, Justyna, zabrawszy z mej stajni bardzo dobrego konia, ubrana jak amazonka, w ciągu trzech dni rewolucyi jeździła ciągle po ulicach, była i widziała wszystko. Pan Antoni nie mógł, tak jak chciał, wyjechać, byłem więc przez nią wtajemniczony najdokładniej w cały przebieg wypadków i wniosków co do przyszłości...¹⁾

W kilka dni po przybyciu naszym do Warszawy Mokronowski rzekł do mnie: „Komunikacya z Krakowem jest przecięta. Wiem, że Kościuszcze nieźle tam się powodzi—odniósł zwycięstwo pod Racławicami. Co się tyczy pana, zamiast na czele szwadronu pełnić służbę kawalerzysty, lepiej wracaj w swoje strony, a korzystając ze środków, jakie posiadasz, zajmij się uformowaniem batalionu liniowego. W ten sposób zasłużysz się najlepiej Ojczyźnie.“

Poprzednie moje stosunki z oficerami brygady strzelców były mi ogromnie użyteczne. Z powodu pośpiechu przy wyruszeniu do Warszawy pozostawiali namioty, naczynia i trochę broni zapasowej na zimowych kwaterach w okolicy Białegostoku. Byli uszczęśliwieni, dowiedziawszy się, że wracam tam dla sformowania nowego batalionu strzelców. W 1789 r. każda kompania składała się z 40 żołnierzy. W początkach 1792 r. udzielono

¹⁾ W dalszym ciągu Starzeński opowiada o jednym jeszcze blahym zatargu z oficerami Dąbrowskiego; wkrótce potem nastąpiło pogodzenie pamiętnikarza z generałem, który niebawem udał się do Wielkopolski; o jego działalności tamże wyraża się Starzeński z uznaniem.

urlopu tym, którzy go zapragnęli, a z czasem uwolniono i resztę. Otrzymałem listę tych ostatnich i wskazówki miejsc ich zamieszkania. Ich broń z fabryki królewskiej w Koźmienicach ukryta była w Warszawie. Zrobiłem umowę z Danglem ¹⁾ o dostawę skór na siodła i zaprzęgi, kupiłem znaczną ilość sukna i, zabrawszy to wszystko, puściłem się w drogę do domu z niewielką eskortą. Mój rewolucyjny generał Karwowski znów się do mnie przychylił. On także porobił pewne zakupy i starał się werbować ochotników w Warszawie. Trzeba się było wystarać o paszport. Ówczesny prezydent miasta, Zakrzewski, wraz z całym komitetem municypalnym w ponsowych wstęgach, znali mnie dawniej, więc paszport bez trudności wydali; było to w czasie, kiedy rozpoczynały się sądy doraźne nad tymi, którzy stać się mieli ofiarami rewolucyi. Paszport, który mi wydano, zawierał pozwolenie przejazdu przez wszystkie roгатki dla całego mego orszaku.

Dwóch dzielnych krawców, którzy na tę chwilę pełnili obowiązki komendantów wojskowych armii municypalnej i sławny jeden szewc, Kiliński, który śliczne wyrabiał dla dam obuwie, wyprowadzili mnie z ratusza, przed którym zrobiło się zbiegowisko gawiedzi naokoło mojego prześlicznego karego konia i gromadki moich strzelców. W tej samej chwili przyprowadzano tam rozmaite osobistości, niektóre mi znane, z poszarpanem ubraniem, bez czapek, i pakowano do aresztu.

Strzelców moich tymczasem w dziedzińcu ratuszowym częstowano wódką, którą wypijali na cześć rewolucyi, mnie także podano szklankę pełną, którą wychyliłem, wołając: „niech żyje naród“—i wyruszyliśmy w drogę— miałem takie wrażenie, jakby mnie kto z klatki na wolność wypuścił.

XXXVII.

Wyjeżdżając z Warszawy, zabrałem ze sobą pewną osobistość zupełnie oddaną królowi, zresztą bardzo uczciwego człowieka, któremu nie chciano wydać paszportu, był więc jak na szpilkach. Przejechawszy roгатki, odetchnąłem i ja swobodniej. Bez żadnego wypadku dojechaliśmy do Węgrowa i przebyliśmy Li-

¹⁾ Znany w końcu XVIII wieku w Warszawie siodlarz i fabrykant powozów.

wiec. Kiedyśmy się zbliżali do Bugu, dano nam znać, że w niedalekim lasku jest kilku kozaków i żołnierzy, którzy przejeżdżających rabują. Generał Karwowski jechał inną drogą. Nagle widzę, jak on i jego ludzie pędzą ku nam, jakby ich kto gonił. Istotnie dojrzeli w lesie kilkunastu żołnierzy, więc poczęli umykać. Zatrzymałem ich i radziłem, ażeby mieli broń nabitą. Ponieważ nikt się nie zjawił, ażeby napadać na nas, więc ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przybywszy do Bielska, obrałem sobie za punkt zamieszkania Hołowiejsk. Nie tracąc ani chwili czasu, porzysyłałem listy i ludzi na wszystkie strony. Zaraz też zaczęto mi zwozić ze wszystkich stron broń, fuzye rozmaitego kalibru, pałasze, płótno, konie, wozy, namioty, rozmaite potrzebne narzędzia. Ze starostwa bielskiego chłopci, których wyzwoliłem, ułatwiali mi najwięcej utworzenie batalionu, gdyż przyprowadzili przeszło 120 strzelców z rozpuszczonych poprzednio batalionów i kilkudziesięciu młodych synów gospodarskich.

W czasie mojej niebytności zawiązał się w Bielsku komitet rewolucyjny, w którym przydywał sąsiad mój, biskup Sinopoliński (ks. Jan Gołaszewski, *p. w.*) i wielu szlachty powiatowej. Biskup, skoro mnie zobaczył, skrzywił się ogromnie, bo mu stanęły na myśli nasze spory graniczne, ale rzekłem do niego: „Księżu biskupie, niech będzie między nami na teraz zgoda — jak się skończy rewolucya, możemy wówczas wrócić do naszych sporów granicznych.“ No i pogodziliśmy się tymczasowo.

Komitet rewolucyjny zajmował się obecnie ściąganiem przymusowem rekrutów. Przyprawdzano ich skępowanych powrozami, jak zbrodniarzy. Generał Karwowski pakował ich w tym stanie, gdzie mógł, nie miał on ani domów pustych do ich ulokowania jako tako, ani oficerów, żeby się nimi zajęli. Żywność, dla nich zgromadzona, zamokła od deszczów — była tam jednym słowem dezorganizacya najokropniejsza. Moja główna kwatera w Hołowiejsku przedstawiała się bardzo pokaźnie. Miałem pięciu oficerów regimentu strzelców, kilku starych doboszów i 200 strzelców, którzy odbyli kampanię 1792 r. W miarę, jak przybywało jakich dwudziestu nowych rekrutów, ubierano ich, ćwiczone w służbie szeregowej i wyprawiano do jednej z 4 kompanii. Moje woły tuczone szły pod nóż na zaspokojenie naszych żołądków. Niewielki magazyn był dobrze napelniony chlebem, kaszą, solą, słoniną, gorący krupnik czekał zawsze w oznaczonych godzinach, jak w obozie.

Wkrótce więc miałem 700 gotowych strzelców pieszych i 60 strzelców konnych.

Jednej niedzieli żona moja przyjechała wraz z dziećmi, ażeby mnie odwiedzić. Ułożyłem cały program przyjęcia, bo chciałem ich trochę zabawić, a przyjaciółom i sąsiadom chciałem także pokazać, w jaki sposób zużytkowałem przysłane mi materiały. Urządzono podniesioną platformę, przybył szanowny i kochany nasz proboszcz ze Strabli, miał mszę św., której wszyscyśmy wysłuchali, a potem bardzo piękną i serdeczną przemowę, nowozaciężni żołnierze złożyli przysięgę, a potem był ogólny obiad.

Generał Karwowski wraz ze swoim sztabem, złożonym z panów adwokatów, widząc to, nie mogli ukryć zazdrości, która ich przejmowała na widok ładu i porządku, jaki tu panował. Utrzymanie w korbach posłuszeństwa tak różnorodnych żywiołów, z jakich się składał oddział Karwowskiego, nie było rzeczą łatwą. Na jego prośby posłałem mu doświadczonego oficera i 40 ludzi, aby utworzyć straż w mieście; wypadki bowiem dezertowania z jego oddziału były nader częste — dziennie około dwudziestu ludzi zmykało w pole — pozostali knuli spiski, zamierzali spalić miasto i pójść bandą na wojnę. Było tam około 4,000, którym przewodziło sześciu oficerów. Zwróciłem też uwagę generałowi na niedostateczne pożywienie oraz brak opieki nad chorymi. Była to jednak z mej strony wielka nieostrożność, jak się to później pokazało.

Przyszedł w tym czasie rozkaz od Mokronowskiego dostarczenia najlepszych rekrutów dla dopełnienia pułków, oraz rozporządzenie, w jaki sposób mają być dostawieni pod eskortą. Komitet rewolucyjny otrzymał osobną o tem instrukcję. Proszono mnie, choć nie należałem do komitetu, o dostarczenie eskorty i podjęcia się transportu. Dałem się nakłonić i podjąłem się tego dość trudnego obowiązku. Oddano mi 1,700 ludzi najlepszych, ale bez grosza przy duszy i bez żadnych zapasów; ci ochotnie garnęli się pod moje dowództwo. Wyszykowano dla nich wieczerzę w moim obozie, gdzie się chętnie stawili. Tu oficerowie zaczęli od tego, że oddzielili szlachtę, której okazało się około trzystu. Z tych utworzono trzy szwadrony, resztę podzielono na cztery kompanie, eskortę uzbrojoną umieściłem w przerwach pomiędzy szwadronami i kompaniami. Trzydziestu strzelców pilnowało szlachty. Po wieczerzy wszyscy pograżyli się w głębokim śnie. W ciągu nocy ułożyliśmy listę; rano, gdy zakomenderowano do apelu, nie brakowało ani jednego.

Byłbym gorąco pragnął, aby przedstawiciele trzech mocarstw sąsiednich widzieli ten pochód wolontaryuszów i przypatrzyli się charakterowi czysto polskiemu, którym się odznaczał. Byliby się może wyrzekli wielu uprzedzeń, jakie żywią przeciw naszemu narodowi. Łatwo pojąć, że żołnierz jakiegokolwiek narodowości, choćby był tchórzem, spełni jednak swój obowiązek w dniu bitwy, dzięki energicznej organizacji wojskowej. Wiadomo również, że 100,000 rekrutów można przeprowadzić etapami przez kraj najeżony fortecami, miastami i wsiami, nie odstąpiwszy na włos od zamierzonego planu. Ale tylko w Polsce spotkać się można z podobną odwagą, dzielnością i poświęceniem rekrutów. Tysiąc siedemset ludzi, wyrwanych gwałtem z łona rodziny, szło pod lichą eskortą strzelców, zaledwie od czterech tygodni tę godność piastujących, a szli, śpiewając, tańcząc i płatając sobie tysiące niewinnych figlów, skoro im na to pozwolono, i stawiając się na każde zawołanie małego dobosza, który, gdy był zmęczony, siadał za mną na moim koniu; zresztą żadnych skarg, żadnego marudera ani deztertera wśród drogi, przeważnie lasami idącej, nie było. Przytem ślepo posłuszni moim oficerom, którzy z każdej chwili i miejscowości korzystali, aby wykonywać z nimi ćwiczenia, ustawiać kolumny i czworoboki. Na drodze życzliwi mieszkańcy wsi i miast, Żydzi nawet, dostarczali żywności, nie chcąc przyjąć żadnej zapłaty. W ten sposób w ciągu sześciu dni dojechaliśmy do Warszawy. O pół mili przed Pragę, rekruci sami z własnej ochoty prosili, aby im pozwolono umundurować się wedle możliwości. Poucinali w tym celu kije równej długości, naśladujące strzelby piechoty; 300 szlachty pałki takie wyrobili w kształcie szabel, każdy miał dwa żupany i pasy czarne, niebieskie lub szare, czapki baranie i białe szarawary. Na wzór żołnierzy, pozwijali zapasowe ubranie w wałki i poprzewieszali przez plecy. Pasy spięte od ramienia do boku naśladowały nieobecne ładownice, a na czapkach powiewały wspaniałe kity z dębowych gałązek.

Wysłałem oficera do Mokronowskiego, prosząc o rozkazy dotyczące się wejścia rekrutów do miasta. Oficer wrócił z adjutantem; w odpowiedzi kazano nam iść na Pragę, ustawić się na placu targowym i czekać przybycia generała. Tak się też stało. Wkrótce nadjechał Mokronowski ze świtą, za nim postępowała muzyka pułkowa. Przy odgłosie dwustu trąb oddział przeszedł most i uformował się przed pałacem Brühlowskim, gdzie była kwatera komendanta miasta; 300 szlachty weszło w podwórze. Mokronowski oraz panowie pułkownicy byli nadzwyczaj zadowoleni. Zastrzegłem sobie przyrzeczoną przezemnie rekrutom swo-

bodę wyboru broni. Trzystu panów szlachty obrało sobie kawalerję, reszta zaś piechotę i artylerję. W ciągu tygodnia cały mój oddział stopniał i rozplynał się w wojsku warszawskiem. Pułkownicy podzielili tych ludzi między siebie i każdy zabrał swoją część rekrutów. Przybył ten oddział bardzo w porę.

Kościuszko po zwycięskiej bitwie pod Raclawicami udał się do Wielkopolski. Pod Szczekocinami spotkał się z armią pruską. Bez żadnego wahania uderzył na pierwszą linię nieprzyjacielską. Całe nieliczne wojsko polskie oburzone było zdradą Prusaków. To też rzuciło się na nich, jak wściekłe, padło wielu dzielnych oficerów i doskonałych żołnierzy. Połowa oddziału Kościuszki składała się z chłopów uzbrojonych w kosy, nie byli oni wcale przygotowani do stawienia czoła wyćwiczonej regularnej armii, dlatego też w zetknięciu z taką armią musiały być straty, ale dzięki obrotności Kościuszki były mniejsze niż się można była obawiać— cofnął się w największym porządku i stanął pod Przybyszowem.

Armią pruską dowodził osobiście król pruski, mając przy boku do pomocy syna; było wielkie prawdopodobieństwo, że pójdą na Warszawę. Trzeba więc było myśleć o obronie: uformować korpus do strzeżenia wałów, baterji, redut; dokompletować regimenty, stojące w mieście — przydali się bardzo moi rekruci, to też okazywano i mnie i mojej eskorcie, złożonej z 200 żołnierzy i 30 strzelców, wdzięczność serdeczną.

Z dziejów estetyki polskiej.

Pierwszym naszym systematycznym estetykiem był Józef Kremer. Rozmaici autorzy przed Kremerem poruszali wprawdzie zagadnienia estetyczne, lecz tylko dorywczo, niesystematycznie—mianowicie w dziełach, dotyczących retoryki, w szkolnych podręcznikach poetyki i wreszcie w studyach literackich, jak np. Brodziński, Mochnacki i Michał Grabowski. W roku 1817 ogłosił matematyk Józef Łęski w Rocznikach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego rozprawę „O piękności w sztukach, szczególnie w malarstwie.“ Zaś w r. 1827 wyszło w tych samych Rocznikach studyum Pawła Czajkowskiego nad obrazem Stachowicza. Lecz obie te prace nie zawierają, prócz luźnych, ogólnikowych uwag, żadnych samodzielnych myśli. To samo dotyczy rozprawy Stanisława Potockiego, wydanej w r. 1815 p. t.: „O sztuce u dawnych czyli Winckelmann polski.“ Zawiera ona bezkrytyczne streszczenie poglądów Winckelmanna. Dopiero Józef Kremer stworzył w „Listach z Krakowa“ (od r. 1843 począwszy) systematyczny zarys estetyki na szeroką skalę, połączonej z zarysem historii sztuki. Dalszym ciągiem „Listów z Krakowa“ jest jego „Podróż do Włoch,“ wydana w 6 tomach w Wilnie w latach 1859—1864. Kremer jest uczniem Hegla, lecz jak wszyscy hegliści polscy, usiłuje mistrza swego pogodzić z chrześcijaństwem, przetopić hegloski panteizm na chrześcijański teizm. Duch absolutny Hegla przekształca się tedy u niego na Osobowość absolutną, która jest niczem innym, jak osobowym Bogiem chrześcijańskim. Listy z Krakowa składają się z 3 tomów. W pierwszym tomie zawarta jest właściwa estetyka. Rozpatruje w nim Kremer stosunek sztuki do przyrody, zmysłów, rozumu i czuć. Opisuje różne rodzaje piękności, analizuje pojęcie ideału w sztuce i zagłębia się

w rozmaite poszczególne zagadnienia, jak sytuacja, kolizja, diałanie, patos i charakter. Pozostałe dwa tomy zawierają „Dzieje artystycznej fantazyi.“ Określiwszy najpierw istotę fantazyi, szkicuje Kremer wszechświatową jej historję z niemalą subtelnością i z niezwykłym nakładem erudycyi. Śledzi rozwój fantazyi w Chinach, Indyach, Egipcie, Assyryi, Babilonie, Rosyi, u ludów mahometańskich, w Grecyi, Rzymie i wiekach średnich. Kończy na wieku XVI, poświęcając ostatnie uwagi wielkim mistrzom Odrodzenia. A cały ten pochód fantazyi zamykają Jan Kochanowski i Szekspir.

To dzieło Kremera jest pierwszym tego rodzaju w literaturze europejskiej. Mimo zacieśniającego tytułu „Historja fantazyi,“ jest ono pierwszą wielkorzutaną historją kultury ludzkiej wogóle. Kremer nie ogranicza się bowiem do dziejów samej fantazyi artystycznej, jeno szkicuje zarazem stan wszelkich nauk przyrodniczych i humanistycznych, bada stosunki społeczne, militarne i ekonomiczne. Opisuje przyrodę wszystkich tych krajów, zagłębia się w psychologię ludów, śledząc ich powstanie, zwyczaje i obyczaje. Mimo pobieżności i licznych braków, nieodzownych w tak wielostronnem a niezbyt obszernem dziele, wyprzedził Kremer bądź co bądź naukę europejską. Dopiero bowiem w kilkanaście lat później ukazuje się podobnie śmiała i wielkorzutna praca, mianowicie Carrière'a „Die Kunst im zusammenhange der Culturentwicklung und die Idee der Menschheit,“ wydana w 5 tomach w latach 1863—1873. Podobnie jak Kremer, szkicuje Carrière dzieje kultury, począwszy od ludów orientalnych poprzez Grecję, Rzym, wieki średnie i Renesans aż do początków wieku XIX.

W estetyce jest Kremer także naogół wyznawcą Hegla. O pięknie decyduje idea, duchowa treść. Im rzecz więcej uduchowiona, tem piękniejsza. Silniej, niż Hegel, podkreśla Kremer czynnik indywidualności w sztuce. Artysta, zdaniem jego, winien się przedewszystkiem silić o spotęgowanie idei ogólnej, rodzajowej, aby przedmiot stał się niejako doskonałym przedstawicielem rodzaju, do którego należy. To samo głosi Hegel. Lecz nadto jest rzeczą artysty utrwalanie także indywidualnych cech zjawisk, a nawet potęgowanie indywidualności przedmiotów do tego stopnia, by ona osiągnęła stopień wyłącznej oryginalności, aby przedmiot wreszcie indywidualnością swą odróżnił się wręcz od wszystkich innych swego rodzaju.

Ten krok Kremera ponad Hegla jest wielce znamienny. Oznacza on bowiem śmiałe przewyciężenie estetyki niemieckiej. W oczach idealistów niemieckich, czy im na imię Hegel, czy też

Schelling lub Schopenhauer, była indywidualność naogół mało cenna. Istoty rzeczy doszukiwali się oni wyłącznie w typowości i gatunkowości zjawisk, uważając, za przykładem Platona, właśnie te cechy za niezniszczalne, wiekuiste. Wszystko indywidualne było dla nich przypadkowym, przemijającym, a więc nieistotnym. Indywidualność a bezpośrednia, konkretna rzeczywistość—to w gruncie rzeczy jedno i to samo. Artysta, wyrażający w swem dziele wyłącznie indywidualność, równałby się tedy, zdaniem ich, niewolniczemu naśladowcy, kopiście rzeczywistości. Tem samem rozminąłby się z istotą sztuki, która przecież winna iść ręką w rękę z filozofią, czyli uzmysławiać to samo, co filozofia z pomocą pojęć wyraża. Wszyscy idealisci, poczynawszy od Platona a skończywszy na Heglu, głoszą zgodnie ten sam zasadniczy pogląd: sztuka rozpoczyna się dopiero tam, gdzie artysta pokonuje indywidualność zjawisk, gdzie przebija jej skorupę, by wydobyć na światło dzienne i w dziele swem utrwalić właśnie to, co jest nieindywidualne, czyli wszystkim istotnościom tego samego rodzaju wspólne. Gdyż tylko to jest wiekuiste, niezmienne i niezniszczalne—jest istotą rzeczy.

Kremer natomiast żąda dobitnie uwzględnienia indywidualności *obok* typowości i gatunkowości. Indywidualność i gatunkowość winny w dziele sztuki tworzyć harmonijną równowagę. Gdzie bowiem przeważa gatunkowość, tam wyłania się beztreściwa ogólnikowość i schematyzm miast konkretnego życia. Gdzie zaś przeważa indywidualność, tam wyradzają się zbyt łatwo dziwactwa i potworności.

Na tych fundamentach opiera Kremer swój system estetyczny. Z tęsknoty za nieskończonością, za jądrem rzeczy wywodzi twórczy rozmach artysty. A równocześnie nie zapomina, że chcąc wyrazić nieskończoność, nie może się sztuka posługiwać niczem innym, jak skończonością i indywidualnością. Świat materialny—powiada tak pięknie — pożycza artyście swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wlewa w nie duszę swoją, przyciska gorącym objęciem do serca, wlewa w nie nieskończone życie swoje, swego ducha, a tak staje się twórcą, mistrzem.

Któż czyta dzisiaj dzieła Kremera? Może głównym powodem tego zapomnienia jest, jak wiadomo, zbyttnia kwiecistość i czasami wprost nieznośny patos jego stylu. Lecz mimo to dzieje mu się krzywda. Wietrząc zazwyczaj w Kremerze wyłącznie zatwardziałego idealistę z pod sztandaru Hegla, zapomina się, że

potrafił on, mimo całej swej abstrakcyjnej dyalektyki, oddać życiu, co się życiu należy. Najlepszym dowodem jego nauka o indywidualności w sztuce.

Również Bronisław Trentowski zajmował się estetyką. I on jest uczniem Hegla. Piękne i oryginalne są jego idee o przyszłości narodów słowiańskich. Wierząc głęboko w dyalektyczny schemat heglowy, rozsnuwający rozwój heglowy poprzez tezy i antytezy ku synteze, uważał przewagę kultury słowiańskiej w przyszłości za metafizyczny pewnik. Ludy romańskie, znajdujące się na stopniu tezy, uprawiały realizm w filozofii. Antytezę wytworzyły ludy germańskie przez swój idealizm. Zaś pojednanie obu, synteza realizmu i idealizmu, winna dokonać się teraz na łonie filozofii słowiańskiej.

We własnym systemie buduje Trentowski podwaliny pod tę nową syntetyczną filozofię. Realizm romański—powiada—poczytywał trupią materję za istotę rzeczy. Naczelną władzą poznawczą były mu *zmysły*. Idealizm germański przerzucił się na drugi biegun. Wyrugował zmysły i postawił na ich miejscu myśl, *umysł*. Stąd wydał mu się świat cały wyłącznie idea. Nowa filozofia słowiańska wykrywa natomiast nową, trzecią władzę poznawczą, którą Trentowski zwie *zmysłem*. Zmysły mają swe korzenie w ciele, umysł w duszy. Zmysł zaś zawarty jest w jaźni, która jest jednością ciała i duszy, nieśmiertelną istnością, ukształtowaną na wzór Boga. Zmysł dostrzega więc teraz ową jednię materji i idei, która dotąd uszła uwadze władz poznawczych zmysłowych i umysłowych, jako jednostronnych.

Wyposażywszy się tedy w ów „zmysł“, kreśli Trentowski wszechstronny system filozoficzny, rozpatrując w nim niemal wszystkie dziedziny kultury. Dziełu swemu daje dumny tytuł: „Panteon wiedzy ludzkiej.“ Niestety, lektura tego dzieła jest w znacznej części wielce przykra. Trentowski zraża sobie czytelnika wybujałą zarozumiałością. Z lubością podkreśla swe własne czyny. Przypomina często i gęsto, że autor był pierwszy, co okazał i t. d. Nadto kusi się o jakiś niezwykle dziarski styl, będący zapewne w oczach jego owym nowym stylem słowiańskim, mającym sobie zdobyć całą przyszłość. Powiada np. dosłownie: „Miejsce powszechnej dwójcy zajęła powszechna Trójca. Panowanie głupiego albo Bartka albo Maćka ustało. Roztworzył się widok oryginalny, wielki i nader wspaniały.“ Naturalnie sprawcą owego nader wspaniałego widoku jest sam autor. Wreszcie tworzy Trentowski cały szereg nowych słów, przeważnie zbędnych. By go zrozumieć, trzeba się wpięrczyć na pamięć

jego nomenklatury — sztucznej i dziwacznej. Z ogromnej ilości jego neologizmów zachowało się przy życiu bodaj kilka, jak np. jaźń lub innobyt. Zaś wszelkie dziwotwory, jak myślini, różnojednia, całokształć, rozbierz, prawdowieść, prawdopodobam, bożostan, chowanna i t. p. zapadły się w czeluściach niepamięci.

A nawet po pokonaniu wszelkich tych językowych przeciwnieństw nie odnosi się z dzieł jego tych korzyści, jakie tak dufnie obiecuje. Zasadniczy jego pomysł, owa różnojednia materii i ducha, nie jest żadną nowością. Napotkać go można niemal w każdym monistycznym panteizmie. Proroctwa jego o nowej, trzeciej fazie „bożej“ na świecie najzupełniej się nie spełniły. Nadto były one wówczas na porządku dziennym. Kilkanaście lat przedtem wypowiedział je filozof niemiecki, Krause, w nauce o Panenteizmie. Równocześnie głosił je Cieszkowski. Nic tedy dziwnego, że również z jego estetyki niewiele płynie korzyści. W drugim tomie Panteonu określa on estetykę jako trzecią część Morfozyki, czyli nauki o formie, a mianowicie o formie humanistyki czyli człowieczeństwa. Morfozykę dzieli najpierw na artystykę, zajmującą się wyszukiwaniem sztuk pięknych i ułożeniem ich w pełen całokształt. Drugą część stanowi Kallizofia, czyli rozbiór różnych rodzajów i gatunków piękna, jak dydaktyczność, dramatyczność, epiczność. Trzecią część wreszcie zwie prototypiką, czyli nauką o rodzajach wykonywania sztuk pięknych pod wpływem osobowości artysty.

Zamiłowanie do takich schem etycznych i pedantycznych klasyfikacji cechuje wogóle umysłowość Trentowskiego. Rozdrabnia ono jego siły umysłowe i tamuje rozwój świeżej, soczystej myśli estetycznej, gdziekolwiek kiełkującej. Naogół wyznaje on zasady niemieckiego idealizmu. Sztuka odtwarza absolut, istotę rzeczy. Brzydzi się ona bowiem — jak powiada w Panteonie — rzeczywistością tuteczną, a miłuje silnie rzeczliwość tamteczną, t. j. transcendentálną, mistyczną, świętą. Mimo to, wydaje się Trentowskiemu, że powiodło mu się idealizm niemiecki przezwyciężyć.

Pomysł Trentowskiego o niedalekiej hegemonii filozofii słowiańskiej wywarł silny wpływ na Karola Libelta, najgłębszego naszego myśliciela tej epoki. I on w nią wierzy. Rozróżnia również trzy władze umysłowe: *rozum*, jako podstawę dotychczasowej filozofii teoretycznej, *wolę*, jako podstawę dotychczasowej filozofii praktycznej. Nową, trzecią władzę stanowi *wyobraźnia*, którą zwie umem. Rzeczą wyobraźni jest pojednanie realizmu z idealizmem, dokonujące się w Systemie umnictwa, czyli filozo-

fii unysłowej. Wyobraźnia jest zasadniczą potęgą, kształtującą wszechbyt—uczy Libelt narówni z Schellingiem. Działanie wyobraźni poczytywał Schelling za naczelną władzę duchową, za organon filozofii. Jedynie wyobraźnia jest, zdaniem jego, w stanie dokonać syntezy bytu i myśli, owych dwóch faz, w jakich objawia się absolut. Każde prawdziwe dzieło sztuki jest jednią duchowej treści artysty z materiałem, czyli zmysłowym wyrazem metafizycznej jedni ducha z przyrodą. Proces twórczy artysty, działalność jego twórczej wyobraźni jest więc ostatecznie w istocie swej ten sam, co proces rozgrywający się na łonie absolutu.

W zasadzie to samo głosi Libelt. I on widzi w wysiłkach sztuki ustawiczną gonitwę za absolutem. A ponieważ absolutem jest mu Bóg, przeto przetapia sztuka myśl boską na kształty, barwy lub dźwięki. Bóg sam jest zatem głównym przedmiotem i najwyższym szczytem sztuk pięknych.

W dwutomowej Estetyce czyli Umnictwie pięknem rozwija Libelt poglądy te silnie i wielkorzutnie. Rozpatruje formę piękną w przyrodzie, ludzkości i Bogu, dzieląc je na pierwotne, pochodne i przechodne. Określa piękno nie tylko jako jedność treści i formy w materiale, lecz także jako harmonię znaku i znaczenia—czyli, jakbyśmy się dzisiaj wyrazili, szuka istoty piękna w wyrazie. Wszechświat nie jest mu bowiem tylko ewolucją abstrakcyjnej, platońskiej idei, jeno wypływem potęgi kształtującej, którą zwie bożą imaginacją. A boża ta imaginacja odżyła, nawiasem powiedziawszy, nanowo we współczesnej filozofii, jako Bergsona „*évolution créatrice*.“ Jeżeli nadto, miast wyobraźni twórczej, użyjemy wyrazu „intuicya,“ wówczas powinowactwo Bergsona z Libeltem stanie się jeszcze jawniejsze. Obaj upatrują właśnie w tej władzy ducha najwyższą i zarazem jedynie prawdziwie filozoficzną władzę poznawczą. „Myśl—powiada Libelt—w tem właśnie pokazuje niemoc swoją, że się jako myśl objawić nie może, że czysto duchową, oderwana jej istota, jako taką okazać się nie potrafi, ale aby wyjść ze siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt swój, potrzebuje wyrazu, znaku, coby jej dał ciało, a z ciałem byt rzeczywisty, mieszkanie doczesne i nieśmiertelność. Co czego potrzebuje, tego sobie stworzyć nie może, ale musi wziąć skądinąd.“ „Musi zatem być inna potęga ducha, pośrednicząca między temi obiema naturami, która buduje ciało dla duszy, wyraz dla myśli.“ Tą potęgą jest właśnie wyobraźnia. Słowa te mógłby podpisać Bergson niemal bez zastrzeżeń.

Pod wpływem Schellinga i Hegla powstała także praca Ankiewicza, głośnego swego czasu architekta, p. t. „O piękności

w sztuce“ (1847). Niczego nowego ona nie zawiera. Zresztą autorowi nie chodziło o nic więcej, jak tylko o zastosowanie idealistycznych poglądów w niektórych kwestiach praktycznych.

Sprawami piękną zajmował się także August Cieszkowski. Kusił on się o syntezę dwóch systemów: heglowego i chrześcijańskiego. Uważał siebie samego za powołanego, by „luki“, pozostałe w systemie Hegla, wypełnić. Hegel bowiem, zdaniem jego, nie zdołał wysnuć wszystkich konsekwencji z własnego stanowiska. Lecz wypełniając te luki, doszedł Cieszkowski niebawem do częściowego zerwania z mistrzem. Bezwzględnie zatrzymał tylko jego dyalektyczną metodę, widząc w niej prawdziwy kamień filozoficzny. „Czyż sama metoda Hegla—mówi w Prolegomenach—nie była pragnieniem całych stuleci? A czytając np. Giordana Bruno, czyż nie mamy wrażenia, że nadszedł dzień uroczystej jej inauguracji? Otóż od Giordana Bruno aż do Solgera patrzemy na ustawiczne odkrywanie metody, na ustawiczne o nią zabiegi, aż nareszcie Hegel, odkrycia dokonawszy, tym sposobem sam owe ważne stadyum ducha stanowi.“

Uzbrojony w heglową metodę, przebiega Cieszkowski dzieje ludzkości, upatrując w nich szczytowy proces absolutnego ducha. Lecz baczy pilnie, by w niczem nie uszczuplić interesów chrześcijaństwa. Dzieli historyczny rozwój tak, by chrześcijaństwo zyskało znaczenie centralne i rolę dominującą. Innemi słowy: system heglowy staje się w jego rękach powolnym narzędziem, służącym do wszechstronnego utwierdzenia systemu chrześcijańskiego.

Dwa te fundamenty filozofii Cieszkowskiego są naturalnie nieoryginalne. Lecz mimo to samodzielny czynem jest sposób przeprowadzenia ich syntezy. W tem mieści się niezaprzeczalna wielkość Cieszkowskiego. W śmiałym i niezwykłym grupowaniu faktów, w łatwości wykrywania cech znamiennych a przydatnych w dobitnej ich charakterystyce jest on wielkim spadkobiercą ducha Hegla. Wierzy głęboko, że Hegel i chrześcijaństwo muszą się bezwzględnie dopełniać, że Hegel powinien uczynić logicznym i zrozumiałym wszystko to, co chrześcijaństwo objawiło. Jest on więc także głęboko powinowatym wielkim scholastykom Średniowiecza. Czemu był dla nich Arystoteles, ten praecursor christi in rebus naturalibus, tem dla niego jest Hegel. Obaj, Arystoteles i Hegel, służyli głównie do utwierdzania wiary i w wierze. Lecz św. Tomasz z Akwinu nie łudził się, że mimo potężnej pomocy Arystotelesa, pozostaną dogmaty chrześcijańskie zawsze tajemnicami, supra rationem. Cieszkowski natomiast żył w zwodniczym mniemaniu, że filozofia teraz, po Heglu, otwiera nam, jak

powiada, zapieczętowane księgi danielowe, gdyż one tylko do czasu z góry oznaczonego zapieczętowane być miały, kiedy wielu badaczy nad nimi przejdzie, a wiedza rozmnożenia dozna.

Całokształt dziejowego procesu jest dla Cieszkowskiego wielkim, ogólnym syllogizmem, którego momenty stanowią: byt, myśl i czyn. Momentowi bytu odpowiada świat starożytny przed chrześcijaństwem, momentowi myśli—świat chrześcijański aż do Hegla. Momentowi czynu przynależy się przyszłość. Byt, czyli rzeczywistość zmysłową ujawniła najdoskonalej sztuka. Pierwsze to stadyum ludzkości jest więc estetycznym. Drugie stadyum, filozoficzne, tworzy myśl. Przeżywała je ludzkość w epoce chrześcijańskiej do chwili obecnej. Trzecie stadyum czynu będzie syntezą poprzednich. Przypada mu cała przyszłość w udziale.

Estetyczne dociekania Cieszkowskiego stają się więc zrozumiałe dopiero na tle jego historyzofii — przeto musielibyśmy jej poświęcić nieco więcej miejsca. Z natury rzeczy zawarte one są w historyzofii świata starożytnego. Zgodnie z Herderem i Schillerem twierdzi Cieszkowski, że bliższem określeniem idei piękna, jako momentu dziejowego, są: kultura, humanitas i estetyczne wykształcenie rodu ludzkiego. Sztuka stanowi pierwsze pojednanie ducha z naturą. Przeto pierwszym przeznaczeniem ludzkości jest odpowiadające jej w dziejach estetyczne wykształcenie i humanitas. A duch na szczeblu sztuki, to duch grecki. Estetyczne to stanowisko ducha w Grecji było stanem naturalnym, przedmiotowym. Podmiotowość najmniejszego w nim nie brała udziału, gdyż sama się jeszcze nie była rozwinęła. Ponieważ stan ten był tylko przedmiotowym, więc był tylko *istniejącym*: stadyum bytu. Z chwilą, gdy *pomyślanym* być zaczął, w sobie samym rozpaść się musiał. Znamionuje to już przejście do antytezy, do stadyum filozoficznego, chrześcijańskiego.

Dowolność powyższego wartościowania widoczną jest naturalnie na pierwszy rzut oka. Można wierzyć lub niewierzyć, że w świecie starożytnym, na tym rzekomym stopniu estetycznym, życie ludzkości jest wytworem sztuki, że państwa, jako indywidualia, są dziełami sztuki, a wielcy ludzie artystami państwowości—jak mniema Cieszkowski. Dla tak ogólnikowych określeń zbyt bowiem łatwo o argumenty pro lub contra. Tem mniej zaważa na szali samo powoływanie się Cieszkowskiego na Schillera. Tak bezwzględna degradacya wszelkich innych wartości kulturalnych świata starożytnego wobec sztuki jest w każdym razie jednostronnością, zrodzoną najwidoczniej z dążności ku jednostronnej tezie, by z zawartych w niej przeciwieństw i niedoborów mózdz przejść

tem łatwiej do antytezy. Wogóle brak u Cieszkowskiego znie-
walającego dowodu, że właśnie sztuka grecka była szczytowym
objawem ducha w pierwszym tym okresie. Nie trudno byłoby
wykazać z niemniejszym uprawnieniem, że właśnie myśli czyli
filozofii greckiej przystoi zaszczytne to stanowisko. Możliwy
dowodami poprzeć, że właśnie myśl, czyli teoretyczny ideał Hel-
lady kształtował jej sztukę, a nie naodwrot, pomijając już to, że
większość zdobyczy filozofii po dziś dzień napotyka się mniej lub
więcej rozwinięte w Grecyi. Z niemniejszą łatwością można
odwrócić Cieszkowskiego wartościowanie długiej chrześcijańskiej
epoki, wykazując, że kulminacyjnym punktem kultury chrześci-
jańskiej jest właśnie sztuka a nie filozofia — mianowicie gotyk
średniowieczny i barok, te dwie formy sztuki par excellence koś-
cielnej, i poniekąd także renesans.

Ze wszystkich tych uwag wynika, że Cieszkowski przejął
nie tylko zalety, lecz również wady swego mistrza. Z tą samą
łatwością odwracał wartości i paczył fakty, gdy schemat dyalek-
tyczny tego wymagał. A właśnie te niedobory były głównym
powodem tak nagłego upadku Hegla i tak radykalnego ignoro-
wania go przez późniejsze pokolenia. Tem więcej dotyczy to
ucznia — Cieszkowskiego. A szkoda płynie stąd nie mała. Zbyt
natarczywie narzucają się bowiem jego braki, przeto zbyt łatwo
przeocza się, niestety, jego rzeczywistą wartość i wielkość.

Myśliciele naszych tego okresu cechuje niezaprzeczenie wspa-
niały rozmach i wielkopański gest. Atmosfera idealizmu i roman-
tyzmu, którą chciwie chłonęli, zaprawiła im skrzydła do lotów
szczytnych i potężnych. Szkoła Hegla nauczyła ich patrzeć na
sztukę pod kątem widzenia ogólnokulturalnego, niemal sub specie
aeternitatis. Ich myśli estetyczne są tedy, jak u Hegla, głównie
filozofią kultury artystycznej. Poszczególne zagadnienia piękna
obchodzą ich mniej, a poniekąd, jak np. Cieszkowskiego, prawie
wcale nie. Gdy po przeżyciu się tego okresu wielkiej spekulacji
filozofia przeszła do rozpatrywania zagadnień szczegółowszych,
gdy na miejscu wszechobejmujących systemów zjawyły się prace
o węższym zakresie — wówczas z natury rzeczy i nasza estetyka
wstąpiła na te same tory. Odtąd rozpoczął się okres specjaliza-
cji, trwający po dziś dzień.

Ruch literacki w Niemczech.

Rozpoczynając niniejszem kwartalne przeglądy niemieckiego ruchu literackiego, pragniemy przedewszystkiem zwrócić uwagę czytelników na jeden objaw, o którym zawsze pamiętać należy, ile razy chce się piśmiennictwo niemieckie uznawać za obraz tamtejszego społeczeństwa.

Oto zapewne i w innych krajach i u innych narodów istnieje różnica pomiędzy literaturą warstw rzeczywiście kulturalnych a piśmiennictwem, przeznaczonem dla szerokich mas ludowych. Tak jest np. i u nas, gdzie nie możemy nigdy przypuścić, aby taki np. Słowacki stał się istotnie popularnym wśród wieśniaków a choćby nawet rzemieślników. Lecz zaraz ten polski przykład uprzytomni nam, że jednak ów rozdział jest u nas mniejszym niż u Niemców. Prawda, Słowacki jest i pozostanie zapewne na zawsze poetą warstw kulturalnych, ale równocześnie i one i szerokie masy ludowe mają jednego wspólnego poetę, Mickiewicza, którego z przejęciem czytają, doskonale znają zarówno ci, co w najwytworniejszych miejskich apartamentach mieszkają, jak ci, co się pod słomianą tulą strzechę. Tymczasem u Niemców przykładów podobnych do wypadku z naszym Słowackim jest mnóstwo, natomiast niema ani jednego, przypominającego Mickiewicza. Że nie jest nim Goethe, tego chyba długo udowadniać nie potrzeba: gdy lat temu z górą dwadzieścia przy sposobności sto pięćdziesiątej rocznicy urodzin wielkiego poety (w r. 1889) pewne literackie czasopismo niemieckie urządziło w swej ojczyźnie wśród włościańskich chat wywiady, wyszła na jaw rzecz pozornie niepojęta, a jednak tak charakterystyczna: oto całe rzesze niemieckich chłopów nie znały choćby nawet nazwiska twórcy „Fausta,” a niektórzy pytali nawet, czy „Goethe“ to jaka miejscowość! Więc

jeśli nie Goethe, to może Schiller jest tym łącznikiem pomiędzy małuczkami a kulturalnymi Niemcami? Bynajmniej, i on nie. Pomijam już fakt, że niektórzy z tych naczelných „dziesięciu tysięcy“ Schillera lekceważą, z niego wprost się śmieją, czego u nas wobec Mickiewicza nikt nie śmie uczynić, ale, co ważniejsza, i Schiller pod słomianą strzechą nie jest popularnym. Prawda, czytają go chłopskie dzieci w szkołach, karmią się jego balladami aż do znudzenia, ale też na szkole się cały schillerowski kult kończy i prosty Niemiec, wyszedłszy z lat szkolnych, do Schillera potem z taką obojętnością się odnosi, jak my do... Corneliusza Neposa, którego „Żywoty“ z trudem tłómaczyliśmy w gimnazjum.

Czyż więc ten chłop, ten małomieszczanin niemiecki nic nie czyta? Owszem, czyta i to nawet dużo, przyczem uwzględnić trzeba i to, że w narodzie, gdzie analfabetów wśród starszych zupełnie niema, czytają niemal wszyscy. Ale co? Najprzód Niemiec protestancki — a jeśli mowa krótko o Niemcach, to zawsze ma się protestanckich Niemców na myśli, jak mówiąc krótko „Napoleon,“ pierwszego się wymienia — czyta swoją Biblię, czyta każdego wieczora, po całodziennej pracy. Do tego przychodzi w wolniejszych chwilach, zazwyczaj w dni świąteczne, lektura tygodników politycznych z „literackimi“ dodatkami, przeważnie z opisami podróży i sentymentalno-patetycznemi opowiadaniem, lektura o poziomie artystycznym tak niskim, a umysłowym tak staroświeckim, że żadnego, nawet najbardziej ludowego polskiego czasopisma, z nią zestawić nie można. Czasem, tu i owdzie znajduje się w wiejskiej chacie i jakąś książkę — oprócz kalendarza — reprezentującą „literaturę piękną.“ Ale nią nie będzie ani Goethe ani Schiller, tylko np. Gellert, a najczęściej Hebel (J. P. Hebel, autor „Skarbczyka nadreńskiego przyjaciela domowego,“ a nie broń Boże Fryderyk Hebbel, autor wspaniałych dramatów!) To czyta wieśniak niemiecki. Małomieszczanin niemiecki czyta mniej więcej to samo, z tą tylko różnicą, że trzyma codzienne popularne pismo polityczne, czasem nawet socjalistyczne, za to książek jeszcze mniej od chłopca. Idźmy o szczebel wyżej: szerokie warstwy niższej i średniej inteligencji. Te mają w bibliotece i Schillera i Goethego: podarunki gwiazdkowe i urodzinowe, ale ich nie czytają choćby dlatego, że ich jeszcze bardziej i dłużej w szkołach męczono Schillerem (Goethego się w szkołach niemieckich z pseudo-pedagogicznych powodów bardzo powierzchownie traktuje). Są w tych domach i tygodniowe lub półmiesięczne „Familienblatly,“ dzisiaj zapewne już nie tak bezmyślne, jak przed laty kilkunastu, w części historycznej nawet przeciętnie bardzo dobre,

w artystycznej zwolna rozwijające się, ale w belletrystyce jeszcze skrępowane tysiącem względów nieartystycznych. Kobiety tych sfer czytają nie mało, oczywiście romanse, ale ciągle jeszcze w przestarzałym stylu à la nieboszczka Marlitt: czułe i — *conditio sine qua non* — w rozwiązaniu koniecznie optymistyczne. Teatr tych kół taki sam: na przedstawienia klasyków niemieckich uczęszcza młodzież obojga płci, a starsi, chyba dla jej towarzysstwa, dla nich daje się płaskie komiczno-sentymentalne sztuczki Blumenthala i Kadelburga, dla starszych panów od czasu do czasu trochę „cochonnery“ francuskiej.

Jasnym jest, że cała ta literatura istotnie popularna dla obcego obserwatora posiada tylko względne znaczenie. Kto chce poznać literackie upodobania niemieckiego społeczeństwa, a za ich pośrednictwem jego ducha, ten ową literaturę popularną będzie studyował z zajęciem. Komu natomiast powyższe cele są obce lub przynajmniej obojętne, kto w zagranicznym piśmiennictwie szuka bezwzględnych wartości artystycznych, szybko spostrzeże, że na tym gruncie poszukiwania wyjątkowo tylko mogą przynieść wynik. Jak bardzo wyjątkowo, wystarczy wskazać, że w zakresie powieści w całej niemieckiej literaturze najnowszej doby jeden tylko jedyny *Jörn Uhl* Gustawa Frenssena (z r. 1903) łączy w sobie rzeczywistość — prawdą, że w tym wypadku wprost olbrzymią — popularność ze szczerą wartością literacką, w dziedzinie dramatu zaś niema nawet takiego jednego wypadku, chyba, że obniżając znacznie wymagania estetyczne, za takie wyjątkowe zjawisko uzna się *Altheidelberg* Wilhelma Meyer-Förstera (z roku 1898-go).

Polak, każdy wogóle nie-Niemiec, zapyta ze zdziwieniem: dla kogoż więc piszą ci, których się powszechnie za przedstawicieli niemieckiej literatury uważa: Hauptmann i Sudermann, Bahr i Schnitzler, Dehmel i Hofmannsthal i wielu ich tam jest? Jeżeli bowiem poprzedni obraz literackich upodobań niemieckiego społeczeństwa aż do średniej inteligencji w górę jest prawdziwym, to chyba powyżej tej linii pozostaje za mało czytelników i — co ważniejsza — nabywców książek, za mało widzów teatralnych, aby stojące na wyższym poziomie duchowym powieści i dramaty mogły się twórcom opłacić, a już na dzieła poważniejsze wprost brak chyba odbiorców. A przecież rokrocznie tyle się w Niemczech drukuje książek, tyle wystawia dzieł scenicznych. Więc jak to sobie tłumaczyć?

Tak, istotnie: wychodzi np. nakładem lipskiej księgarni Hinrichsa co tydzień spis nowości wydawniczych, imponująco obszerny.

Ale przypatrzmy mu się bliżej: lwią część stanowi literatura praktyczna: na czele pedagogika z mnóstwem podręczników i szkolnych wydań dla każdej prowincyi państwa niemieckiego osobno, potem literatura fachowa (teologiczna, agronomiczna, przyrodnicza, techniczna i t. d.), z historyi i estetyki literackiej oraz z filozofii bardzo mało, jak na naród obdarzony tyloma szkołami wyższemi, w belletrystyce zaś — na potwierdzenie naszych wywodów—dziesięć dziesiątych nazwisk autorów, których nie zna nietylko polski ale i niemiecki krytyk, a które za to są lubiane w owych szerokich kołach. To jedno. Proszę dalej wziąć za towarzysza kogoś dobrze z niemieckimi księgarskimi stosunkami obeznanego i wraz z nim przeczytać nazwiska nakładców tych niezliczonych książek, a wtedy on — szczególnie w dziale belletrystyki — mniej więcej przy każdej drugiej pozycyi powie: ten nakładca nie płaci autorowi, przeciwnie, każe sobie jemu płacić. Śmiało można powiedzieć, że w Polsce daleko łatwiej nakładcę znaleźć niż w Niemczech, przynajmniej o ile się nie jest albo popularnym w szerokich masach, albo bardzo już znanym kulturalnym kołom (prawda, że naodwrot, autor jakiejś filisterskiej powieści daleko łatwiej spienięży ją w Niemczech niż w Polsce). Wogóle to, co się u nas opowiada o bajecznych zarobkach niemieckich pisarzy, jest legendą, od której rzeczywistość bardzo, bardzo się różni. Parę przykładów, może niedyskretnych, ale wszak tu chodzi o ludzi, których nikt u nas osobiście nie zna. A więc największy współczesny poeta niemiecki, jeden z niewielu na świecie obecnie prawdziwie wielkich, a przytem wcale płodny (wydanie zbiorowe w dziesięciu tomach), Ryszard Dehmel, żyje często w niedostatku, równie jak i wiedeński bardzo oryginalny pisarz, Piotr Altenberg; bardzo wybitny poeta, Gustaw Falke, umarłby z głodu, gdyby miasto jego rodzinne, Hamburg, nie udzieliło mu „pensyi honorowej“; kilku nawet głośnych pisarzy ratuje się corocznie zapomogami z dobroczynnej „Schiller-Stiftung“; znaczny procent tych, którzy mają bardzo wygodny byt, zawdzięcza to nie literackim zarobkom, ale odziedziczonym majątkom (zrobiono dowcipne spostrzeżenie, że jak dawniej młodszy synowie magnatów poświęcali się stanowi duchownemu, aby żyć dostatnio bez uszczuplania rodzinnego majątku, tak dzisiaj starsi synowie fabrykantów niemieckich dalej pomnażają przemysłem zasoby familii, a młodszy wydają je na swoją twórczość literacką). Jakimi zaś są naogół zarobki niemieckich powieściopisarzy, to wyczytać można w ciekawej broszurce W. Fred'a „Literatura jako towar“ (1911), której sensacyjną rewelacyę i naszą prasę obiegly. Nieco lepiej mają się auto-

rowie dramatyczni, lecz nie dlatego, że ich dzieła cieszą się powodzeniem, ale że... padają w większej ilości teatrów, niż to jest np. u nas możliwe: poprostu pod naciskiem prasy każdy teatr musi wystawić ich sztuki, gra je dwa lub trzy razy, poczem wraca spokojnie do popularnych ramot Blumenthala i Kadelburga, ale zawsze zsumowawszy te drobne, lecz z wielu scen pochodzące tantyemy, otrzyma się jaką taką kwotę. Autorowie zaś dzieł poważnych, ci doprawdy w Niemczech ginęliby z głodu — o ile nie są z zamożnego domu, lub nie piastują jakiego urzędu — gdyby nie liczne biblioteki uniwersyteckie i gimnazyjalne, których rządowe czy miejskie dotacje są pośrednio zapomogami dla biednych uczonych i literatów.

Te wstępne uwagi wydały nam się koniecznymi na początku stałych przeglądów literatury niemieckiej. Pragniemy bowiem, by czytelnicy nasi z jednej strony książek i objawów, które tutaj omawiać będziemy, nie uważali zawsze za echo szerokich warstw niemieckiego społeczeństwa, z drugiej zaś strony, by od czasu do czasu pozwolili na pokazanie sobie i jakiegoś, bezwzględnie biorąc, mniej wartościowego faktu, ale będącego może w wyższym, niż tamte, stopniu ilustracją duszy niemieckiej.

*

*

*

Jeżeli w nagłówku mówimy o „ruchu literackim“ w Niemczech, to — o ile do tego pojęcia przywiązujemy wyższe znaczenie, jakiś ruch rzeczywisty, zcieranie się dwóch lub więcej kierunków, zaczepną walkę nowych, obronną dawnych — ruchu właściwie w tamtejszej literaturze pięknej niema obecnie, chociaż wiele, i więcej może niż wczoraj, jest w niej i pisarzy i dzieł wybitnych. Nie można także mówić o „czasie przejściowym,“ bo takie określenie nieściłoby w sobie optymistyczne oczekiwanie czegoś nowego w blizkiej przyszłości, a wiara ta dopóty była pocieszeniem wszystkich krytyków, póki wreszcie i oni przestali ją żywić, znużeni i znudzeni daremnym oczekiwaniem. Pod tym względem piśmiennictwo niemieckie podobne jest zresztą do polskiego, z tą różnicą, że w tem ostatniem najnowsze wypadki polityczno-społeczne, przelotna rewolucya w Królestwie i w Rosyi wywołały bodaj powierzchowne falowanie literackiego morza,

podczas gdy w Niemczech, gdzie od r. 1870, od ostatniej wojny, nic w polityce się właściwie nie dzieje, literatura i pod tym względem błogiej zażywa ciszy.

Uwidocznia się to i w niezwykle wielkiej liczbie zgonów znaczących, często nawet znakomitych pisarzy.¹⁾ Przychodzi najprzód wymazać z karty żyjących niejedno nazwisko, łączące dzisiejszą dobę z wczorajszą, nawet jeszcze z przedwczorajszą. Więc umarł (25 lutego 1911 r. w 83-im roku życia) Fryderyk Spielhagen, *auctor unius libri*, bo chociaż ich wiele napisał, to sławnym był jako twórca romansu „Problematische Naturen“ (r. 1860), epigon „Młodych Niemiec“ i Gutzkova, liberał starej daty *anno* 1848, zarówno wróg arystokracji i duchowieństwa jak i przeciwnik nowszych, bismarckowskich Niemiec, epik z gestem mówcy parlamentarnego, bystry, chociaż nie przedmiotowy obserwator życia towarzyskiego. Umarł (15 listopada 1910 r., 80 lat przeżywszy) inny patryarcha literacki, Wilhelm Raabe, tkwiący jeszcze gdzieś w czasach niebieskiego romantyzmu i filisterskiego biedermaierostwa, mogący być wielkim satyrykiem, gdyby brak wszelkich pesymistycznych skłonności nie był z niego zrobił idyllicznego *laudator temporis acti*, humorystę zadumanego nad przeszłością z uśmiechem nawpół gorzkim, nawpół łzawym. Umarł (1 kwietnia 1911 r. w 71 roku życia) Marcin Greif, jako poeta dramatyczny pełen bladej retoryki epigonów Schillera, jako liryk trwalszej wartości, dzięki temu, że wzorem Storma i Mörikego wchłonął w siebie poezję ludową. Ale w tem cmentarzysku obok tych mogił starców minionej epoki są, jakby powiedział Klopstock, i „wczesne groby“ ludzi, którzy do naszej należeli, a nieraz i ją tworzyli, na jej ukształtowanie wpływali. Więc przedewszystkiem Detlev von Liliencron (urodzony r. 1844, zmarł 22 lipca 1909 r.), obok Ryszarda Dehmela największy poeta liryczny dzisiejszych Niemiec, nie literat ale poeta, z boską iskrą geniuszu w łonie, zdrowa, żołnierska natura, pełna męskiej siły, wolna od wszelkiego dekadentyzmu, chociaż wrażliwa na wszystko, co się „duchem czasu“ słusznie czy niesłusznie zwie, rozśpiewana dusza z ogromnem poczuciem rytmu, i tego, którym brzmi muzyka maszerującego wojska, i tego, którym oddycha chwiejący się pod

¹⁾ Zwracamy uwagę czytelników na to, że, rozpoczynając przeglądy niemieckiego ruchu literackiego po dłuższem milczeniu tego działu w „Bibliotece“, musimy tym razem wyjątkowo dla utrzymania ciągłości mówić niekiedy i o faktach i zjawiskach z czasu nieco odleglejszego niż r. 1911. (P. a.)

podmucha wiatru łan dojrzałego zboża, i tego wreszcie, którym się skarży proletaryusz zadymionego nowożytnego miasta fabrycznego, dusza rozumiejąca wszystko, odczuwająca wiele, nieraz zapewne smutna, ale nigdy nie płacząca, trochę dumnie, trochę zawadyacko potrząsająca chorągwią bujnego, swobodnego życia. A gdybyśmy nie ograniczali się tylko do najwybitniejszych nazwisk, to pokłosie śmierci w ostatnich kilku latach okazałoby się oczywiście daleko większem.

Tymczasem zaś ci, co niedawno jeszcze młodymi byli, starzeją się. Jak u nas ciągle jeszcze do „Młodej Polski“ zalicza się ludzi, których włos dziś, jutro siwieć pocznie, tak i w Niemczech pokolenie ostatniej rewolucyi około r. 1890 bliższem jest już wieczoru niż poranku dni swoich. Powstały pod duchowym patronatem Emila Zoli i Henryka Ibsena naturalizm owych lat przeżył się, zanim zdołał się zupełnie wypowiedzieć, może dlatego, że zaczął od samego początku ze zbyt wielkim impetem, tak że przedwcześnie zabrakło mu oddechu. Poczęty znowu pod znakiem Maeterlincka neoromantyzm, tak zajmująco się zapowiadający, chociaż z zasadniczych względów odrazu tylko do szczupłej garstki powołanych przemawiający, wegetował przez te lata i wegetuje dzisiaj jeszcze, ale nosi coraz bardziej charakter objawu pochodnego, jest ruchem retrospektywnym, zawsze coś starego a zapomnianego „odkrywa“: to antyk, który na współczesną historyczną modłę przerabia, to bujny renesans elizabetańskiej epoki w Anglii, to awanturniczą rozwiązłość rokokowych czasów, to, śladami Wagnera nieraz z powodzeniem krocząc, mistyczne legendy średniowiecza, a ostatecznie jedną tylko jedyną na zasługę, ale nie w literaturze pięknej, tylko w naukowej, że nowemi wydaniami i opracowaniami przypomniał światu zapomnianych lub niedokładnie znanych romantyków, jak Novalis, Hölderlin, E. T. A. Hoffmann lub Wackenroder. I jeden tylko nowszy kierunek zachował do dziś dnia żywotność, zapewne dlatego, że tkwiło w nim więcej pierwiastków narodowych niż czysto estetycznych: t. zw. „Heimatkunst,“ sztuka rodzima, pod której ożywczem tchnieniem powstała ze zmarłych zwłaszcza austriacko-niemiecka literatura piękna, szczególnie w samym Wiedniu i w właściwem Księstwie Austrii, jak również i w „odkrytym“ także przez współczesną turystykę Tyrolu.

Kto dzisiaj spyta: *ubi sunt, qui ante*, gdzie są przewodcy owej rewolucyi literackiej z r. 1890, otrzyma smutną odpowiedź, chociaż nie w tem znaczeniu, że poprowadzi go się na mogiły zmarłych, ale że żywi takimi mu się ukażą, iż ze zdziwieniem,

jeśli nie z rozczarowaniem zawoła: *quantum mutati ab illo*. Gdzie jest przedewszystkiem ten już nie Jan Chrzciciel ale Mesjasz modernizmu niemieckiego, Gerhart Hauptmann? Że od szeregu lat corocznie z nowem dziełem scenicznym ponosił w teatrze klęskę za klęską, to mu jeszcze ujniny nie przynosi: nie zawsze najgorszeni są te sztuki, które publiczność, zwłaszcza w Niemczech, wygwizduje. Ale co gorsza, w tych wszystkich wypadkach ten *vox populi* był jeśli nie głosem Boga, to głosem zarówno prostego rozsądku jak i wytwornego smaku. A już co najgorsza, to te dramaty Hauptmanna, wszystkie po ostatnim bodaj porządnym, po „Róży Berndt“ z r. 1903, „A Pippa tańczy“ jak i „Panny z Bischofsbergu,“ „Zakładniczka cesarza Karola“ jak i „Gryzelda“ — one wszystkie były nie złe, ale obojętne, nie oburzały nawet nikogo ani nie zadziwiały, tylko poprostu nie interesowały. Prawda, przysłyły w ostatnim sezonie „Szczury“ i dały pociee narreszcie jakie takie powodzenie, nawet częściowo uzasadnione. Lecz pomijając okoliczność, że po tylu klęskach i to tak sromotnych, dla rehabilitacyi potrzeba było dzieła nie średnio przyzwolitego, lecz znakomitego, którem „Szczurów“ nikt chyba nie nazwie, to co w nich ostatecznie jest? Szereg, bardzo nawet długi, figur niejednokrotnie ogromnie charakterystycznych: na ich czele ex- i przysłyły dyrektor teatru Hassenreuter (wzorowany na zmarłym w r. 1900 Aleksandrze Hesslerze, u którego Hauptmann za młodych lat brał lekcye deklamacyi teatralnej), przepyszny typ patetycznego kabotyna scenicznego—ale te figury świadczą wprawdzie o wielkim darze obserwacyjnym pisarza, lecz nie mówią nic o jego geniuszu dramatycznym, tak są, zosobna postawione, w bardzo luźnym związku z sobą. A obok nich sama fabuła sztuki, chaotyczna opowieść o dwóch dzieciach, jednym kupionem, drugim skradzionem przez bezdzietną w małżeństwie Johnową, historya nie tyle dramatyczna, jako pożądanie macierzyństwa, ile trywialna, jako echo procesu hr. Kwileckiej-Węsierskiej i Meyerowej (skąd zapewne matka jednego z tych dzieci nazywa się rzekomo po polsku „Piperkarcką“). To wszystko ułożone obok siebie, nie z sobą zmieszane: trzy akty oddane tantom charakterystycznym figurom, dwa ostatnie poświęcone tragedyi Johnowej, spóźniony refleks młodzieńczego naturalizmu, w dawnej barwie nie spotęgowanego, lecz osłabionego, a bez jakiegokolwiek nowej myśli. Że dramatyczny talent Hauptmanna już się wyczerpał, tego dowodem jest i to, że on, którego dotychczas—poza dwoma drobnymi studyami powieściowemi—widziło się tylko i w praktyce i w teoryi na scenie, wystąpił w ostatnich miesiącach jako

powieściopisarz. Dawno zapowiadano tę powieść, tajemniczemi półsłówkami pisano o niej już od kilku lat, oczekiwano jej z utęsknieniem. Aż się nareszcie z końcem r. 1910 ukazała pod dziwnym tytułem „Der Narr in Christo Emanuel Quint.“ Gruby tom o kilkuset drobno zadrukowanych stronicach, lektura żmudna i częściej nużąca niż zajmująca, dla znawców poprzednich książek autora odrazu widoczna, jako rozproszanie motywu, niegdyś w nowelistycznym studyum p. t. „Apostoł“, krótko ale wyraziście nakreślonego. Oto jest jakiś bezdomny włóczęga, podobno nieprawy syn księdza, który poczyna podawać się za apostoła nowej wiary, znajduje wyznawców, w rolę swą tak się wżywa, że mówi już tylko słowami Pisma św., aż wreszcie jako sam Chrystus występuje i tak długo bałamuci lud, dopóki władza państwowa nie kładzie temu kresu. Jak sam temat nie jest u Hauptmanna nowością, tak i wszystkie zasadnicze pierwiastki przydługiego opowiadania zna się już dobrze z dawniejszej poety twórczości: więc i ten mistycyzm ze Ślązka, ojczyzny Hauptmanna a kolebki także i takich mistyków jak Jakób Böhme i Anioł Ślązak się wywodzący; my go już znamy i z „Hanusi“ i z „Biednego Henryka“; a altruistyczne umiłowanie cierpiącego proletaryatu, to także już było i w pierwszym dramacie „Przed wschodem słońca“, i w „Tkaczach“, i w tejże samej „Hanusi.“ Co tu jest nowem: śmiało, że nie powiemy zuchwałę, podawanie się Emanuela Quinta za Chrystusa, kształtowanie jego dziejów tak, by były uderzająco podobne do ziemskiej wędrówki Jezusa. To Hauptmann wziął znowu nie z siebie, jeno z P. Roseggera, popularnego styryjskiego pisarza i jego powieści „Wieczne światło.“ W całości powieść jest zapewne ciekawą dla chcących znać całą twórczość Hauptmanna, sama w sobie jest jednak ciężką i przygniatającą, a będąc przez kilka lat, zanim się ukazała, „sensacją“, przestała nią być od chwili, gdy się ją z mozołem do końca przeczytało.

Ale nie sam Hauptmann tylko, jeden z byłych przewodców nowego dramatu niemieckiego, przeobraził się w powieściopisarza. Obok niego staje w r. 1911 inne sławne i u nas nazwisko. To Maks Halbe. Lat temu osiemnaście (1893) ogłosił tę „Młodość“, która—o ile jej cenzura teatralna pozwoliła—święciła takie tryumfy na scenie, uważana za najszczerzy krzyk serca ludzkiego, za klasyczny wybuch ludzkich namiętności. Poccie przepowiadano świetną przyszłość, łączono z nim najśmielsze nadzieje literatury niemieckiej. Rzeczywistość wszystko rozwiąta: Halbe, jak Hauptmann, pisał dramaty, ale z jeszcze mniejszem powodzeniem, aż w końcu znudziły mu się one samemu, jak już znacznie przedtem

publiczności, i poeta przeszedł do powieściopisarzów: w r. 1910 napisał zbiór nowel „Pierścień życia,” w r. 1911 powieść „Czyn Dietricha Stobäusa.“ I z tym romansem stworzył nareszcie znowu po latach poważne dzieło, które niewątpliwie nigdy nie będzie miało rozgłosu tamtego dramatu, ale zawsze o autorze dobrze świadczyć będzie. Dla głębszego badacza korzystnem jest zdanie sobie sprawy z tego, czemu ta powieść jest dobrą. Chyba nie dla swojej fabuły. Dietrich Stobäus, uwikłany w miłość do lekkomyślnej, poważnych uczuć niegodnej aktorki, nie mogący się od niej uwolnić, aż dopiero z chwilą, gdy kochankę zrzuca ze skały w toń morską, ten bohater romansu Halbego, kończący psychopatyczny proces morderstwem, sam przez się nie jest zbyt ciekawym, o ile nie będzie się w nim widziało samego pisarza, który w ten sposób zaznacza swe wyrzeczenie się pisania dla teatru. Ale nad tem wszystkim unosi się to, co było i w owych nieszczęśliwych dramatach Halbego jedynie sympatycznym: jego serdeczne przywiązanie do ziemi ojczystej, na zewnątrz ujawniające się w szczerych lirycznych akcentach. Była powyżej mowa, że ze wszystkich kierunków literackich w Niemczech w ostatnich kilkunastu latach jeden tylko okazał się prawdziwie żywotnym: sztuka rodzima. Ona uratowała Halbego także. Prawda, ma ją także Hauptmann, ale czy to dlatego, że na swój rodzinny Śląsk patrzy jednostronnie i widzi w nim nie całość, ale części tylko: proletaryuszów i mistyków, czy też dlatego, że jego miłość jest mniej pozytywnem ukochaniem, więcej negatywną skargą nad ojczystą biedą, czy wreszcie wskutek wrodzonej autorowi skłonności do filozofowania a niechęci do liryzmu—dość, że Hauptmanna „sztuka rodzima“ jest chłodną i czytelnika do wzajemności nie pobudzi. Inaczej jest z Halbem: urodził się nad morzem, to morze kocha, jego piękność i moc jak poeta śpiewa, uderzając w pełny ton, który trafia i do naszego serca. Stąd jak przed laty u niego, zresztą silnie zaznaczającego wrogie stanowisko przeciw Polakom, dramat o „Strumieniu,” o naszej Wiśle przemówił do nas tą właśnie miłością przyrody, tak samo „Czyn Dietricha Stobäusa,” czyn dokonany nad brzegami Bałtyku, „polskiego morza,” dzięki pięknemu i wyraziście odmalowanemu krajobrazowi, bliższym jest nam od Hauptmanna śląskich proletarycko-mistycznych filozofowań.

Zostańmy przy powieści, przy powieści, pisanej ręką autorów, których dotychczas powszechniej znało się jako dramatycznych. Z tą tylko różnicą, że obecnie już nie chodzi o powieść, jako *ultimum refugium* zbankrutowanych pisarzy dramatycznych.

Bo do nich przecież żadną miarą nie można zaliczyć Hermana Bahra. Owszem, ostatnie dramaty jego cieszyły się jeszcze większem powodzeniem, niż poprzednie. W świeżej pamięci jest jeszcze jego „Koncert,“ dowcipnemu i zręcznemu dyalogowi, błyskotliwej charakterystyce d-ra Jury i płynnej a mimo groźących niebezpieczeństw „dobrze się kończącej“ akcji zawdzięczający powodzenie i na obcych scenach, także i na naszych. Raczej zabawką są już „Dzieci,“ gdzie na chwilę zdaje się, jakoby miała być opowieść o tragicznej miłości dwojga rodzeństwa, na wzór naszej legendy o Stanisławie i Annie Oświęcimach, aż się pokazuje, że oboje są dziećmi grzechu, z dwóch ojców i dwóch matek o tyle z sobą „spokrewnionych,“ że te dwie pary małżeńskie wajem się oszukiwały—rozwiązanie i trochę „za włosy przyciągnięte“ i bardzo niesmaczne. Bądź co bądź jednak Bahr ani, że tak powiemy, nie potrzebował pisać powieści dla naprawienia swej sławy literackiej po klęskach teatralnych, ani, pisząc romanse, nie zaprzestaje tworzenia sztuk scenicznych, jak to było z Hauptmannem i Halbem. A jednak pisze powieści i to widocznie *con amore*, nieledwie z pasją i z daleko większą powagą, niż dramaty. Bo — proszę sobie tylko uprzytomnić, że jesteśmy w dwudziestym wieku, w wieku, szybko żyjącym i nieznoszącym długich, wielotomowych powieści, któremi nas ku naszej uciezce raczono sto i pięćdziesiąt lat temu!—Bahr zamierza napisać ni mniej ni więcej, tylko cykl, złożony z... dwunastu powieści! Przedsięwzięcie zaiste zdumiewające, tem bardziej, że autor chce tu przedstawić i wyczerpać, jeśli nie jak Balzac całą „Comédie humaine,“ to przynajmniej obraz społeczno-polityczny dzisiejszej Austrii. Lecz tutaj jeszcze nie koniec naszemu zdumieniu: oto tenże sam Bahr równocześnie z zapowiedzią dwunastotomowego cyklu oświadcza, że jego zdaniem ilość odmiennych typów ludzkich jest właściwie bardzo ograniczoną, tak, że na palcach obu rąk z łatwością policzyć można, według ilu zasadniczych wzorów Pan Bóg stworzył miliardy ludzi od początku świata do dzisiejszego dnia. I zapytywanie swoje tak konsekwentnie w czyn wprowadza, że w trzech dotychczas ogłoszonych powieściach nie tylko zjawiają się często te same postacie ale powtarzają się nawet figury, znane już z dramatów autora, zwłaszcza arcyksiążę, marzyciel, niezadowolony ze swego wysokiego stanowiska, które nie pozwala mu być „człowiekiem,“ dalej brutalny „Kraftmensch,“ któremu aż do chwili tragicznego przejrzenia zdaje się, że pokonał wszelką ludzką słabość, wreszcie dziwak i oryginał, raz jakiś egzotyczny gość, dziwujący się kulturze europejskiej, to znowu, jakiś oryginał, utrzy-

mujący, że ludzie „tylko z przyzwyczajenia“ umierają. To wszystko postawione na tle specyficznie austriackich stosunków, z dużym zasobem austriackiego patryotyzmu, lecz tak dalece *sui generis*, że się często bardzo nie podoba austriackiemu prokuratorowi państwowemu, bo Bahr należy do tych austriackich szowinistów, którzy chcieliby połączenia austriackości z europeizmem, co zawsze w Austrii uchodzi za antypaństwowość. A oto trzy dotychczas stworzone ogniwa cyklu: „Die Rahl,“ romans wzorowany na życiu zmarłej przed kilkunastu laty sławnej wiedeńskiej aktorki tragicznej, Karoliny Wolter, opowiadający o rozmarzonym i namiętym chłopcu, spędzającym rozkosznie noc miłosną w willi starzejącej się, a potrzebującej odmłodzenia aktorki; opowieść trzymana w tonie nawpół ironii, nawpół współczucia, z silniejszą nutą w oskarżeniu dzisiejszego systemu wychowania szkolnego. Potem poszła „Drut“ z szerszym propektem, bo nie na teatr, lecz na życie austriackiej biurokracyi, jak tamta powieść, oparta o wydarzenia rzeczywiste, o głośny swego czasu proces karny, w którym żona prowincjonalnego starosty zyskała opinię awanturnicy i oszustki, romans, wnikający w tajniki psyche kobiecej, lecz na to tylko, aby pokazać, jak one są niezgłębionemi, poza tem zajmujący się odzwierciedleniem stosunków w austriackiej służbie polityczno-administracyjnej, pracującej mniej dla dobra publicznego, więcej dla uporczywego zachowania własnych przesądów. Wreszcie, jako ostatnie na razie dzieło z tego cyklu, ukazała się niedawno powieść p. t. „O człowieku!“, pozbawiona już niemal wszelkiej akcji, obfitująca natomiast w bogactwo, niemal nadmiar typów, od nawpół dzikich do przerafinowanych, toczących z sobą nieskończone rozmowy, przebłykujące paradoksami w stylu „Koncertu.“ Co przyniosą dalsze książki, oczywiście nie wiadomo, obawiać się jednak trzeba, że Bahr uprze się przy swoim zamiarze, pisać będzie dalsze powieści, aż dopełni dwunastki, mając za czytelników jedynie tylko godnych pożałowania krytyków, zmuszonych do odczytywania wszystkiego, co jest podpisanem tem wybitnem w literaturze niemieckiej nazwiskiem.

I u Bahra zatem nie można szukać powieści popularnych bodaj wsród przysłowiowych „wyższych dziesięciu tysięcy.“ Prędzej już u Klary Viebig. Kobieta płcią, ale z powieściopisarzów kto wie czy nie najbardziej męzka, spadkobierczyni Emila Zoli, może w całej Europie najwierniejsza jego spuściznie. Miała przed laty swą najświetniejszą chwilę, gdy w r. 1900 napisała „Wieś babska,“ pełną na ogół tłumionej, wreszcie z tem większą siłą wybuchającej namiętności; wkrótce potem w „Śpiącym wojsku“ (1904)

poruszyła najbardziej piekące zagadnienie bieżącej polityki pruskiej, „sprawę polską,“ nie dając oczywiście recepty na jej załatwienie, ale jej poszczególne elementy określając bystro i z przedmiotowością, Polakowi zapewne nie wystarczającą, w oczach Niemców jednak za mało nacyonalistyczną. Teraz jej bohaterami są „Ci przed bramami,“ nawpół mieszczańską, nawpół wiejską ludność podmiejskich gmin berlińskich, które straszliwy polip milionowego miasta zagarnia w swe ramiona, garstce dając bogactwo, masie moralny i finansowy upadek: obraz grynderskiej gorączki w stolicy Prus po ostatniej zwycięskiej wojnie, po miliardach francuskiej kontrybucyi, które zataryły dawniejszy charakter Berlina i z niego zrobiły dzisiejszy Berlin, ani Bogu ani ludziom nie miły. Jak „mężkami“ są tematy tych powieści, tak twardem jest i oschłym, mimo wielkiego artyzmu, ich opracowanie; Klara Viebig chce sama jedna przebłągać estetyczny smak za ckliwą sentymentalność tylu kobiecych piór i dlatego z rozmysłu unika nie tylko wszelkiego roztkliwiania się, ale i uczuciowości wogóle. Objaw to tem mniej pożądany, że dzisiejsza belletrystyka niemiecka wogóle wyrzeka się żywszej nuty, a nawet tam, gdzie była do niedawna główna dziedzina neoromantycznych prądów, w noweli, od kilku lat jest powrót do banalności minionej epoki. Nowela niemiecka, pamiętająca za czasów Kleista, Tiecka i Hoffmanna świetność, francuskiej dorównyującą, później za K. F. Meyera i młodego Heysego znowu czerwienią ożywiona krwią, za dni naszych pod piórem Auernheimera, Bahra, Michela, Saltena, Wassermanna na chwilę zaświeciła wielością barw na to, by od dwóch czy trzech lat popaść w dawny zastój.

*

*

*

Życia, ruchu jest dzisiaj dużo w niemieckim dramacie i teatrze. W teatrze najprzód: któż nie zna bodaj ze słyszenia wielkich czy tylko efektownych koncepcyi Reinhardta, jego śmiałych prób inscenizacyjnych, do których dołączyła się w ostatnim roku aneksya cyrku na rzecz teatru? A nie obcemi są także i nam niemieckie teatry pod gołym niebem z Zachodu i Południa przejęte, w Niemczech tem bardziej przybierające charakter systematycznej dążności, że klimat tamtejszy takim przedsięwzięciom by-

najmniej nie sprzyja. Ożywienie w dziedzinie teatru zawsze łączy się z ożywieniem w zakresie literatury dramatycznej. Tak jest i obecnie w Niemczech. Skala tego dramatu jest bardzo szeroka w treści i formie i obejmuje zarówno poematy dramatyczne legendarne jak i psychologiczne analizy sceniczne, obrazy wielkich chwil dziejowych jak i pastelowe portrety współczesnych typów. Mimo tej różnorodności jednak widoczną jest w tej chwili w dramacie przewaga motywów legendarno-histerycznych nad współczesnymi. Ta wiadomość zrazu wcale nie wyda się wesołą: wszak pamiętamy wszyscy, jak nudnym był niemiecki dramat historyczny epigonów wielkiego Schillera. Ale teraz rzecz ma się zupełnie inaczej. Ze śmiercią Ernesta Wildenbrucha, który zresztą był stanowczo lepszym, znacznie lepszym poetą, niż za jakiego np. u nas go uważano, po zgonie tego ostatniego malarza wielkich historycznych płócien *al fresco* skończył się, zapewne na długo, jeśli nie na zawsze, historyczny dramat w stylu Schillera. Dramat historyczny, jako taki, wcale nie zaginął, owszem, odżył na nowo, ale w zmienionym duchu. Hauptmann swego czasu myślał o takim renesansie, chciał gałązkę dramatu historycznego przeszczepić na pień naturalistyczny, napisał „Floryana Geyera“ (w r. 1895) i — rzecz się z gruntu nie udała. Dzisiaj, w czasach mniej doktrynerskich, dramat historyczny odradza się nie w myśl jakichkolwiek formułek estetycznych, lecz przetrawiony indywidualnością twórców, w której jest zarazem niezależny od artystycznych programów czasu.

Wstępując na tę drogę nowe talenty, widzimy na niej i takich, którzy dotychczas po zupełnie innych chadzali ścieżkach. Niemal też było w Niemczech zdumienie w jesieni 1910 r., gdy rozchodziła się wieść, że wiedeński teatr nadworny grać będzie wielki dramat napoleoński pióra... Artura Schnitzlera. Więc tego samego, którego „Miłostki,“ i „Kolacyjka,“ i „Anatol“ i inne to sentymentalne, to swawolne (a zwykle jedno i drugie) sceniczne obrazki erotyczne uchodziły za klasyczny portret wiedeński „słodkiej dziewczyny“ i jej amantów. Aż tu nagle zjawia się ten dramat historyczny w szesnastu odsłonach, z aparatem niemal stu osób działających! Warto mu się bliżej przypatrzeć, choćby dlatego, że nie można się spodziewać, byśmy go kiedykolwiek na scenie polskiej ujrzeli, a bodaj dzięki historycznemu tłu, musi on nas zaciekać.

Punktem wyjścia dla autora był nietylko historyczny fakt pobytu cesarza w Schönbrunnie w r. 1809, ale niemniej autentyczny epizod z październikowych dni: nieudany zamach na Na-

poleona. Sprawcą był Fryderyk Staps, siedemnastoletni syn pastora z Naumburga. Młody chłopak widział „boga wojny“ po raz pierwszy na świetnym erfurckim zjeździe i wtedy jeszcze spokojnie o nim ojcu pisał. Ale towarzystwo innych rówieśników, literatura wolnościowych dramatów Schillera, wreszcie ogólna atmosfera w Niemczech, wroga Napoleonowi, sprawiły, że w Stapsie dojrzał plan zabicia ciemieży Niemiec. Odjeżdżając potajemnie z domu ojcowskiego, mówi wyraźnie w stylu „Dziewicy orleańskiej“ z namaszczeniem o tej wielkiej misyi. I rzeczywiście 12 października 1809 r., gdy cesarz, prowadzący wówczas układy pokojowe z Austryą, dla przeglądu wojska schodził schodami schönbrunnskiego pałacu, generał Rapp dojrzał w tłumie podejrzanego młodzieńca i kazał go niepostrzeżenie aresztować. Przy rewizyi znaleziono przy nim wyostrzony nóż kuchenny. Staps zamysłów swoich wcale nie ukrywał, a cesarz, który bez wahania całe hekatombie ludzi na śmierć wysyłał, z niewyjaśnionych przyczyn chciał go wyratować. Więc poddał mu — daremnie — myśl, by udawał waryata, potem chciał go ułaskawić, jeżeli wrazi żal za swój postępek, ale Staps ubolewał tylko, że mu się nie powiodło. Ostatecznie Napoleon musiał go skazać na śmierć, a jest w tem dużo ironii historycznej, że wirtemberscy, zatem niemieccy żołnierze, rozstrzelali niemieckiego zapaleńca. Jedy- nym, nieoczekiwanym skutkiem zamachu było to, że pod jego wrażeniem Napoleon coprędzej zawarł pokój z Austryą. Takim jest pierwowzór bohatera dramatu Schnitzlera o „Młodym Medardzie“; że autor zrobił z niego Wiedeńczyka, to wprawdzie nie jest zgodne z historią, ale ostatecznie da się wytłómaczyć lokalnym patriotyzmem. Ze, jak zobaczymy, Schnitzler wplątał w tę sprawę miłość, to również ma pewne uzasadnienie w podanym przez generała Rappa domysle Napoleona, jakoby niemieckie kobiety podburzały Stapsa. Ale źródło, z którego Schnitzler tę miłość czerpie, jest bardzo mętne. Proces myślenia był u niego zapewne następujący: Medardowi i jego mieszczańskiemu otoczeniu należy dać odpowiednik w towarzystwie wysoko urodzonym. A że to ma być historia polityczna, więc dobrze dodać do społecznego konfliktu także i narodowościowy. Więc jaki arystokratyczny *émigré*? Tak, ale czemu nie wejść na jeszcze wyższy szczebel drabiny społecznej, czemu nie dać potomka rodziny królewskiej, pretendenta do tronu, zajmowanego obecnie przez uzurpatora. To i zaostrzy konflikt dramatyczny i wytłómaczy nienawiść do Napoleona. Ale kto ma nim być? Jaki Bourbon? Przecież rząd austriacki z obawy przed Napoleonem nie tolerowałby go. I tak

tym pretendentem, święcie o swoich prawach przekonany a przez nikogo na seryo nie brany został „książe de Valois,“ mino że rodzina ta wygasła w r... 1599! Jak na dramat historyczny, fikcyja to zbyt śmiała. A nawet i w dramacie psychologicznym pomysł to nieszczęśliwy, bo przecież ten „książe de Valois“ ma być figurą *tragi-komiczną*, a nie zupełnie śmieszna lub zwaryowana, a takim byłby ten, ktoby w r. 1809 uważał się za Walezyusza.

Przejdźmy po kolei, ale szybko, te szesnaście odsłon dramatu. Medard, syn Franciszki Klähr, wdowy po księgarzu, który, jako żołnierz, czekając na mrozie na Napoleona, mającego odbyć wojskową paradę, nabawił się śmiertelnej choroby, chce się zaciągnąć do narodowej milicyi, walczyć przeciw cesarzowi Francyi. Ale losy chcą inaczej. Siostra jego, Agata, ma romans z młodym ks. de Valois, synem owego pretendenta. Rodzina jego o małżeństwie naturalnie słyszeć nie chce, więc kochankowie topią się w falach modrego Dunaju. Medard postanawia pozostać w Wiedniu, na rodzinie księcia pomścić śmierć Agaty. Dwa trupy w prologu, w pierwszym akcie ich pogrzeb na cmentarzu. Tu Medard spotyka siostrę kochanka Agaty, księżniczkę Helenę. Lży ją, czego następstwem jest pojedynek z jej kuzynem, a w nim Medard odnosi ranę, zyskując jednak namiętną miłość Heleny. Medard jej nie kocha, ale na jej zaproszenie spędza u niej noc w zamku, na to tylko, aby potem jej upadek publicznie rozgłosić: dziwna panna, dziwniejszy kawaler. Lecz fatum chce, że Medard sam zapala się od ognia Heleny. Jej miłość jest mu teraz rzeczywistością, snem wszystko inne: snem śmierć ojca, ofiary ucisku Francuzów, samobójstwo Agaty, nienawiść do Napoleona. Otrząsa się z tego stanu dopiero pod wrażeniem tragicznego wypadku w rodzinie: jego wuj, zadenuncyowany przez podłego zdrajcę, zostaje rozstrzelany (znowu cmentarz, znowu pogrzeb!). Medard ponownie przysięga zemstę, a zagrzewa go do niej Helena z osobistych, rodowych pobudek: gdy Napoleon zginie, rodzina Valois wróci na tron francuski. Medard poznaje, że gdyby zabił cesarza, to nie byłby to czyn patryoty niemieckiego, tylko zapłacone dzieło najemnika Walezyuszów i dlatego wzbrania się to zrobić. Helena sama podejmuje przedsięwzięcie. Uważana jest za kochankę cesarza, bo w interesie rodziny była u niego na audyencyi, ma więc możność zbliżenia się do niego. Czeka na Napoleona na schodach zamku, ze sztyletem w zanadrzu. Wtedy Medard zabija ją. Uwięziony, dowiaduje się ku swemu zdumieniu, że cesarz ma go za wybawcę swego, bo poznano prawdziwy zamiar Heleny. Protestuje, zamysł swój wyjawia, skłamać nie

chce nawet wtedy, gdy cesarz, pragnąc go uratować, żąda od niego jedynie przyrzeczenia, że nigdy już nie będzie godził na jego życie. Rozstrzelany, na rozkaz Napoleona ma być pochowany „z wszelką czcią i w poświęconej ziemi, jako tej wojny ostatni i najdziwniejszy bohater.“ Czy istotnie bohater? „Bóg chciał go zrobić bohaterem, bieg rzeczy zrobił z niego głupca,“ mówi o nim jedna z osób dramatu. Medard w swojej niezdolności dokonania czynu podobnym się niby wydaje z daleka do Hamleta. Tylko dwie są pomiędzy nimi różnice: po pierwsze Szekspir *a priori* przedstawia królewicza duńskiego jako takiego słabego człowieka, w którym hipertrofia myśli zabija energią czynu, Schnitzler zaś chciał, by się w Medardzie widziało bohatera czynu; powtóre zaś ostatni „czyn“ Medarda kwalifikuje go istotnie jako „głupca.“ Po co, zabiwszy Helenę, wyznaje, że chciał także zabić cesarza? Przecież właśnie, zyskawszy tamtem zabójstwem zaufanie Napoleona, mógłby łatwiej dokonać drugiego, o które mu chodziło. Ale nie, jemu chodziło o to tylko, by zginąć, a zginąć z szerokim gestem, jako wróg cesarza, gdy w rzeczywistości jest on ofiarą niezdrowej miłości. Ale Medard nie jest nawet „bohaterem sztuki“ w dramatycznym znaczeniu, jest tylko epizodyczną figurą w walce Heleny de Valois z Bonapartem. To jest główny zrab akcyi, jak wogóle, pogodziwszy się raz z istnieniem fantastycznych Walezyuszów, musimy w nich widzieć najlepiej w dramacie odtworzone środowisko. A także i mieszczański świat wiedeński z patryotami i delatorami, z codzienną biernością i odświętnymi porywami udał mu się dobrze, równie jak ta smutna, nastrojowa para, „prastary pan“ i jego prawnuczka, błądzący po cmentarzu. Jeśli więc w całości Schnitzler bohaterskiego dramatu historycznego tutaj nie stworzył, to dał w każdym razie ciekawy obraz epoki, odmalowany indywidualnym pędzlem, bo tymi smętnymi cieniami i łagodnymi półtonami, które charakteryzowały poetę w współczesnych dramatach. Nie zgwałcił więc ani siebie, ani dramatu historycznego. I w tem właśnie, mimo aktualnych wad, leży dobra myśl, nadzieja odrodzenia dramatu historycznego w tym kierunku, równie odległym od naśladowania Schillera jak i od samowoli Hauptmanna. W pierwszym wypadku naginano własną indywidualność poetycką do skostniałego już kanonu estetycznego, w drugim temperament poety rozbił rami dramatu, jako takiego. Zbawienie jest tylko na pośredniej drodze: pogodzenia zasadniczych rysów tragedyi historycznej z własnym temperamentem poetyckim.

Z tego punktu widzenia „Wiara i ojczyzna“ Karola Schönherra, w treści i w zabarwieniu zupełnie odmienna od sztuki Schnitzlera, jako zjawisko literackie ma podobne do niej symptomatyczne znaczenie. Obok „Młodego Medarda“ była to najgłośniejsza „premier“ teatralna ostatniego sezonu, a z innych względów musi nawet jeszcze głębszą skupić uwagę. Schnitzler i jego utwór są bądź co bądź odbiciem duchowej atmosfery Wiednia, tego pięknego i miłego „miasta Feaków“, jak się o nim wyraził największy jego poeta, Grillparzer. Wiedeń, chociaż jest stolicą monarchii, nie skupia w sobie bynajmniej jej życia duchowego, zarówno np. w sferze artystycznej, jak i politycznej. Od dziesiątków lat nie zrodziła się tam żadna myśl polityczna, bo antysemityzm Luegera był tylko walką ekonomiczną małego sklepikarza i drobnego rzemieślnika z wielkim, przeważnie żydowskim kupcem i przemysłowcem, to też poczynął upadać w miarę, jak ów ekonomiczny proletaryat, dzięki protekcji komunalnej polityki, sam stawał się posiadaczem dobrobytu. Natomiast na prowincyi, w niemieckich prowincyach Austrii, zwłaszcza w Styryi i w Tyrolu, tam prądy polityczne nurtują żywiej i głębiej, niż w sybaryckim a płytkim Wiedniu. Oczywiście obserwator polski nie ma ani potrzeby, ani upoważnienia do oceniania wartości tych prądów, może i powinien je tylko przedmiotowo określić. Takie stanowisko zająć trzeba przede wszystkim wobec rozbrzmiewającego od kilkunastu lat w niemiecko-austriackich prowincyach hasła: „Los von Rom!“, hasła, które zresztą w istocie rzeczy jest raczej narodowem niż religijnem. Dążenia te znajdowały już niejednokrotnie wyraz i w literaturze pięknej, szczególnie w powieści, w dramacie Schönherra występują jednak z niebywałym impetem, a dodajmy bezstronnie: także z talentem, którego autorowi nikt nie odmówi, aczkolwiek każdy spostrzeże, iż talent to brutalny, zwłaszcza gdy się go zestawi z łagodnie rozmarzonym Schnitzlerem.

Jesteśmy w czasach t. zw. Kонтreformacyi, za panowania cesarza Ferdynanda II. Wrogo przeciw protestantyzmowi usposobiony monarcha, postanawia bodaj najsurowszymi środkami wykorzenić te „nowinki“ ze swoich dziedzicznych krajów. Kto nie wyprze się „niemieckiej Biblii,“ musi sprzedać ojcowiznę i iść precz. Rodzina chłopca Rotta mieszka we wsi alpejskiej. Sam gospodarz i stary jego ojciec potajemnie wyznają augsburską konfesję, jawnie, ze strachu, są katolikami, by, jak brat Rotta, Piotr, nie tułać się po świecie; Rottowa natomiast jest wierną katoliczką, protestantyzmu i protestantów nienawidzi. Czasy są

okrutne: wysłannik cesarza z siepaczami idzie od chaty do chaty, poszukuje Biblii niemieckiej, w czyim domu ją znajdzie, ten musi gotować się za kilka dni do drogi. Korzysta z tego tylko bogaty Englbauer: kupuje grunta i gospodarstwa tych, którzy emigrować muszą, kupuje dlatego, że chce każdemu dziecku zapewnić posiadłość: i teraz lada dzień przyjdzie mu na świat dziecko, oczywiście syn, więc trzeba spieszenie jeszcze jedno gospodarstwo dokupić, bo Englbauer nie może przecież przyjść na świat bezdomnym biedakiem. Krzyk, płacz we wsi. Rott boleje nad tem, ale się nie zdradza; nawet, gdy, pchany tęsknotą za rodziną ziemią, Piotr, wraca pokryjomu, brat go się wypiera, wygania go z chaty. A stary jego ojciec także katolika udaje, bo wie, że wnet umrze, a chce złożyć kości na ziemi ojców, więc dopiero przed samą śmiercią wyzna prawdę. I trzeba dopiero okrutnych gwałtów owego cesarskiego „dzikiego rycerza,“ trzeba krwawych ofiar innych mieszkańców wsi, przywiązanych do nowej wiary, aby Rott wyznał publicznie, kim jest w istocie. Nie minie go surowa kara: musi sprzedać ojcowiznę, opuścić wieś. Więc pójdą we troje, bo i żona mu będzie towarzyszyła i syn, wesoły, swobodny chłopak, Spatz; zostanie tylko stary Rott. Nie, i on pójdzie, bo edykt cesarski mówi, że kto kacerzem umrze, pogrzebany będzie tam, gdzie się zakopuje padłe psy. Więc stary Rott ma do wyboru: albo być zaprzańcem do śmierci, albo już teraz wyznać wiarę. Wybiera to drugie. Więc pójdą we czworo. Nie. Rycerz zapowiada, że małoletni zostaną, będą wychowywani przez rząd w wierze katolickiej. Więc i Spatz?... Chłopak sporów religijnych nie rozumie, ale ojca i dziadka kocha, rozłączyć się z nimi nie chce, nie może; raczej topi się w młynówce. Matka zrozpaczona pożąda zensty: mężowi wkłada do rąk siekiere, niech zabije wściekłego rycerza. Już Rott się zamierza toporem, ale on nie chce splamić się zbrodnią; siekiera mu z rąk wypada, dłoń się przebacząco ku rycerzowi wyciąga, który ją wzruszony przyjmuje... Ze zwłokami synka na wozie Rottowie odjeżdżają... we dwoje...: stary ojciec w ostatniej chwili zachwiał się, nie ma odwagi opuścić ziemi ojców, „wyprzysięga“ się „Biblii niemieckiej.“

Dramat Schönherra, mimo że naszemu katolickiemu uczuciu nie może być miłym, zrozumiałym będzie dla nas łatwiej od wielu innych niemieckich utworów. Korzeniami sięga on bowiem istotnie dramatycznego gruntu, nie obcego i nam: chłop przywiązany równie silnie do ziemi ojców, jak i do wiary ojców; gdy pomiędzy temi dwoma uczuciami wyniknie walka, będzie tragiczną, zakończy się niewiadomo której idei zwycięstwem, ale napewno

złamaniem człowieka. Że tutaj tą wiarą jest protestantyzm, to rzecz znaczenia już drugorzędnego, bo przypadkowa; znamy, zna zwłaszcza chłop polski wypadki, kiedy tą wiarą, mieczem tępioną, był katolicyzm... Chociaż zatem autor niewątpliwie pisał dramat antykatolicki, w zasadzie głosi on wogóle tolerancję religijną, więc ideę wzniosłą. Jako dramat, rzecz jest silnie, ale od razu z takim rozmachem w pierwszej odsłonie postawiona, że dalsze wydadzą się powtórzeniem obrazów pierwszej, bez stopniowania tragizmu. Jest w tem niezaprzeczenie pewna jednorodność, którą odczuwał autor i chciał jej zapobiedz, najprzód wprowadzając parę bezdomnych, wesółych włóczęgów, nie wiążącą się jednak z całością, powtóre kończąc niespodziewanie wstrząsającą tragedję pogodniejszym akordem. Scena pojednania się Rotta z rycerzem ma zapewne symboliczne znaczenie: ofiara fanatyzmu religijnego przebacza... ale komu i co? Wykonawcy rozkazów cesarskich, czy samej ich treści, nietolerancyi? W pierwszym wypadku właśnie katolik nie przyłączy się do przebaczenia: bo rycerz mógł, jako narzędzie wyższej woli, wykonywać ją bez okrucieństw, do których go nie jego mandat, ale jego własna dzikość popychała. Jeśli zaś to ma być pojednaniem się z samą kontrreformacją, to trzeba było na nie przygotować grunt w poprzednim biegu dramatu, trzeba było także pogłębić psychologię rycerza, bo dziki żołdak przez niemal trzy akty, a przy samym końcu wzruszony człowiek, to jakoś nie bardzo się z sobą łączy.

Mimo tych zarzutów „Wiara i ojczyzna“ jest dziełem prawdziwego talentu, w danej chwili nadto najrozgłośniejszym dramatem niemieckim. O ile bowiem „Młody Medard“ Schnitzlera był przedewszystkiem teatralną, a więc krótkotrwałą sensacją, o tyle tragedia Schönherra, już dzięki swej tendencyi, wywołała wrażenie i silniejsze i szerzej w niemieckie społeczeństwo sięgające, prócz tego zaś, wskutek ubocznych okoliczności, nie przestaje dotąd zwracać na siebie uwagę. Ze nagrodzono ją t. zw. „nagrodą Grillparzera“, to jej jeszcze popularności nie zapewniło. Tę zawdzięcza dopiero swoim przeciwnikom. Nieroztropnie wystąpili oni przeciw autorowi z zarzutem plagiatu, a więc z oskarżeniem, które miażdży oskarżonego, gdy mu się je udowodni, a gotuje mu tryumf, gdy się udowodnić nie da. Oto w pewnych drugorzędnych organach niemieckiej prasy katolickiej zarzucono Schönherrowi kradzież literacką, popełnioną na utworach powieściowych pani E. von Handel-Mazzetti, piszącej także o czasach kontrreformacyi, ale z katolickiego stanowiska. Oskarżenie udowodnić się nie dało, Schönherr zyskał tylko jeszcze większy roz-

głos, a dla nas cała sprawa ma tylko znaczenie dowodu, jak w Niemczech ciągle jeszcze, nawet w sferze czysto artystycznej, istnieją i na jaw występują różnice wyznaniowe.

Schnitzler i Schönher, obaj byli już wybitnymi autorami, zanim ogłosili ostatnie swe dzieła. I wogóle w całym naszym dotychczasowym sprawozdaniu o najnowszym ruchu literackim niemieckim była ciągle mowa tylko o talentach w ojczyźnie już uznanych, na obczyźnie także mniej lub więcej znanych. A przecież, gdy około r. 1890 zawrzało tam w literaturze, wyczekiwano zbawienia nie od tych, którzy ówczesny ruch wywołali, ale od jakiegoś nieznanego, przyjsć dopiero mającego geniusza. Gdzie on jest? Wielu sądziło, że nim będzie Stefan George. Pomijając już stwierdzony dotychczasowymi dziejami piśmiennictwa niemieckiego fakt, że w tym narodzie nigdy mesyaszem poezji nie może być czysty liryk (oni nawet Goethego poezji lirycznych nie odczuwają, a Heine w mniejszej u nich cenie niż np. we Francji), to George swą cieplarniano-gobelinową liryką nigdy nie miał zdolności wzruszania szerszych kół nawet w obrębie owych „wyższych dziesięciu tysięcy.“ Niektórzy skłonni byli znowu do złożenia korony na głowę Herberta Eulenberg, o którego geniuszu dramatycznym opowiadano cuda, zanim poeta wydanem przez siebie dziełami nie składał raz po raz dowodu, że co najwyżej może kompetować o sławę dziwaczności. Stosunkowo jeszcze najlepiej udało się prorocstwo Hermanna Bahra, który przed laty kilkunastu, wskazawszy na nieznanego nikomu młodego wiedeńczyka, powitał go entuzjastycznym okrzykiem: *ecce poeta!* A był nim Hugo von Hofmannsthal. Trochę Maeterlinck a trochę d'Annunzio, trochę Verlaine a trochę Oskar Wilde—to się od razu spostrzegało; w miarę rozwoju jego twórczości, trzeba było do tej charakterystyki dodawać coraz to nowe „trochę“: i Sofokles i Marlowe, Casanova i Cagliostro — tak, że ostatecznie samego Hofmannsthal w Hofmannsthalu było coraz mniej. Stał się nie naczyniem wybranem, ale naczyniem z wyborem całej poezji, ba, całej kultury od najstarszej do najnowszej, typowym epigonem minionych kultur. Ostatnio, po historycznych parafrazach starego antyku w mycie o królu Edypie, po udatnej, ale drobnej komedii „Powrót Krystyny do domu,“ sprzymierzył się z Ryszardem Straussem i razem z nim dał nie dramatowi, ale operze tego „Kawalera z różą,“ który jest największą dzisiejszego dnia sensacją muzyczną, ale w literackim sprawozdaniu mógłby być omawiany tylko jako libretto.

Więc i nie na Hofmannsthalu polega przyszłość niemieckiej literatury pięknej. Zatem na kim? Może na jednym z tych, którzy dzisiaj albo są wcale nieznani, albo w drugim stoją szeregu. A może też tym oczekiwanym jest... Edward Stucken, autor cyklu dramatycznego „Der Gral“? Oczywiście w wyborze tematu idzie on śladem Ryszarda Wagnera, chociaż średniowieczne legendy przetwarza zupełnie indywidualnie. I u niego, jak w wagnerowskim „Parsifalu,“ mistyczny św. Gral ukazuje się w dali, a osoby wzięte są z grona rycerzów i dam, grupujących się około króla Artusa i Amfortasa. Zasadniczą myślą cyklu jest jednak, jak niejednokrotnie u Wyspiańskiego, tęsknota za krainą Śmierci, zwaną tu Avelun, a opisywaną przez poetę z całym przepychem języka poetyckiego. Pierwszego ogniwa tego cyklu bohaterem jest Gawān (on daje też dramatowi nazwę), synowiec króla Artusa. W błogosławioną noc Bożego Narodzenia na dwór „Okrągłego Stołu“ w Camelot przybywa tajemniczy Zielony Rycerz i wyzywa śmiazków na bój: daje siekiere, kto ją podejmie, niech mu nią głowę zetnie, ale gdy tego dokona, przysiądz musi, że za rok stawi się w nieznanym sobie zamku przybysza i własną głowę pod ten sam topór położy. Z rycerzy Artusa nikt nie ma odwagi przyjąć wyzwania, więc król sam z tronu zstępuje, by nie padła hańba na „Okrągły Stół.“ Wtedy zgłasza się młody Gawān i, składając żądane przyrzeczenie, Zielonemu Rycerzowi głowę siekierą odcina. „Nastaje niczem nieprzerywana cisza, długa pauza. Nagle podnosi się oblany krwią, pozbawiony głowy kadłub Zielonego Rycerza, schodzi po stopniach na dół, przystępuje do własnej głowy, chwyta ją za włosy na karku i podnosi wysoko, jak Perseusz głowę Meduzy. Poczem idzie ku swemu rumakowi, stojącemu przy bramie, wkłada nogi w strzemiona i siada na siodle. A siedząc na koniu, trzyma w rękach głowę ku obecnym, jakby chciał, aby na ten widok skamienieli. I nagle odcięta głowa poczyna mówić,“ przypominając Gawānowi jeszcze raz jego ślub. Tym dziwacznym barokowym efektem — zbliżonym zresztą do spacerującego z własną głową pod ramieniem samobójcy w Wedekinda „Przebudzeniu się wiosny“—kończy się pierwszy akt. Gawāna widzimy dopiero w rok potem: jeszcze ma dwa dni przed sobą, by dojść do nieznanego sobie Zielonej Kaplicy i z przyrzeczenia się wywiązać. W zimową zawieruchę wstępuje do zamku rycerza Berulaka de Hautdesert, który swą gościnność tak dalece posuwa, że bardzo chętnie patrzy na zaloty szatańsko-pięknej młodzietkiej żony, Maryi. Gawān zostaje w zamku na noc, ale pokusie nie ulega, od zalotnicy bierze tylko pocałunek

i pasek, czyniący posiadacza niepokonanym. Wieczorem wyrusza w dalszą drogę; o północy, w sam czas, przybywa do Zielonej Kaplicy. Tajemniczy rycerz wstaje na jego przywitanie z trumny. Gawân wie, że śmierć niechybna go czeka, ma jedną tylko, ale wielką winę na sumieniu: złamanie rycerskiego słowa, bo Berulakowi zaręczył, że za gościnę odda mu na odjeźdźnym wszystko, co w jego zamku tej nocy dostanie, a oddał mu tylko pocałunek, pasek na żądanie Maryi zatrzymał. W przedśmiertnej chwili wzrok jego pada na posąg Madonny, która przy całej czystości ma przecież oblicze zalotnej Maryi de Hautdesert — jak Dehmel już przed Stuckenem łączył Venus z Madonną. Na kolana pada przed statuą, jej winę swą wyznawa, i oto posąg, jak w misteryum Maeterlincka o „Siostrze Beatrix,“ ożywia się, kłęczącemu przebacza, a na jej słowa, jak w średniowiecznych legendach, śmierć, uosobiona w Zielonym Rycerzu, musi ustąpić i Gawân pije wieczne życie z misy świętego Grała.

Ta pierwsza część trylogii, nazwana „misteryum,“ ma pewną dostojną powagę i uroczystą wzniosłość, obok wielu dziwaczności i zbyt częstych analogii literackich. Dramatem we właściwym znaczeniu są jednak dopiero dwie dalsze części cyklu. W obu pozostaje na drugim planie to, co się zwykle uważać za kardynalną cechę rycerzy św. Grała: służba Boża i służba lennicza, natomiast z trójliścia rycerskich obowiązków niemal wyłącznie jeden tylko problem, służba dla dam stanowi ośrodek akcji, występując pod rozmaitemi pozytywnymi i negatywnymi postaciami: jako wierność dla kochanki i jako wiarołomstwo, jako miłość czysta i jako zdrożna. W „Lanvâl,“ drugiej części trylogii, bohater zaślubił potajemnie Finngulę, czarownicę rusałkę z grona „łabędzich dziewczic.“ To jedna z cór królewskich, przez złą macochę w jeziorze utopiona, w łabędzia przemieniona, nawpół śpiąca, nawpół żywa, pół dyablica, pół czysta dziewica. Gorąca i wierna miłość ją zbawi. Tę zrazu daje jej Lanvâl i żyją szczęśliwi, chociaż wciąż nad nimi wisi groźba nieszczęścia, bo, jak Amor swej kochance Psyche, jak Lohengrin Elzie, tak Finngula mężowi przykazuje, by nigdy nie pytał o jej pochodzenie, nigdy przed ludźmi się nią nie chlubił. Lecz Lanvâl, wplątany w rycerską przygodę, zmuszony jest zaślubić Lionors, siostrzenicę króla Artusa. Wzbrania się, głosi, że jest już żonaty z inną, wzywa ją, by się ukazała przed dworem i prawdzie zaświadczyła. Finngula się nie zjawia. Lanvâl ma do wyboru: albo jako kłamca być pozbawionym czci, albo zaślubić Lionors, która go kocha i wszystko mu wybacza. Wybiera to drugie. Na uczcie weselnej zjawia się

wreszcie, teraz już nie wołana, Finngula, lecz jako widmo, jako Czarny Rycerz. Lanval, podniecony świadomością winy, mieczem zabija kochankę, sam za chwilę pada z ręki mściwego brata Lionorsy: oboje kochankowie spotkają się w tajemniczym jeziorze Avelun. Mniej tragicznie kończy się erotyczny konflikt „Lancelota,” ostatniego ogniwa cyklu o Gralu. I tutaj jest tak częsty w niemieckiej literaturze dramatycznej, przez Goethego w „Götzu“ i w „Clavigo“ wprowadzony, problem rozdziału jednego serca męskiego na dwa kobiece. Lancelot de Lac uległ niegdyś, lat temu już dziesięć, Ginoverze, wiarołomnej żonie króla Artusa. Chce się zwolnić z pęt grzesznej miłości, a dopomóż ma w tem uroczą córka Amfortasa, Elaine, co jej się zapewne tem łatwiej uda, że nad rywalką góruje wdziękiem i świeżością młodości. Ale dawna miłość trzyma rycerza na uwięzi, chociaż Elaine z zaparciem swej godności goni za nim, jak w dramacie Kleista Kasia z Heilbronn za rycerzem Wetter vom Strahl. Lancelot ucieka przed nią, wypiera się jej, mimo że ona nosi jego dziecko w łonie. Elaine w rozpaczę topi się w jeziorze, jej zwłoki przywozi ponury okręt do Camelot, a w rękach trupa, jak w rękach eurypidesowskiej Fedry, tkwi kartka z ostatnimi słowami miłości. Lancelot złamany nie zabija się, ale jak Tannhäuser, za grzechy zdrożnej miłości wyrusza w pobożną pokutniczą pielgrzymkę. Król Artus, odgrywający tutaj niezbyt zaszczytną rolę zdradzonego męża, godzi się z żoną.

Takim jest cały cykl Stuckena. Dzieło to prawdziwego talentu, chociaż te wielkie legendarne postacie, sprowadzone na deski sceniczne, wydadzą się mniejszemi. Bezpośredniego tętna życia niewiele się tu odczuje, zwłaszcza w niezbyt bogatej szacie, przeładowanej metaforami i porównaniami, w sytuacjach co chwila odczytanemu widzowi teatralnemu już skądinąd znanymi. I w tem tkwi największe niebezpieczeństwo dla Stuckena, w tym nadmiarze „literatury“ w przeciwieństwie do pierwotnej dramatyczności. W każdym razie z talentów nowych, w piśmiennictwo niemieckie dopiero wchodzących, ciekawszego nad Stuckena — w tej chwili tam niema.

*

*

*

Skończyliśmy ten pierwszy przegląd najnowszego niemieckiego piśmiennictwa w zakresie literatury pięknej. Wracamy do założenia: nie wiele z tych dzieł, o których tutaj była mowa, przejdzie kiedykolwiek w krew niemieckiego społeczeństwa. Ich myśli i ich kształt estetyczny odzwierciedlają tylko najwyższe aspiracje literackie tego narodu. Codzienną jego strawą są inne dramaty, inne powieści. Może znajdzie się na ich sumaryczne omówienie miejsce w najbliższym sprawozdaniu, chociaż tam trzeba będzie polskim czytelnikom przedewszystkiem przedstawić to, co z braku miejsca na razie zupełnie zostało pominięte: z jednej strony lirykę, z drugiej ruch w dziedzinie krytyki i estetyki oraz filozofii.

D-R JÓZEF FLACH.

Poezya i przyroda w Japonii.

Dusza japońska w całej swej okazałości objawia się w białych kwiatach, pachnącej wiśni oraz w wesołych promieniach porannego słońca! — woła w zachwycie popularny narodowy poeta japoński Motoori, mając na myśli dwie doroczne uroczystości w Japonii: święto słońca i wiśni. I entuzyastyczny okrzyk poety nie jest przesadą, gdyż wtedy żywiołowość poetycka Japończyków, stapiając się z pięknem rozbudzonej do życia natury, dochodzi do zenitu. Wszyscy są natchnieni, wszyscy deklamują i tworzą wiersze tam, gdzie poetyckość w narodzie rozwinięta jest, jak w żadnym innym, gdzie riksza i minister, przekupka i arystokratka potrafią odrazu, bez przygotowania powiedzieć coś wierszem i zapomnieć w tej chwili to, co było powiedziane. Wieczysta poezya Japonii wszystkich swoich synów przekształca w poetów, szczerych wielbicieli piękna, dźwięków, woni i barw, szukających ekstazy twórczej dla chwili, dla nastroju, dla siebie, dla innych. Ich wiersze—to żywiołowy, nieokreślony pęd i pragnienie zlania się z pięknem otaczającej natury, tajemna z nią rozmowa ludzkiej jednostki, co ukochała jej czar w najnieuchwytniejszych objawach jej uroku i młodości.

Nigdzie, u żadnego narodu przyroda tak nie zlała się i nie zespoliła z poezyą, jak u Japończyków, którzy wpatrując się w cudowne jej obrazy, całą potęgą swej duszy rwą się do nieśmiertelnego jej piękna i z niego, jako z wieczystego źródła, czerpią natchnienie i melodye. A niezwykle malowniczy kraj Wschodzącego Słońca, jak żaden inny, dopomaga i popycha ku temu.

Japonia, składająca się z długiego szeregu łańcuchowo ułożonych wysp i wysepek, odznacza się nad wyraz różnorodną w swoich formach i barwach pięknnością. Góry japońskie poprze-

cinane są najrodniejszymi na kuli ziemskiej dolinami, po których wśród przepysznej zieloności, jak srebrzyste żmije, ślizgają się rzeki, to, jak białe skaczące po głazach potwory, spadając z wyżyn, to znowu rozlewając się w błękitnowode, ciche jeziora. Kontury gór w Japonii są zadziwiająco miękkie i łagodne; niema prawie jaskrawych zazębień, gołych skał i zwałów; na falujących spadach, udekorowanych soczystą zielonością bambusowych gajów, rozciągają się olbrzymie pola jęczmienne, zlewając się u podnóża z szarym oceanem ryżowych dolin. Mnóstwo wulkanów podnosi wznwyż swe stożkowate wierzchołki; niektóre dymią jeszcze, od czasu do czasu ze świstem i hukiem wyrzucając z żerła słupy popiołu i rozpienionej lawy.

Cały kraj czyni wrażenie jakiegoś niezwykle wspaniałego rajskiego sadu. Na każdym kroku śmigły wyprostowany bambus. W lasach klony, brzozy, kasztany, orzechy i dęby. Zwłaszcza na Nipponie wszystko to najpyszniejsze i do tego zielone przez cały rok. Na jasnym, wiecznie zielonym tle drzew kamforowych jaskrawo odbijają giganty-kryptomerye i olbrzymie kamelie, dosięgające kilkunastu metrów wysokości. Ażurowe gaje bambusów wydają się pełnymi ruchu istotami żyjącymi, cieniutkie ich bowiem i ostre listeczki drżą przy najśłabszym podmuchu. Liany i bluszcze okręcają pnie drzew. Olbrzymie paprocie, jak obręczami ramion, obejmują stuletnie dęby. Wśród gęstwy kaktusów, nieskończonego szeregu okwieconych kosodrzewin i różnobarwnych azalii piętrzą się szerokoliste rododendrony.

Obfitość i przepych kwiatów zdumiewają. „Dziatwa ziemi,“ jak je nazywają Japończycy, przez cały rok śle zawrotną woń i niezwykłą, bajeczną grę kolorów. Róże, astry, lilie, glicynie, eglantyny, a zwłaszcza chryzantemy, oszołomiają Europejczyka nadzwyczajnymi swymi gatunkami, kształtami i odcieniami. Całe malowidła o nieprzebranych rodzajach układu i kompozycji pieszczą wzrok, uwydatniając się na powierzchni olbrzymich klombów i gazonów, którym co do piękna i pomysłowości niemasz równych w żadnym kraju świata.

Bardziej na południe od Nipponu przyroda staje się zupełnie tropikalną: banany, dęby korkowe, palmy wachlarzowe, trzcina cukrowa, drzewa manganowe i sandałowe, kaki, eukaliptusy i t. p. rodzaje zapełniają w jeszcze wspanialszych zestawieniach powierzchnię. Jednym słowem, cała Japonia—to bajkowy wprost, niewypowiedzianie piękny i na każdym kroku pochłaniający oczy krajobraz.

Nic więc dziwnego, iż wśród tak bogatej i malowniczej natury w Japonii już w zamierzchłej przeszłości rozwinęła się poe-

zya, a naród japoński stał się bardziej poetyckim od wszelkich innych. Piękno otaczającej przyrody pobudziło go w tym kierunku, stała się ona źródłem jego natchnień i ekstazy, ona, ta wieczyście młoda i urocza kochanka, z którą Japończyk nie łączy się nigdy i wszędzie pragnie ją mieć i podziwiać. Jak wierny kochanek, nie rozstający się nigdy z wizerunkiem ukochanej, naród japoński stworzył sobie nawet specjalne, nad wyraz misterne miniatury swej przyrody, by mózdz, gdziekolwiek zechce, poić swe oczy jej czarem i pięknnością.

Któż nie słyszał o lilipucich żywych krajobrazach japońskich, gdzie na przestrzeni kilku kwadratowych metrów są i góry, i doliny, i las, i wodospad, i potok górski, i pieczary, i jezioro, a wszystko to, choć naturalnie w mikroskopijnej niemal postaci, żyje wistocie i rozwija się nawet? Cedry-karły dają owoce, a wiśniowe drzewa wielkości kłosa zakwitają różowo 15 kwietnia, w jeziorze zaś, przypominającym puchar piennego wina, igrają swawolne złote rybki. Te lilipucie parki japońskie, jako rezultat wiekowej stopniowej kultury, są bardzo wymownym dowodem uwielbienia przyrody, którą Japończyk potrafił nawet zakląć w misterne, nadzwyczaj cenione cacko, bez którego niemasz prawie w Japonii jako tako zamożnego domu.

Miniaturowość, która uwydatnia się w tym arcykunsztwie ogrodniczym, objawia się prócz tego i w tej dziedzinie zbiorowego życia Japonii, która najbezpośredniej łączy się i zlewa z przyrodą, mianowicie w poezji. Japończyk lubuje się w miniaturach, to też nic dziwnego, że otaczając się mikroprzyrodą, stworzył też mikropoezyę, którą wznosił na szczyty twórczości narodowej. Najbardziej kunsztowną i najdawniej uprawianą formą japońskiej poezji jest tak zwana „uta,“ o której już Tsurajuki, wielki poeta VIII wieku, mówi, że „jeżeli poezya narodziła się wraz z człowiekiem, to uta japońska wraz z Japończykiem.“ Otóż ten zasadniczy utwór poezji japońskiej jest również miniaturą poetycką, składając się zaledwie z 31 albo z 17 sylab, wypełniając zaś lwią część twórczości japońskiej wogóle, przekształca ją w mikropoezyę. A jednak uty japońskie, pomimo całej swej miniaturowości, są prawdziwymi mikropoematami, które przy bardzo prostych środkach i nieskombinowanej technice tworzenia potrafią zadziwiająco silnie oddać nastrój, jego głębię i prawdę. I jeżeli lilipucie parki japońskie zachwycają swoim przepychem i bogactwem, to uty japońskie—swoją jędrnością i pakownością, polegającą na umiejętnem pochyceniu i podkreśleniu takiego zasadniczego rysu, który daje zupełnie wystarczające pojęcie o całości. Ta nie-

zwykła i cenna umiejętność wypowiedziania wiele, choć niedużo, została doprowadzona w utach japońskich poetów do zadziwiającego wprost arcykunsztu. Technicznie osiągnana jest ta zwartość za pomocą powtarzania odpowiadającego celowi zasadniczego motywu, co dla japońskiej uty każe szukać odpowiednika w europejskim tryolecie, i zewnętrznie i wewnętrznie najbardziej jej odpowiadającym.

Rozpatrzmy więc szereg ut japońskich, wysuwając na pierwszy plan takie, które domagają się tego swoją liczebnością, a mianowicie uty, opisujące przyrodę, oraz wszelkie, najbardziej nikłe nawet zjawy, w swej sumie dopiero składające się na jej nieskończony przepych i piękno.

Jesienny deszcz wciąż pada, pada, chmurno... dzień smutny taki, po polach ślizga się mgła blada, jesienny deszcz wciąż pada, pada...]	Posępnie chyli się gromada zawilgłych, starych „maki”— jesienny deszcz wciąż pada, pada, chmurno... dzień smutny taki.
--	---

Oto typowa uta japońska, odtwarzająca z niezwykłą prawdą i nastrojem jesień. Przenieśmy każdy jej szczegół za pomocą pędzelka i tuszu na jedwab, a otrzymamy typowe również „kake-mono,” wyobrażające dziwnie prosty i silny krajobraz jesienny, gdzie obowiązkowe posępnie chylące się „maki,” t. j. sosny japońskie, wysunięte, jako zasadniczy motyw, i w ucie i na jedwabiu, stanowią artystyczne ześrodkowanie prawdy i nastroju.

Wogóle w każdej ucie japońskiej stanowi o jej wartości artystycznie podpatrzonej szczegół, który gra taką samą rolę, jak na pastelowym rysunku zasadnicza, koncentrująca wrażenie plama. Oto, na przykład, górski krajobraz jesienny, odmalowany przez jedną z wielu ut:

Cisza... Opada mgła na góry, słychać przeciągły bek jeleni, słońce przyćmiły ciężkie chmury, cisza... opada mgła na góry.	Ach, jak żaloszny i ponury krajobraz górski na jesieni! Cisza... Opada mgła na góry, słychać przeciągły bek jeleni.
--	--

Albo wiejski krajobraz jesienny, ujęty również za pomocą uty, w której posępny nastrój jesieni nie mniej realistycznie odтворzony jest pod nowym, odpowiadającym celowi, kątem widzenia:

Już wieczorowe gasną zorze, ryżowa szumi niwa, noc porzuciłaienne łoże, już wieczorowe gasną zorze...	Jesienny wicher strzechę porze i słomę z niej wryywa— już wieczorowe gasną zorze, ryżowa szumi niwa.
--	---

Albo jeszcze jedna jesienna uta, uważana za swego rodzaju arcyperłę przez Japończyków, gdyż mowa w niej o tak zwanych „misogi,“ najcharakterystyczniejszym szczególnie późnej jesieni. Są to nakazane przez kanon tradycyjne kąpiele bonzów, które trwają przez całą jesień, ustając dopiero wtedy, gdy ostre chłody prawie w łód ścinają rzeki i stawy. Ten właśnie arcyjesienny japoński szczegół znacznie podnosi poniżej przytoczoną utę:

Dęby głucho szumią rano,
w polu dmie wicher srogi,
kwiaty z klombów pościnano,
dęby głucho szumią rano...

Za dni kilka już ustaną
i bonzów „misogi“—
dęby głucho szumią rano,
w polu dmie wicher srogi.

Oprócz ut, odtwarzających jesień, jako całość, znajdujemy również nieskończenie bogaty dział przeróżnych szkiców i fragmentów jesiennych. I tego rodzaju uty przede wszystkim zwracają uwagę swoim malarskim, plastycznym ujęciem, jak na przykład:

Biedny domek opuszczony,
co wśród chmielu się zieleni!
głucho kraczą nad nim wrony:
biedny domek opuszczony!

Jak pokutnik pochylony,
będzie stał tak na jesieni—
biedny domek opuszczony,
co wśród chmielu się zieleni!

Albo uta jesienna o Tacutagawie, najpiękniejszej i najwięcej opiewanej przez poetów rzece japońskiej. Plastyka tej miniatury nie pozostawia nic do życzenia:

Tacutagawa tylko łśni, jak pas srebrzony,
choć z klonów nadbrzeżnych opada listowie,
pochyliły się w smutku nagie drzew korony,
Tacutagawa tylko łśni, jak pas srebrzony...
Łśniła pono już wtedy, w on czas oddalony,
gdy po ziemi miast ludzi chodzili bogowie—
więc i dziś ona tylko łśni, jak pas srebrzony,
choć z klonów nadbrzeżnych opada listowie.

Rozpatrzmy z kolei „zimonio“ uty, w których obok posępnej martwoty zimy przebiega też czarująca i nad wyraz żywa gra barw i światła, jaką daje słońce lub księżyc w zestawieniu ze srebrno-białym śniegiem. Znowu więc, jak zresztą we wszystkich utworach, plastyka i malarskość stanowi kość pacierzową prawdy i nastroju. Na przykład:

Ach, jakże iskrzy się ten śnieg, co w nocy padał nad Joszino, świt porankowy na nim legł, ach, jakże iskrzy się ten śnieg!..	Nawet i księżyc wstrzymał bieg i blednąc zawisł nad doliną— ach, jakże iskrzy się ten śnieg, co w nocy padał nad Joszino!
---	--

Albo szkic zimowy, opiewający nieśmiertelną w japońskiej sztuce górę Fudży:

Patrę, a Fudży w bieli cała, śnieg srebrny padł na pierś jej naga, zima w kimono ją ubrała, patrę, a Fudży w bieli cała.	Szybko przemiana ta się stała, bo nim wróciłem z brzegów Tago— patrę, a Fudży w bieli cała, śnieg srebrny padł na pierś jej naga..
---	---

W innej znowu ucie poeta daje tęsknotą za chryzantemami wypełniony nastrój zimowy, bardzo zręcznie kojarząc odpowiadające celowi zjawy natury:

Mróz na szyby rzucił kwiaty... Co to? znowu chryzantemy? lśni, jak srebro, pęk bogaty— mróz na szyby rzucił kwiaty.	Ha, skłamały śnieżne płyty, martwy każdy z nich i niemy— mróz na szyby rzucił kwiaty, ale nie, nie chryzantemy...
--	--

Albo oto wiejski nastrój-krajobraz zimowy, przez swą prostotę i szczerłość nie pozbawiony artystycznego wdzięku:

Gdy do gór się zima skrada, ciężko na wsi trwać samotnie, pełznąć snuje się mgła biała, gdy do gór się zima skrada...	Liść ostatni z drzew opada, wicher go, jak nożem, potnie— gdy do gór się zima skrada, ciężko na wsi trwać samotnie!
--	--

Najwięcej jednak ut, opiewających przyrodę, odnosi się do wiosny. I nic dziwnego, skoro w poezji każdego narodu ten najcudniejszy okres roku najbardziej zachwyca i poi czarem swym poetów. Cóż dopiero mówić o Japończykach, którzy, zda się, całkowicie zlewają się z naturą, a przynajmniej, jak żaden inny naród, odczuwają jej piękno i życie? Pieśni wiosenne należą do najstarszych zabytków poezji japońskiej i powstają wtedy, kiedy tworzy je nie jednostka, ale cały naród. Przytoczymy jeden z takich bardzo starożytnych przyspiewów ludowych japońskich, który stał się z biegiem czasu prawozorem bogatej poezji wiosennej:

Z cudownym łukiem w białej dłoni idzie już wiosna uśmiechnięta i rwie lodowych kajdan pęta i śnieżny puch zdmuchuje z błoni...	Ziemia, co rudy szczerozłote kryje w tajnikach szarych wnętrzy, znów łono swoje górnice piętrzy tam, kędy słońce śle pieszczołę.
---	---

Wesoło gwizdzą w leśnej głuszy ptaki—wiosennych dni minstrele, i słowik sypie już swe trele pośród zakwitłej białej gruszy.	O, jak rozkosznie oddychamy! Znikają bóle, łzy i znoje, wiosna rozwiera swe podwoje i upojnego szczęścia bramy.
--	--

A po jeziora srebrnej toni do pogrążonych w śnie wybrzeży gwarliwa fala tęsknie bieży i pieśń nowego życia dzwoni...	I wszyscy śmieją się radośnie, pełni nadziei i tęsknoty, bo na cierpienia i zgryzoty lek czarodziejski znajdują w wiosnie.
---	---

Dokoła tego starożytnego przyśpiewu ludowego, jak bluszcz, oplotły się później różne uty wiosenne:

Już przyszła wiosna uśmiechnięta, świat cały w kwiatkach tonie, radosne gody w krąg i święta, już przyszła wiosna uśmiechnięta...	Pierś, nowem życiem przeniknięta znów aromaty chłonie— już przyszła wiosna uśmiechnięta, świat cały w kwiatkach tonie.
--	---

Wśród całej powodzi ut wiosennych niemało miejsca zajmują tak zwane uty „wiśniowe,” gdzie mowa o charakterystycznej dla japońskiej wiosny wiśni, bez której nie masz dla Japończyka najpiękniejszej pory roku:

Wiśnie osypał już kwiat biały, upojna wonność bije z gór, znowu wiosenne dni nastały, wiśnie osypał już kwiat biały...	Oby się wichry nie zerwały i nie przywlekły kłębnych chmur! wiśnie osypał już kwiat biały, upojna wonność bije z gór...
---	--

Albo:

Spójrz!... Już zakwitły wiśnie z Nary w nowej stolicy Kioto, od woni zaniósł się park stary, spójrz!... już zakwitły wiśnie z Nary...	Mikado ceni ludu dary, więc przyjął je z ochotą— spójrz!... już zakwitły wiśnie z Nary w nowej stolicy Kioto.
--	--

Najpopularniejsza to uta wiosenna w Japonii, śpiewana podczas święta wiśni dnia 15 kwietnia. Mowa w niej o najpiękniejszych drzewach wiśniowych, które onego czasu z Nary zostały przeniesione do nowej stolicy Kioto, jako dar ludowy dla mikada. Z punktu widzenia japońskiej krytyki uta powyższa należy do arcyperłek japońskiej poezji wogóle.

Oprócz ut „wiśniowych” częściej od innych napotyknemy uty „chryzantemowe.” Przytoczymy jedną z nich, najbardziej artystyczną i pełną wyrazu:

Chryzantemy, chryzantemy, czy to ziemia, czy to raj?	Tu, przy klombie, usiądziemy, słońce, wiosna, przepych, maj—
Chodź, do gaju dziś pójdziemy— chryzantemy, chryzantemy!	chryzantemy, chryzantemy, czy to ziemia, czy to raj?

Za nieskończonym szeregiem ut wiosennych następują z kolei wdzięczne uty, opiewające lato. Jednak napotykamy je w porównaniu z innymi daleko rzadziej, jak gdyby upalna letnia kani-kuła w Japonii i jej synów pogrążała w kwietyzm, wyłączający nawet ekstazę poetycką. Oto, dla przykładu, jedna z ut „letnich“:

Oślepiąco lśni słońce, mieniać się w górskim rozłogu, lato upalne, gorące, oślepiąco lśni słońce.	Miękną już śniegi tające, zbladł srebrny szczyt Amon-kogu— oślepiąco lśni słońce, mieniać się w górskim rozłogu.
--	---

Niektóre jednak krajobrazy i fragmenty lata, zawarte w utach, należą do arcyudatnych, jak gdyby napraszając się, by za pomocą tuszu i pędzelka przenieść je na jedwab i stworzyć z uty pełne nastroju „kakemono.“ Malarskość i plastyka w niektórych z tego rodzaju utworów tak jest skondensowana i wysilona w słowie, iż uwierzyć trudno, że miniatura, jaką jest japońska uta, może tyle zmieścić i zharmonizować w sobie. Oto jeden z takich krajobrazów letnich:

Nad brzegiem Udzi blaknie mrok, już ranne słońce świeci, w omglonej dali ginie wzrok, nad brzegiem Udzi blaknie mrok...	Widzę rybacką żerdź co krok, suszą się wkoło sieci— nad brzegiem Udzi blaknie mrok, już ranne słońce świeci.
--	---

Albo:

Dokoła wszystko w sen zapada, straż staje u wrót Sumy, na polach snuje się mgła biała, dokoła wszystko w sen zapada...	Mkną do Awadzi czajek stada, i budzą mnie z zadumy— dokoła wszystko w sen zapada, straż staje u wrót Sumy.
---	---

Do charakterystycznych w japońskiej poezji ut „letnich“ należą tak zwane uty „żabie“, które grają tę samą rolę, co w poezji wiosennej uty „wiśniowe“ i „chryzantemowe.“ Oto jedna z takich ut „żabich“:

Kwa, kwa, kwa! gra żabi chór, skacząc w ton jeziora, szary zmierzch już pełźnie z gór, kwa, kwa, kwa! gra żabi chór,	Niebo jasne, niema chmur, upał trwa od wczora— kwa, kwa, kwa! gra żabi chór, skacząc w ton jeziora.
---	--

Poezja pór roku stanowi najbogatszy dział poezji japońskiej wogóle, pomnażany z roku na rok przez nowe, coraz bardziej wyrafinowane miniatury twórcze, wypieszczone przez długie szeregi wieków. Miłość dla natury po brzegi wypełnia zbiorową duszę japońską, i niemasz takiej zjawy w przyrodzie, którejby nie zamknęła w sobie wdzięczna kochanka-uta. Wszystko, dosłownie wszystko staje się treścią ut, nie mówiąc już o krajobrazach, których dla całości charakterystyki przytoczymy jeszcze kilka, wybierając najczęściej powtarzające się i najbardziej ulubione przez Japończyków:

Łódź mknie po srebrnej fali,
wiosłami bijąc morze,
wciąż płynie dalej, dalej,
mknąc po srebrzystej fali...

Horyzont lśni w oddali,
kształt dyni ma przestworze—
łódź mknie po srebrnej fali,
wiosłami bijąc morze.

Porównanie horyzontu do dyni jest specyficznie japońskie i uważane za nad wyraz udatne, a przez to często powtarzane przez poetów. Uta powyższa zawiera jeden z najpopularniejszych krajobrazów morskich. Do popularnych również i często napotykanym należą także krajobrazy księżycowe:

Spójrz, jak znów księżyc lśni jaskrawo,
patrząc przez chmur przeguby,
stało się to za wichru sprawą,
spójrz, jak znów księżyc lśni jaskrawo...
Wionął na lewo i na prawo
i przedał welon gruby—
spójrz, jak znów księżyc lśni jaskrawo,
patrząc przez chmur przeguby.

Albo:

Czemu nie śpieszy księżyc złoty
i nie uśmiecha się do gór?
Zmierzch kłębi nocnej mgły rozploty,
czemu nie śpieszy księżyc złoty?

A może niema dziś ochoty
i nie wypłynie z poza chmur?—
czemu nie śpieszy księżyc złoty
i nie uśmiecha się do gór?

Wszystko, cokolwiek widzi i słyszy dokoła siebie Japończyk, daje mu natchnienie i zmusza do tworzenia, ujawniającego się z niezwykłą zręcznością i gibkością.

Kukanie kukułki o świcie:

Kukała ugujzu o świcie,
gdy szary rozpełzał się mrok,
myślałem, że przyszłe me życie
wykuka, kukając o świcie...

Lecz próżno czekałem w zachwycie,
słuch wytężając i wzrok—
kukała ugujzu o świcie,
lecz zmiłkła, gdy rozpełził się mrok,

Echo, rozbrzmiewające w górach:

Ao, ao! wołam z góry,
ktoś mi wtórzy: ao, ao!
czy tajemne jakie chóry
ao, ao! krzyczą z góry?

Cisza... zaciął dźwięk ponury:
echo mi się sprzeciwiło—
ao, ao! wołam z góry,
ktoś mi wtórzy: ao, ao!

Orkan, niosący grozę i przemoc:

Łamie i kruszy drzew korony,
ach, straszny jest ten wicher-burzyciel,
świat cały, zda się, chwycił w szpony,
łamie i kruszy drzew korony.

Wśród zemsty dzikiej i szalonej
swą przemoc szerzy, jak gnębiciel—
łamie i kruszy drzew korony,
ach, straszny jest ten wicher-burzyciel.

Nawet nie mająca w sobie poezji susząca się bielizna, smagana nocą przez wicher, wprowadza poetę japońskiego w nastrój, zamknięty w następującej ucie:

Wicher wionął z gór Joszino
na bieliznę, co się suszy,
ostre świsty wkoło płyną,
wicher wionął z gór Joszino...

Słucham, jak bez echa giną
ostre dźwięki w nocnej głuszy—
wicher wionął z gór Joszino
na bieliznę, co się suszy.

Jednem słowem wszystko, cokolwiek dzieje się w naturze, stanowi dla poety japońskiego najulubieńszy temat, którym się zachwyca i na którym zatrzymuje się długo i często z głębokim umiłowaniem tych zjawisk przyrody, wśród których wyrósł i zlał się gdyby w jedno. Jesień, zima, wiosna, lato, echo górskie, śpiew ptaków, bek jeleni, jesienna purpura listowia, kukanie kukłki, kwiaty, księżyc, deszcz, wiatr, rehot żabi—oto mikroskopijna zaledwie cząstka nieskończonego szeregu z natury czerpanych motywów, które, jak mające wzrok klejnoty, lśnią w utach japońskich.

„To, co nazywamy poezją—mówi patriarchy poetów japońskich Tsurajuki (VIII wiek)—ma swe źródło w naszych sercach; człowiek dąży do wypowiedzania swych uczuć przez słowo. A w sercu ludzkim tyle różnorodnych uczuć! Każde z nich wypowiedziane i uwydatnione jest poezją... Tryl słowicy, rehot żabi—oto pierwsze poematy; wszystko, co żyje, ma swoją poezję i tworzy ją. Przez nieświadomie wypowiedzając się poezję rządzone jest niebo i ziemia, a szatani i aniołowie, niewidoczni dla naszych oczu, poczynają żyć i działać. Przez poezję mowa kochanków staje się słodsza, a serce wojownika bywa wzruszone... Niema nic śmieszniejszego, jak chcieć się nauczyć poezji. Gdy głos swój

odnajdziemy, śpiew musi stać się tak łatwym, jak dla ptaka lub dla wiatru. Szczerłość i prostota jest pierwszym i ostatnim warunkiem poezyi, a szczerła i prosta uta jest jak gdyby modlitwą w świątyni o zbliżenie nas do światła i piękna... Mamy ludzkie serca, dlatego musimy tworzyć, musimy mieć własną poezję.“

Z przytoczonego urywku widać pomiędzy innymi, że liryzm stanowi jedną z właściwości poezyi japońskiej, która, zdaniem poety japońskiego, płynie z serca i dla serca. Rzeczywiście, czy to w opisach natury, czy wydarzeń osobistych liryzm jest najwydatniejszym tłem, lecz nie liryzm osobisty, tylko ogólny, ten, co wypełnia cały naród i przyrodę, i do którego, jak do światła, dąży instynktownie każde serce ludzkie:

Nie, to nie wicher z północnych stron postrzącał liście z drzew i synął zimny śnieg i szron— nie, to nie wicher z północnych stron!	To starość idzie, a z nią zgon, co ścina w żyłach krew— nie, to nie wicher z północnych stron postrzącał liście z drzew.
--	---

Tak skarży się na swoją starość jeden z poetów japońskich, rozlewając swój liryzm osobisty w liryzmie zamierającej zimą natury. Utwór z punktu widzenia krytyki japońskiej bardzo cenny, gdyż porównanie starości do zastygającej zimą przyrody należy do najwydatniejszych i najczęściej powtarzających się w poezyi.

Powiedły kwiaty, woń straciły, pókim błąkała się po świecie, ufałam nadto w swoje siły, powiedły kwiaty, woń straciły...	Jesienne wichry mi zawyły, ponura żalność serce gniece— powiedły kwiaty, woń straciły, pókim błąkała się po świecie.
---	---

Tak skarży się na swoją niedolę, napomykając o pełnej nadużyć młodości, jedna z poetek japońskich, liryzując ogólnie na temat więdnących, pozbawionych woni kwiatów.

To, co było, już umarło, porósł w paproć pałac stary, kurcz boleści zdławił gardło, to, co było, już umarło...	Kiedym spojrział, dech zaparło, bo ożyły dawne mary— to, co było, już umarło, porósł w paproć pałac stary.
---	---

Rzewna, przedzgonna uta zdetronizowanego mikada-poety Dżuntoku, który, umierając w nędzy i zapomnieniu przed dawnym swoim pałacem, zdążył jeszcze przekazać potomności swe ostatnie, łabędzie pienie,

I tyś samotna i ja też,
wiśnio górskiego spadu,
gdzie spojrzeć, pusto wzdłuż i wszecz,
i tyś samotna i ja też...

Jedynym jesteś druhem, wiesz?
po dawnych ani śladu—
i tyś samotna i ja też,
wiśnio górskiego spadu!

Tak liryzuje na temat swego osamotnienia, skazany na wygnanie arcybonza-poeta Gioson.

W mem sercu tęskność wciąż gada,
z domu wyszedłem na pole,
jesień poczyna się blada,
w mem sercu tęskność wciąż gada...

Jak zmora cicho się skrada,
niosąc przedzgonne swe bole—
w mem sercu tęskność wciąż gada,
z domu wyszedłem na pole.

Pełna nastroju uta, w której poeta swój smęt osobisty stapia ze smętem tęsknej natury jesiennej. To samo widzimy także w następującym utworze:

Ach, czy to księżyc, czy łza cicha
rozpiera tęsknie łono,
że wciąż się skarży, łka i wzdycha,
ach, czy to księżyc, czy łza cicha?...

Serce, jak nędzny liść, usycha,
gdy ostre wichry wioną—
ach, czy to księżyc, czy łza cicha,
rozpiera tęsknie łono?

Albo:

Patrzę na księżyc złoty,
lecz w sercu chmurna jesień,
wciąż snuję nie tęsknoty,
patrząc na księżyc złoty...

Gdzież myśli wzgórne loty,
gdzie słodki szal uniesień—
patrzę na księżyc złoty,
lecz w sercu chmurna jesień.

To stapianie wszelkich osobistych uczuć i wrażeń ze zjawiskami natury, ta chęć całkowitego z nią zespolenia się w każdej chwili życia, szczególnie jaskrawo przebija się w miłosnej liryce japońskiej. Niechaj szereg wdzięcznych ut pióra różnych poetów i poetek przemawia sam za siebie!

MIKADO JOZEF:

Spójrz, o dziewczę, na Mikane,
jak się pieni, jak się kłębi,
wartko płynąc z gór Cukchane,
spójrz, o dziewczę, na Mikane!...

Tak i w serce me wezbrane
miłość sięga coraz głębiej—
spójrz, o dziewczę, na Mikane,
jak się pieni, jak się kłębi!

DAMA SAMMI:

Szu, szu! słodko wiatr szeleści,
z Arima wionął ku Ino,
kwietne trawy muska, pieści,
szu, szu! słodko wiatr szeleści...

Imię twoje wciąż mi wieści
w szumach, które ku mnie płyną—
szu, szu! słodko wiatr szeleści,
z Arima wionął ku Ino...

KIJOWARA-NO-MOTOSUKE:

Przysięgaliśmy na fale
te, co płyną od Suono,
że się kochać będziemy stale,
przysięgaliśmy na fale...

Aż w serdecznym tym zapale
od łez zmokło nam kimono,
przysięgaliśmy na fale,
te, co płyną od Suono.

REGENT KJOGOKU:

Noc się zbliża... mróz na dworze...
świerszcz już gra w kominie,
spać w kimono się położę,
noc się zbliża... mróz na dworze...

Znów samotne moje łoże,
tęsknie czas mi płynie—
noc się zbliża... mróz na dworze...
świerszcz już gra w kominie.

ABE-NO-NAKAMARO:

Patrzę na księżyc złotorogi,
czy i nad górą Mika świeci?
Daleko zagnał mnie los srogi,
patrzę na księżyc złotorogi...

Nie tu, lecz tam są moje bogi
i ta, co miłość w sercu nieci—
patrzę na księżyc złotorogi,
czy i nad górą Mika świeci?

FUDZIWARA-NO-TOSZIUKI ASON:

Niech biją fale o Suminoje,
nic mnie nie wzrusza ich gwar i szum,
w nocy i we dnie o tobie roję,
niech biją fale o Suminoje...
Od ludzkich oczu, kochanie moje,
uciekam, kryjąc tajń słodkich dum—
niech biją fale o Suminoje.
nic mnie nie wzrusza ich gwar i szum.

DAMA MURASAKI SZIKIBU:

Wciąż zdaje mi się, że to sen,
co czarem poił nas,
ach, ileż złudnych chwil i scen,
wciąż zdaje mi się, że to sen!...

Że prysnął, winien księżyc ten,
co dziś tak wcześniej zgasł—
wciąż zdaje mi się, że to sen,
co czarem poił nas.

DAMA MICZICUNA:

O, jakże dłuży mi się czas,
samotne dzisiaj łoże moje,
znów srogi los rozłączył nas,
o, jakże dłuży mi się czas!...

Na chmurnem niebie księżyc zgasł,
zapadły w serce niepokoje—
o, jakże dłuży mi się czas,
samotne dzisiaj łoże moje.

Wszystkie powyżej przytoczone uty doskonale uwydatniają, jak artystycznie poeci japońscy potrafiały nawiązywać nić serdeczną pomiędzy sercem ludzkim a naturą. Liryzm osobisty, roztopiony w liryzmie otaczającej natury, daje sercu ludzkiemu sub-

telniejszą, pełniejszą wrażliwość na piękno otaczającego świata, pogłębia uczucie i pozwala pieśniom dać w obrazach przyrody tło, potęgujące uczucia duszy ludzkiej. Poeta japoński, szczególnie wtedy, gdy otwiera serce przed kochanką, przez nią i dla niej napełnia jednocześnie upojeniem i zachwytem otaczającą go naturę, całując i ją, wonną, rozpieszczoną i piękną, namiętными usty miłości. Uczucie, rozplywające się w obrazowym odtworzeniu przyrody, stanowi dopiero wespół z nią jedną nierozłączną, artystycznie harmonijną i silnie działającą przez prawdę swego nastroju całość.

Nawet zagadnienia ściśle myślowe, które, co prawda, stanowią jeden z bardziej rzadkich motywów poezji japońskiej, o ile istnieją, to również źródłem ich stają się zjawy otaczającej natury. Jej zawdzięczają one swoje powstanie, z nią też bywają zespalane lub przez nią komentowane:

Mówisz, żeś widział łódź bez wiosła, płynącą oslep poprzez Jurę, tak cię namiętność będzie niosła, jak tę, coś widział łódź bez wiosła...	Nie daj, by w sercu skrycie rośła, bo życie czeka cię ponure— mówisz, żeś widział łódź bez wiosła, płynącą oslep poprzez Jurę.
--	---

Albo:

Popatrz na fale podczas burzy, gdy wściekle biją o wybrzeże, niech ci za przykład to posłuży, popatrz na fale podczas burzy...	I my, gdy życie nam się schmurzy, szarpiemy się, jak dzikie zwierzę— popatrz na fale podczas burzy, gdy wściekle biją o wybrzeże.
---	--

A więc zagadnienia myślowe stanowią, jak widzimy z powyższych przytoczeń, zaledwie jeden, artystycznie co prawda wprowadzony ścieg na kanwie, wypełnionej obrazem natury. Zjawy przyrody nasunęły poetom japońskim pewne myśli, wydobyte, jako wniosek, zestawienie lub porównanie, z otaczającego świata.

Życie ziemskie, jedno z najulubieńszych myślowych zagadnień poezji japońskiej, również otaczającej naturze zawdzięcza swe powstanie i tylko w związku z nią, nigdy w oderwaniu, bywa rozpatrywane:

Jak nieśmiertelne piętrzą się przedemną
wieczyste skały i wieczyste fale,
lecz w głębi duszy tak źle mi i ciemno,
choć morze igra wodami wspaniałe..

Tu nieskończoność, siła i potęga,
 a moim, jako człowieka udziałem—
 śmierć, co mi życie i szczęście rozpręga...

.....
 Stojąc na brzegu, los swój przeklinałem!

Tak przeklina, wpatrzony w wieczystą potęgę i piękno natury, marność ziemskiego bytowania jeden z bardzo starożytnych japońskich poetów, dodając do tego krótki, przesiąknięty gorczą przyspiew o życiu:

Marne, jak zwiędły liść, co zgnił,
 z korony drzewa w piach strącony,
 i kruche, nędzne, jak ten pył,
 co wicher nim wionął w różne strony...

Jak widać z ogółu zawartych w szkicu niniejszym przytoczeń, poeci japońscy są raczej biologami, niż psychologami. Życie, jako suma przeżyć wewnętrznych jednostki ludzkiej, nie pociąga twórców, czerpanie tematów z głębin duszy ludzkiej nie istnieje. Poeci japońscy, jak wiosenne kwiaty, prężą się ku słońcu, lgnąc do nieśmiertelnych, nieprzebranych kras swego jedyne, prawdziwego i wieczystego bóstwa—natury. I jeżeli istnieje jakakolwiek religia w japońskiej poezji, to niezaprzeczenie religia natury. Z niej, przez nią i dla niej wszystko!

REMIGIUSZ KWIATKOWSKI.

Maurycy Maeterlinck.

Nazwisko Maurycyego Maeterlincka przypomina głośne niedyś dyskusye, które towarzyszyły pierwszym krokom symbolizmu. Maeterlinck znalazł się na widowni w chwili najwyższego zagrzania umysłów u stron walczących, to też ściągnął na siebie odrazu największe gromy i najbardziej przesadne entuzjazmy. Zwolennicy symbolizmu uznali w nim geniusza, odkrywającego duchowi ludzkiemu nowe horyzonty i porównali go do Shakespear'e'a. Przeciwnicy potępili bez apelacyi jego estetykę i dzieła. Odtąd minęły lata. Twórczość belgijskiego poety rozwinęła się, ulegając z czasem pewnej ewolucyi. Zdania pozostały zawsze podzielone, ale namiętności, zużyte w walce, uspokoiły się wraz z ustaniem ich przyczyny, bo symbolizm, który objawił się jako dość powszechny, ale rozproszony nastrój, nie wytworzył prawdziwego kierunku i teoryi swych nigdy w całości narzucić nie potrafił. Zresztą do poznania intencji Maeterlincka przyczyniły się również znacznie wskazówki, zawarte w jego traktatach filozoficzno-estetycznych i moralnych, mianowicie w „Le Trésor des Humbles,” w „La Sagesse et la Destinée,” „Le Temple enseveli,” „La Vie des Abeilles,” „L'Intelligence des Fleurs” i w przedmowie do nowego wydania jego dzieł dramatycznych („Théâtre”). W pismach tych znajdujemy całkowity wykład idei autora, zaczerpniętych w znacznej części u Plotyna, Emersona, Novalisa,¹⁾ Ruysbroecka,²⁾ Swedenborga i Carlyle'a, oraz obraz stopniowego

¹⁾ Novalis—pseudonim Fryderyka barona Hardenberga, poety i filozofa niemieckiego (1772—1801).

²⁾ Jan Ruysbroeck, wikaryusz parafii św. Guduli w Brukselli, mistyczny teolog flamandzki (1294—1381).

rozwoju tychże idei i ewolucyi, która w nich, jako wynik tegoż rozwoju, nastąpiła, czego najwierniejszem odbiciem są utwory dramatyczne, zajmujące w twórczości tego autora miejsce pierwszorzędne. Na czem polega ta filozofia? Podstawą jej jest widzenie życia ze strony zagadkowej, nawet w jego objawach najbardziej codziennych i pospolitych, którym, wskutek przyzwyczajenia, przestaliśmy się dziwić. A jednak te objawy codzienne są dla nas w gruncie równie niezrozumiałe, jak cała tajemnica bytu, jego początek i cel. Cała dotychczasowa wiedza ludzka prowadzi jedynie do stwierdzenia, że sumę wszystkich naszych wiadomości porównać można zaledwie do drobnej wysepki świetlanej, otoczonej zewsząd niezmiernym oceanem ciemności.

Pod wpływem pozytywizmu, pochylonego nad badaniem zjawisk naturalnych, z pominięciem ich przyczyn, zapomniano niemal o tej prawdzie, którą przecież spotykamy na każdym poważniejszym skręcie życia. Ale „prawdy mistyczne mają szczególną wyższość nad prawdami zwyczajnymi: nie starzeją się ani nie umierają.“ W ideach współczesnych Maeterlinck dostrzega wzmożenie się mistycyzmu. Pozytywizm musiał się też dostosować do tych dążeń i wziąć pod uwagę fenomeny do niedawna niepodejrzewane, jak magnetyzm, hipnotyzm, telepatya, własności radykalne materji i t. p. Fenomeny te poddane metodom racjonalnym, weszły dzisiaj do dziedziny wiadomości pozytywnych, ale styczność, w jakiej nas postawiły ze sferami przez umysł ludzki niezbadanymi, przypomniła nam o ich istnieniu.

Wskutek potrzeby wewnętrznego pokoju, człowiek unika tajemnicy i, dzięki małemu zakresowi swego widzenia, zasklepia się z łatwością w swym kącie, nie spostrzegając poza nim nic niepokojącego i to tem bardziej, że powiedziano mu, iż wiedza wszystko zbadała, a przynajmniej bliską jest tego rezultatu. Dopiero, gdy przypadek postawi go wobec niespodziewanego zagadnienia, umysł jego porusza się, zwraca się ku nieznanemu i cały jego światopogląd ulega zmianie. W taki to sposób odkrycia hipnotyzmu wstrząsnęły wiedzę urzędową i spowodowały przewrót w wierzeniach pozytywistycznych. Te przemiany w ideach współczesnych Maeterlinck przypisuje „przebudzeniu się duszy.“ „Pewnem jest — mówi on — że zakres ducha powiększa się z każdym dniem. Zdaje się, iż się zbliżamy do okresu duchowego, co objawia się w różnych kierunkach myśli, a zwłaszcza w sztuce, tak, iż obok śladów życia zwyczajnego, znajdujemy wszędzie falujące ślady innego życia, którego sobie nie umiemy wytłómaczyć. Dusza jest jakoby bliżej naszej istoty widomej, spowija się w mniej-

szą liczbę zasłon, niżeli przed dwoma lub trzema wiekami.“ To też, wobec tego zachodzi potrzeba nowej psychologii, która nie zajmowałaby się wyłącznie „duszą ludzką, oddającą się skromnym czynnościom myślowym,“ lecz także duszą boską, której uśmiech pozwala nam dostrzedz, „co jest poza myślą.“ Psychologia zwyczajna, nadużywająca pięknego imienia Psychy, gdyż w istocie zajmuje się tylko zjawiskami duchowymi, najściślej związanymi z materią, jest niewystarczającą dla odtworzenia prawdziwego wizerunku duszy.

Dusza prawdziwa różni się bardzo od tego, co powierzchowni psychologowie podają jako objaw jej życia. „Posiadamy *ja* głębsze i więcej niewyczerpane, niżeli *ja* namiętności i rozumu... To wszystko (t. j. to, co w sztuce klasycznej stanowi właściwy motyw dramatyczny) może podobać się przez chwilę, jak kwiat oderwany od łodygi. Ale nasze życie prawdziwe i niezmienne jest o tysiąc mil od miłości i o sto tysięcy mil od pychy.“ To życie głębsze nie objawia się na zewnątrz w słowach i gestach. Część naszego życia istotnego i to najlepsza, najczystsza i największa, nie bierze udziału w życiu zwyczajnem.

I z tem psychologia prawdziwa liczyć się powinna przede wszystkim, powinna brać pod uwagę „obecność nadzwyczajną duszy.“

Istoty impulsywne, bezpośrednio ulegające wpływowi wewnętrznym, są, zdaniem Maeterlincka, bliżej prawdy, niż te, które kierują się rozumem. Dzięki swej szczególnej zdolności wzruszeniowej, kobiety zdają się mieć z pierwotnymi władzami ducha tajną styczność, dla nas niedostępną. Wiedzą one rzeczy, których my się nie domyślamy i sądzićby można, iż pomiędzy nimi i wypadkami, mającymi się wydarzyć, zachodzi porozumienie, z tak dziwną łatwością odgadują przyszłość.

Ich to jest zasługą, że, pomimo wszechwładzy rezonerstwa, przechowało się na ziemi poczucie mistycyzmu. Uderza autora sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy powierzchowną błahością kobiet, a głębokością funkcji, jakie przy nas pełnią: „Jakże mało zdają się one ważyć dla mężczyzny, który patrzy na nie mimochodem! Widzi je krzątającymi się wewnątrz swych pomieszczeń—ta się nachyla trochę, tamta szlocha, inna śpiewa, inna jeszcze haftuje, a żadna nie zdaje sobie sprawy z tego, co czyni! Mężczyźni je odwiedzają, jak się odwiedza coś, co się uśmiecha.“

Idee znajdują się w duszy nieświadomej w stanie czystym. Aby się ujawnić, muszą przybrać powierzchowność, która odmienia ich właściwy charakter. Słowa zwłaszcza, których dusza uży-

wa dla objawienia się, przedstawiają ją w taki sposób, jak liczba porządkowa przedstawia w katalogu np. obraz Memlinga.

Niezależnie od słów zresztą, myśl nie jest też nigdy ścisłym obrazem tego czegoś, co ją wytwarza. Dusza żyje w milczeniu. W milczeniu też tylko porozumiewać się mogą dusze, czego nie mogłyby osiągnąć przy pomocy znaków zewnętrznych.

Tak więc tajemnica, której zwykłą metodą obserwacyi przeniknąć nie można, pokrywa szczegóły duszy ludzkiej. Dusza jest tajemniczą sama w sobie i w swym stosunku do wydarzeń.

Dzisiaj, powiada Maeterlinck, wiara w przeznaczenie zdaje się powracać, jako reakcja przeciw pozytywizmowi, który w tej niezbadanej potędze widzi tylko logiczny i mechaniczny skutek przyczyn. Ale pozytywizm, który nie potrafił dotąd wytłómaczyć rzeczywistości, nie jest w stanie zniszczyć pojęcia przeznaczenia. Nie idzie za tem, aby nauka nie miała stwierdzić pewnych faktów, ustanowić pewnych praw i powiększyć w ten sposób naszej świadomości tego, co jest. Ale powiększenie tej świadomości nie może się odbyć bez pomnożenia niewytłómaczalnego, które nas otacza. Dziedziczność, prawo gatunków — są to hipotezy, które służą jako prowizoryczne etykiety dla potwornych słoików, zawierających niepoznawalne. I pomimo wszystko, nazywamy zawsze przeznaczeniem tajemnicę nie do rozwiązania, która okrywa wypadki ludzkiego życia.

Wobec przeznaczenia, jak i wobec duszy trzeba być pokornym i zdziwionym. Wyrzeczenie się bowiem całkowitego pojmowania zjawisk pozwoli dopiero badać je dokładniej, szczerzej i uczciwiej, gdyż wtedy pycha intelektualna nie będzie przeszkodą do ich stwierdzenia takimi, jak są, choćby się wydawały dziwne, nie poddające się racjonalnemu tłómaczeniu i sprzeciwiające naszym ogólnym poglądom na rzeczy.

Zapewne, co w ten sposób odkryjemy, różnić się będzie od pozytywnego pojmowania życia. Przekonamy się wtedy, że wszystko odbywa się, jak gdybyśmy się znajdowali w rękach potęg dziwnych, które są w zgodzie z wydarzeniami. Pomiędzy naszą duszą a wydarzeniami, które nas spotykają, zachodzi tajemnicza łączność. Dusze są gotowe na ich przyjęcie, czekają na nie — „kto z nas nie przebywa większej części życia w cieniu wydarzenia, które się nie trafiło?“ Przeczucia uprzedzają nas o naszym przeznaczeniu i jeżeli wielu stara się nie zwracać na to uwagi, inni, czulsi na lekkie szmery, które sprawia wokoło nich niedostrzegalne zbliżanie się wydarzeń, żyją w nieustannem drżeniu oczekiwania na ich niechybne przybycie. Nie pozornie nie

wyróżnia istot, które ma spotkać coś ważnego, a jednak jest coś wokoło nich, w czem zdradza się ich przeznaczenie. Trzeba więc, nie rozumiejąc ich, zaznaczyć raczej istotność tych nadzwyczajnych objawów, niżeli sprowadzać rzeczywistość do tego tylko, co w naszym ograniczonym unyśle jesteśmy w stanie sobie wytłómaczyć.

Teatr współczesny, mówi Maeterlinck w jednym z rozdziałów „Le Trésor des Humbles“ („Le Tragique Quotidien“) — jest anachroniczny względnie do ewolucyi idei nowożytnych, podobnie jak rzeźba, gdy w malarstwie i muzyce „przebudzenie duszy“ znalazło silny oddźwięk. Autorowie dramatyczni widzą zawsze główną zaletę dzieła w gwałtowności jego anegdoty, w krzyku i rozlewie krwi. Wydaje się to zabytkiem okresów barbarzyńskich. W istocie, wydarzenia najważniejsze nie są te, które wybuchają gwałtownie na zewnątrz, lecz te, które się ukrywają w głębi duszy, w ciszy jej najodleglejszych tajników. Pierwiastku dramatycznego zatem nie należy szukać w akcji zewnętrznej, w większym lub mniejszym ruchu pozornym.

Rozumiejąc gruby materyalizm i płytkość takiego pojmowania sztuki, niektórzy autorowie zwrócili się do studyowania charakterów, stworzyli teatr psychologiczny. Ale psychologia ich jest zawsze pozytywną, zbyt prostą i powierzchowną. Maeterlinck zarzuca Racine'owi brak głębszego odczuwania życia duchowego: „Jeżeli Racine jest nieomylnym poetą serca kobiecego, to któż ośmielił się twierdzić, że uczynił on choć jeden krok w stronę jej duszy? Co mi odpowiecie, gdy was zapytam o duszę Andromachy? Postacie Racine'a są o tyle tylko zrozumiałe, o ile się wypowiadają. Nie mogą one zamilknąć, gdyż przestałyby istnieć, nie mają bowiem w sobie pierwiastku niewidzialnego.“ Inaczej się to przedstawia u Shakespeare'a. Znajdujemy u niego niejedną postać, „obdarzoną życiem prawdziwym, w którym dusza bierze całkowity udział, przy wtórowaniu tajemniczego śpiewu nieskończoności, owiewającego myśl ludzką, który daje się słyszeć poprzez słowa króla Leara, Macbetha i Hamleta.“

Czy przeto, przy pomocy pewnego rodzaju zamiany ról, nie możnaby tego „pierwiastku niewidzialnego,“ który odgadujemy w Hamlecie, przybliżyć, usuwając jednocześnie aktorów na dalsze plany? Mniej nam zależy na tem, czy Hamlet pomści lub nie swego ojca. Całe piękno dramatu spoczywa w pewnych słowach Hamleta, które na życie, duszę i przeznaczenie otwierają widoki niespodziewane i godne podziwu. Obok dyalogu, nieodzownego dla wytłómaczenia czynów postaci, znajduje się tu inny dyalog, który wydaje się zbytecznym.

Ale przysłuchajmy się uważniej, a przekonamy się, że ten tylko dyalog dusza odczuwa głęboko, gdyż zwraca się on do niej. Zauważymy również, że od rodzaju i znaczenia tego dyalogu zależy wartość i doniosłość prawdziwego dzieła.

Maeterlinck żąda, aby ten „dyalog konieczny“ w dramacie sprowadzono do rozmiarów możliwie najmniejszych, a natomiast, by zostawiono więcej miejsca dyalogowi, który wyraża prawdę mniej oczywistą, lecz za to głębszą.

W ten sposób wprowadzi się do sztuki dramatycznej coś z wielkiej tajemnicy życia, o wiele ważniejszej od wszelkich zająć, wywołanych przez miłość, zazdrość lub inne namiętności, co nam pozwoli wznieść się do myśli ogólniejszych i więcej ludzkich, niżeli to może sprawić widok zemsty i czynów brutalnych. Trzeba, by chodziło nietyle o jakąś chwilę wyjątkową bytu, lecz o sam byt i o silniejsze uprzytomnienie sobie tego, co jest zdumiewającym w samym fakcie życia.

Równie jak psychologia pozytywna, moralność tradycyjna, zbyt kategoryczna, nie sięga do tych głębin duszy, gdzie powstają pobudki naszych czynów. Czyny nasze nie są wiernem odbiciem naszych intencji, ale niema również żadnych danych, by w tych intencjach widzieć dokładne odtworzenie duszy wewnętrznej. Z tak niepewnych wskazówek nie można też wyciągać wniosków co do istotnej dobrowolności naszego postępowania. Prawdziwe życie moralne odbywa się bardzo daleko od życia zwierzęcego i od życia duchowego, w trzecim obrębie duszy, gdzie świadomość nasza nie przenika. Wszystko zależy od „pierwiastku niewidzialnego“ i są prawa głębsze od tych, które rządzą czynami i myślami. Pod wpływem nowych idei ściśle pojęcie dobrego i złego odmienia się tak, iż nie przypisujemy już obecnie tej samej wagi pewnej liczbie przestępstw. Wyrabia się „wyższe sumienie.“

Wszakże ta nieco anarchistyczna koncepcja moralności Maeterlincka nie opiera się na żadnej teorii rozumowej. „Nie jesteśmy tylko istotami rozumnymi—mówi on (w „La Sagesse et la Destinée“), bo niema dobrego uczynku, ani myśli szlachetnej, których korzenie nie zagłębiałyby się poza tem, co można rozumieć i wytłómaczyć—całe nasze życie moralne leży poza zakresem rozumu.“

Z tem wszystkim w tym ostatnim traktacie moralności mistycznej zaznacza się zwrot autora do poglądów realniejszych, niemal pozytywnych.

Ideałem, do którego według niego ludzkość dąży lub dążyć powinna, jest „prawda wewnętrzna wszechświata,“ prawda, której odkrycie wskaże człowiekowi jego istotny obowiązek. Tym-

czasem zaś pierwszym naszym obowiązkiem jest wskazywać ideę obowiązku. Nie można się niczego spodziewać poza prawdą. Dusza, która się podnosi, jest to dusza, zbliżająca się do prawdy.“ Maeterlinck wierzy, że, dzięki usiłowaniom nauki, jesteśmy dzisiaj bliżej tej prawdy i „nie jest niemożliwym, czy jutro, wraz ze znajomością zupełną ustroju i celu wszechświata, nie otrzymamy z planety Marsa nieomyślnej formuły szczęścia?“

„Myślą najzgodniejszą we wszystkim jest ta, która każe nam nieufać rzeczywistości“ — mówi on tamże i zdanie to nie sprzeciwia się zresztą jego mistycyzmowi, bo rzeczywistością pozytywną jest według niego przedewszystkiem fakt tajemnicy, jaka nas otacza, fakt, z którym trzeba się liczyć, gdyż „pierwszym obowiązkiem świadomości, która się odkrywa, jest uczyć nas poznanowania nieświadomości, która się jeszcze odkryć nie chce.“ Prawdą istotną jest, że nie wiemy. Widzimy to w przerażającej złożoności zjawisk najnaturalniejszych, w której gubi się obserwator, najbardziej drobiazgowy i musi stwierdzić, że tajemnica przenika nawet do dziedziny faktów. Fakta dają się stwierdzić, ale ich tłumaczenie jest hypotetyczne. Pozytywizm naukowy i doktryny religijne, wychodząc z przeciwnych zasad, popełniają ten sam błąd wspólny — pozbywają się niewytłumaczalnego, wzbraniając sobie jego badania. Pierwszy odrzuca tajemnicę, jako nieistniejącą, drugie czynią z niej bóstwo. Tymczasem zrezygnować się na pozostawanie w nieświadomości byłoby słusznem tylko w razie, gdyby było dowiedzione, że się nigdy nie będzie wiedziało.

Obserwując życie pszczół („La Vie des Abeilles“), Maeterlinck rozumiał wartość dokładnych twierdzeń, bez względu na ich konsekwencje i że niema co się z tego powodu cieszyć lub smucić, lecz trzeba powiedzieć sobie; „tak jest.“ Na teraz obowiązkiem naszym jest szukać. W oczekiwaniu na coś lepszego, ciekawość powinna panować w naszym sercu. Ciekawość bowiem, skłaniając do poznania prawdy, wskazuje nam, czem powinniśmy być i co mamy czynić. Trzeba zatem starać się o jaknajwiększe rozszerzenie pozytywnej znajomości świata, gdyż jeżeli na razie potrafimy chociażby przemienić naszą niewiadomość nieświadomą, na niewiadomość świadomą, to będzie to już rezultat, dzięki któremu zdołamy dokładniej uprzytomnić sobie zagadkę, jaką stanowi dla naszego umysłu, w chwilach jego jaśniejszych przeżyć, widok tego, co jest; zagadkę, której trwoga człowieka nadała imiona rozmaite, to pocieszające, to straszne, Boga, Opatrzności, Natury, Losu lub Przeznaczenia. Jeżeli ma ona pozostać długo jeszcze lub zawsze nierozwiązana, to w każdym razie sy-

stematyczna praca badaczy pozwoli dać jej imię szersze, dostępnejsze, giętsze i pozostawiające więcej pola oczekiwaniu i niespodziance.

Z całej tej nieco majaczącej filozofii, wypowiedzianej w tonie allegorycznym i namaszczonej, ale zawierającej parę myśli trafnych, da się wyciągnąć wniosek główny, że poza tłumaczeniem, jakie nam daje religia, wszystko, co nas otacza, jest tajemnicą, nie wyłączając najbliższej nas dotyczących objawów własnego życia. Mistycyzm Maeterlincka polega na tem, że myśl jego zwraca się nieustannie i przy każdej sposobności do tej wszędzie obecnej tajemnicy, z którą ludzie oswoili się wogóle do tego stopnia, iż o niej nie myślą wcale lub bardzo rzadko, a która, według niego jest treścią życia duszy. Tajemnica ta przejmuję go, a przynajmniej jego bohaterów rodzajem zabobonnej trwogi, która przebiega szczególnym dreszczem atmosferę moralną jego utworów dramatycznych. Ale objawia się w nich zawsze w sposób naturalny, bez żadnej interwencji potęg nadprzyrodzonych, bez aluzji do życia przyszłego i z tego względu mistycyzm jego byłby istotnie do pewnego stopnia realistycznym, gdyby nadmiar halucynacji, w jakim żyją jego osoby, nie osłabiał tego wrażenia.

Jeżeli w swej koncepcji dramatu Maeterlinck przedstawia pewne analogie, ograniczające się zresztą niekiedy do cech powierzchniowych, z Shakespeare'm, od którego sam się wywodzi, to jednak zachodzi między nimi różnica zasadnicza w tem, że postacie Shakespeare'a żyją życiem istotnem i mają ściśle określony charakter, dramaty jego odznaczają się akcją wyraźną i zajmującą, gdy sztuki Maeterlincka akcyi zewnętrznej albo nie mają prawie wcale, albo jest ona w nich rozerwana na poszczególne obrazy lub sceny, pozbawione związku i jedności; zaś jego figury są podobniejsze do mar sennych, aniżeli do żywych ludzi.

I wogóle jego dramaty mają wiele podobieństwa do snów. Wszystko w nich jest niejasne i nieściśle, począwszy od mowy, wyrażającej się aluzjami i metaforami, lub sprowadzonej do najprymitywniejszej prostoty bełkotania bez związku, aż do czasu, w jakim się rozgrywają, którego nic nie określa. Wprawdzie widzimy tam zamki warowne, baszty, podziemia, królów, królewiczów i królowne, co wszystko razem trąci jakoby średniowieczem, ale są to właściwie akcesorya, użyte tu tylko dla wywołania fantastycznego nastroju bajki, bo, jak w bajce, ci królowie, królewicze i królowne nie mają w sobie nic ani z charakteru swych funkcji, ani też nic w charakterze osobistym, coby pozwalało zaliczyć ich do tej lub innej epoki. Skądinąd nie wiemy również

nie o tych postaciach: skąd się wzięły, jaka ich przeszłość, dlaczego znalazły się w danych warunkach?

I to wszystko jest wynikiem wyrażonych wyżej myśli autora i jego poglądów na zadanie sztuki dramatycznej. Życie chce on przedstawić ze strony odwrotnej, t. j. z tej, z której wiąże się ono z tajemnicą bytu i przeznaczenia i nie idzie mu o odtworzenie charakterów w znaczeniu zwyczajnem, lecz stara się o ujawnienie „duży nieświadomej,“ w której ukrywa się prawdziwe jestestwo, nieśmiertelny i niezależny od czasu ani miejsca pierwiastek ducha ludzkiego. Zadanie to ułatwia autorowi ta nie mająca nic realnego, legendowa atmosfera, w której nieokreślonem oddaleniu każe obracać się swym mglistym bohaterom. Ten charakter bajeczny przyczynia się również do wywołania szczególnego nastroju niewytlómaczonej trwogi i niepokoju, w jakim żyją te niezwykle istoty i otacza je nikłą aureolą chorobliwej poezyi.

Wszystkie te właściwości znajdują się już w pierwszym dramacie Maeterlincka „La Princesse Maleine,“ ale mniej wyraźnie zaznaczone, niż w następnych, z powodu stosunkowo dość znacznego nagromadzenia wypadków zewnętrznych, jakich później, stosując się do swych teoryi, autor się wyrzeknie.

Księżniczka Maleine jest narzeczoną królewicza Hjalmara, syna króla tegoż imienia. Podczas uroczystości zaręczyn na zamku ojca księżniczki, króla Marcellusa, stary król Hjalmar, dla przyczyn niewyjaśnionych, wpadł w gniew straszny, z którego wynikła wojna pomiędzy obu władcami. Hjalmar pomścił niemiłosierdzie swą zniwagą, pustosząc kraj cały i paląc zamek królewski, przyczem sam król Marcellus i królowa zginęli. Tylko księżniczka Maleine wraz ze swą starą piastunką uszła zguby, kryjąc się w lasach. Te straszne katastrofy, w których straciła wszystko i wszystkich, nie potrafiły jednak zniszczyć jej miłości, którą wiedziona, Maleine udaje się w towarzystwie owej piastunki na zamek starego Hjalmara i, niepoznana, zostaje służebną Ugliany, obecnej narzeczonej królewicza, co jej pozwoli doń się zbliżyć. Ugliana jest córką królowej Anny, słynnej z piękności i rozwiązości, wygnanej ze swego królestwa, która opanowała starego króla Hjalmara, ma więc za sobą wszechpotężne wpływy swej matki. Za to Maleine pewną jest uczuć młodego Hjalmara, któremu daje się poznać i odzyskuje jego serce. Odtąd królewicz odtrąca Uglianę i postanawia pojąć za żonę dawną narzeczoną, co niebacznie wyjawia ojcu.

Ale królowa Anna nie daje za wygraną. Na pozór okazuje ona współczucie nieszczęśliwej księżniczce i opiekuje się nią.

Maleine wkrótce zaczyna słabnąć. Przypisują to malarycznym wyziewom błot, otaczających zamek, w istocie jednak jest to skutek powolnej trucizny, zadawanej przez królowę. Niebawem działanie trucizny wydaje się jej zbyt powolne, więc, pewnej nocy, w obecności starego i na wpół obłąkanego króla, który nie jest w stanie oprzeć się jej woli, dusi biedną Maleinę. Późem król, który zupełnie już postradał zmysły, dręczony wyrzutami sumienia, zdradza tajemnicę. Wtedy królewicz Hjalmar, przy trupie narzeczonej, przebija mieczem jej zabójczynię i sam się zabija, w obecności dworzan i króla, który, w swem obłąkaniu, nie zdaje sobie sprawy, co się wokoło niego dzieje. To jest treść zewnętrzna dramatu, która, jak już wiemy z wyżej powiedzianego, ma znaczenie drugorzędne i istotnie, jako akcja i jako fabuła, jest niezmiernie nikła i pobieżna. Właściwe jej znaczenie spoczywa gdzieindziej. Charaktery bohaterów są też tylko zaledwie wskazane. O księżniczce Maleinie wiemy tylko, że ma lat piętnaście, że jest pełna niewinnego wdzięku i że kocha królewicza Hjalmara, który jest czemś w rodzaju cienia Hamleta, tak samo, jak stary król i królowa Anna przypominają Macbethów.

Wpływy Shakespeare'a, a raczej natchnienie, jakie autor zaczerpnął w nastroju duchowym tych arcydzieł wielkiego tragika, jest tu bardzo wyraźne. Złowrogość przeznaczenia, które ma się niebawem spełnić, objawia się nieustannie w ciągu akcji to w słowach o znaczeniu proroczym, wypowiedzianych beznamiętnie lub nieświadomie, to w dziwnych znakach na niebie i ziemi, to w szczególnym zbiegu przypadków. Królewicz Hjalmar, podczas spotkania z Maleiną o zmroku, gdy ta daje mu się poznać, rzuca grudki ziemi, by odpędzić sowy (ptaki złowrózne) i spostrzega się naraz, że „ma teraz ręce grabarza!“ W chwili, gdy to mówi, trochę rzuconej przezeń ziemi pada na księżniczkę i oboje są tem przestraszeni. Hjalmar również, w innem miejscu, wypowiada uwagę, że „tylko chwilowo, gdy się na nie patrzy, rzeczy pozostają spokojne, jak grzeczne dzieci i nie wydają się dziwne; ale, gdy się od nich odwrócić, wtedy wykrzywają się i płatają nam złośliwe figle.“ Nadchodząca burza wywołuje u wszystkich tych osób dziwny niepokój, jak gdyby złe przecucia. Chłopi widzą w tych objawach atmosferycznych oznaki nieszczęść i katastrof. Wszyscy są przerażeni, nie wyłączając siedmiu zakonnic, które przechodzą procesjonalnie poprzez sale zamku, odmawiając łacińskie litanie. Maleine jest dręczona niezrozumiałemi dla niej przecuciami, wszystko ją trwoży, zwłaszcza na krótko przed śmiercią, która ma ją spotkać z ręki królowej Anny. Ale strach, gra-

niczący z szaleń, wstrząsa szczególnie królem Hjalmarem, który wbrew swej woli, jak gdyby zahypnotyzowany przez kochankę, jest świadkiem i biernym współnikiem jej zbrodni. Drapanie psa do drzwi zamkniętych, głucho uderzenia, pochodzące od piłki, w którą gra z drugiej strony drzwi mały Allan, podczas, gdy z tej strony dopełnia się zbrodnia, przeraża moralnie obezwładnionego starca. Pełno tu jeszcze innych szczegółów—wypadków, pochodzących z przyczyn naturalnych, ale przybierających w danych okolicznościach znaczenie symboliczne. Szczyt wieży z wielkim krzyżem spadł, w dzień zbrodni, do stawu. Łabędzie nagle odleciały, prócz jednego, który pozostał martwy. W chwili dokonania zabójstwa, podczas rozszalałej burzy i gradobicia, wiatr otworzył okno pokoju Maleiny i zrzucił doniczkę z lilią, która się rozbiła, i w tenże oknie rozległ się szyderyczy śmiech królewskiego trefnisa, natychmiast strąconego pchnięciem szpady króla na dno zamkowych fosów. To wszystko ma przesądny charakter ludowych zabobonów i przypomina strachy piastunek, ale sprawia niemniej pożądane wrażenie, do czego przyczynia się też rodzaj osłupienia czy też duchowej nieobecności w zachowaniu się i mowie osób, które powtarzają po kilka razy jedno i to samo słowo lub zdanie, albo w odpowiedziach bez związku z zapytaniem, w których, jeśli dostroimy się do takiego tonu, możemy się dosłuchać jakiegoś tajemniczego znaczenia. W tych aluzyjach, w tych znakach i wróżbach, w tych powtarzaniach i niedopowiedzeniach należy też szukać „treści głębszej“ dramatu, bo one to służą autorowi do wywołania tego dreszczu szczególnego, jakiego człowiek w życiu doznać może tylko wyjątkowo, gdy stanąwszy oko w oko z tajemnicą przeznaczenia, uczuje się nagle wobec tegoż bezsilnym i bezbronny, jakoby owianym przerażającym tchnieniem wieczności. W takich chwilach dusza, nie ta zewnętrzna, która myśli i kieruje naszym codziennym postępowaniem, lecz ta „głęboka,“ nieświadoma, która nie traci łączności z zaświatem i daje tamtej niekiedy przebłyśki jasnowidzenia, ujawnia się, zajmuje miejsce pierwszej i daje odczuć naszej istocie, w sposób niemal dotykalny, nikłość jej bytu ziemskiego i uczestnictwo w wieczności.

Więcej jeszcze, niż w „La Princesse Maleine,“ gdzie przedmiot dramatu jest bądź co bądź ujęty w pewną anegdotę, wyraża się to w sztukach następnych, w których treść zewnętrzna jest sprowadzona do rozmiarów najprostszych i najogólniejszych, a zwłaszcza w „Les Aveugles,“ w „La Mort de Tintagiles,“ w „L’Intruse,“ w „Intérieur.“ W „Les Aveugles“ ślepi mężczyź-

ni i kobiety zamieszkują, pod kierunkiem starego księdza, przytułek, mieszczący się w starym i ciemnym zamku, do którego, z wyjątkiem jednej izby na wieży, zajętej przez księdza, światło dzienne nie przenika. Ale ksiądz starzeje się coraz bardziej. Ślepi podejrzewają, że i on niedowidzi, do czego się w każdym razie nie przyznaje, aby go nie zastąpiono kim innym. Pewnego dnia wszyscy wyszli na przechadzkę, wyprowadzeni przez księdza na drogę w stronę morskiej latarni, której dostrzegają światło. Usiadłszy dla wypoczynku, ślepi uczuli nagle niepokój: gdzie jest ich przewodnik? Nie słyszą jego głosu! Czyżby ich opuścił? I radzą między sobą, by zastąpić go kim innym, bo starzec w ostatnich czasach objawiał szczególne osłabienie i zniechęcenie, mówił już tylko do kobiet, wspominał coś, że panowanie starców się skończy... Ale ksiądz umarł. Nieszczęśliwi, zdala od swego przytułku, czują się zgubieni. Kto ich poratuje, kto ich nadal będzie prowadził? Może ludzie z morskiej latarni? Ślepi spodziewają się od nich ratunku, ale ci, zwrócenii w stronę morza, nie widzą ich nawet. Wtem dziecko jednej z kobiet zaczyna kwilić. Ślepym wydaje się, że coś słyszą, jeden z nich podnosi dziecko, by zobaczyć, kto się zbliża. Ale niema nikogo i dziecko płacze coraz bardziej.

Przedewszystkiem jest tu allegorya bardzo wyraźna. Ślepi, to ludzkość, pozostawiona w ciemnościach, bez przewodnika, przez zmarłą religię. Wiedza, w swej morskiej latarni, jest za daleko i za wysoko, by jej pomódz. Więc, sama, wśród nocy otaczającej tajemnicy, pozostaje bezradna i nawet małe dzieci płaczą ze strachu przed przyszłością. Ale poza tą allegoryą odczuwa się tu już prawie bezpośrednio tę grozę, jaką przejmują duchową istotę człowieka poczucie bezradności wobec przeznaczenia. Ślepi, w ciągłym oczekiwaniu zbawcy, któryby ich wyprowadził z tego straszego położenia, wsłuchują się w każdy najdrobniejszy szmer, w nadziei, że zwiastować im będzie jego przybycie i przechodzą przez cały szereg wzruszeń od radości, nadziei, do smutku rozczarowania, a zawsze pozostają w nieustannej trwodze. Przestraszają ich to liście, padające na ich ręce, to płatki śniegu, to przelot ponad ich głowami stada ptaków. A gdy wreszcie są już pewni, że ktoś do nich idzie po przez suche liście, okazuje się, że to pies, który na jednym z nich kładzie swe łapy.

W trzech krótkich utworach, nazwanych przez autora dramatami dla maryonetek, przedmiotem głównym jest wstrząśnienie, jakiego doznajemy na przejście śmierci w najbliższem sąsiedztwie. Wyraża się to tutaj środkami prowadzącymi prosto do ce-

lu, bez żadnej intrygi lub anegdoty, zwłaszcza w „L’Intruse“ i w „Intérieur.“ W pierwszej, obok pokoju chorej kobiety, rodzina jej, złożona z dziadka ślepego, z ojca, stryja i wnuczek, oczekuje przybycia krewnej. Wyglądają jej z niecierpliwością, ale poza tem są spokojni co do chorej, u której doktor znalazł polepszenie. Tylko starzec i jedna z wnuczek mają jakieś niejasne przecucia i obawy nieokreślone. Naraz, słowiki umilkły w ogrodzie i łabędzie odleciały ze stawu. Pewnie to oczekiwana krewna przybyła i, przechodząc, spłoszyła łabędzie. Wreszcie słycać kroki i otwarcie drzwi od sieni, ale nikt nie wszedł, a drzwi nie dają się zamknąć, jak gdyby je ktoś z zewnątrz popychał. W tejże chwili w pokoju chorej daje się słyszeć ruch, głucho stapanie, wreszcie drzwi otwierają się na rościerz, w progu staje siostra miłosierdzia i pochyła się, czyniąc znak krzyża św., by oznajmić zgromadzonym, że śmierć nawiedziła chorą. I wszyscy, po chwili osłupienia, przechodzą do pokoju zmarłej, prócz ślepego starca, który nie wie, co się stało.

W „Intérieur“ scena przedstawia ogród, w głębi dom, w którym poprzez oświetlone okna widać zgromadzoną wokoło stołu rodzinę. Nie domyślając się nieszczęścia, które ich spotyka, zgromadzeni oczekują powrotu jednej z córek, która poszła zrana odwiedzić babkę, mieszkającą po drugiej stronie rzeki. Nad wieczorem widziano ją, zbierającą kwiaty na nadbrzeżnych łąkach, a wkrótce potem przechodzący starzec spostrzegł jej włosy na powierzchni wody pośród trzciny. Teraz starzec ów wchodzi przez ogród, by przestrzedz rodzinę, nim nadejdą ludzie niosący trupa. Na widok spokojnego zaufania, w jakim dom ten zdaje się być pogrążony, waha się on, powstrzymany obawą tej chwili milczenia, jaka następuje po ostatnich słowach, zwiastujących nieszczęście. Tymczasem spokój tej rodziny jest raczej powierzchowny. W ich zachowaniu daje się odczuć pewna nerwowość, z której może sami nie zdają sobie dokładnie sprawy. Młode panienki zbliżają się coraz do okna, widocznie oczekują powrotu siostry ze zwiększającą się niecierpliwością. Nie przewidują nic niezwykłego, a jednak radeby ją już widzieć na miejscu, bo coś zapewne w nieświadomych zakątkach „duszy głębszej,“ która wie wszystko, musi je ostrzegać, że przeznaczenie, nie dające się powstrzymać, ani odwrócić, zbliża się do nich wraz z żałobnym orszakiem. Starzec, nie mając czasu do stracenia, bo niosący trupa nadejdą lada chwila, decyduje się wreszcie i obchodzi dom, by wejść od drugiej strony. Przez okna widać scenę, która się rozgrywa w pokoju. Starzec wchodzi i oznajmia smutną nowinę. Zebrani słu-

chają słów jego z uwagą, poczem następuje chwila osłupienia i wszyscy naraz zrywają się na równe nogi. Odbywa się to bardzo szybko, ale dostatecznie, by dać widzowi odczuć fazy uczuciowe, przez które przechodzą ci ludzie, nim zrozumieją doniosłość ciosu, jaki na nich spada. Autor, według swego wyrażenia, stawia w ten sposób widza w możności obserwowania, jakoby „ze szczytów innego świata, zachowania się człowieka, którego ma spotkać wielkie nieszczęście.“

„La Mort de Tintagiles,“ przy tym samym charakterze, co powyższe utwory, jest zresztą przystosowaną do sceny bajką z rodzaju tych, jakimi piastunki straszą niegrzeczne dzieci. Stara, jak świat, i potworna, jak wiedźma, królowa, mieszkająca w nieprzystępnej wieży, nie może znieść myśli, że kiedyś zastąpi ją w rządach kto inny. Stąd jej nienawiść do swych następców, których pozbywa się skrytobójstwem. Teraz następcą jest jej wnuk, czy prawnuk, mały Tintagiles, o którego życie obawiając się, jego starsze siostry nie opuszczają go ani na chwilę, tak, iż nawet do snu układają go między siebie i przywiązują własnymi włosami. Ale pewnej nocy przyszły służące królowej, odcięły złociste kędziory dziewic i porwały dziecko. Jedna z sióstr, imieniem Ygraine, nagle zbudzona, pobiegła w stronę wieży, ale zastała zamkniętą bramę z jednolitej płyty żelaza. Za tą bramą słyszy głos dziecka, wołającego o ratunek. Tintagiles posyła jej całusy poprzez bramę i błaga, by go uwolniła. Ale próżno miota się biedna dziewczyna, straszna zapora, która ją dzieli od braciśzka, niewzruszona, zimna i milcząca, jest nie do przebycia, pomimo, iż jest on tak blisko niej, że słyszy jego oddech, coraz krótszy i słabnący. Wreszcie wszystko ustaje, Ygraine nie słyszy już ani jęków dziecka, ani jego tchnienia. Wiedźma je udusiła.

W dramatach „Pelléas et Mélisande,“ „Alladine et Palomides“ i „Aglavaine et Selysette“ poeta dotyka zagadnień moralnych, w myśl swych przytoczonych wyżej poglądów etycznych. Golaud, syn starego króla Arkela, żeni się z napotkaną przypadkiem w lesie zbłąkaną, tajemniczego pochodzenia, bo nikt, nie wyłączając jej samej, nie wie skąd przybyła, dziwnej piękności dziewczyną, Melisandą. Ale Golaud jest już niemłody, duża różnica wieku stawia między nimi przegrodę nie do usunięcia i oddala ich coraz bardziej. Natomiast wszystko składa się i sprzymierza na zbliżenie się Melisandy i brata Golauda, dwudziestoletniego młodzieńca, Pelleasa. Z naturalnej sympatyj, jaka łączy się pomiędzy młodymi, wynika miłość, długo zwalczana

i tłumiona, wreszcie mimowolnie ujawniająca się, ale zawsze jeszcze niewinna, nawet w chwili, gdy Golaud, uniesiony gniewem zazdrości, zabija Pelleasa i rani śmiertelnie Melisandę, która wskutek tego umiera.

Tu treść anegdotyczna, sama w sobie banalna i nic nie znacząca, nie zawiera też żadnego rozumowego uzasadnienia tezy. Myśl swą autor podsuwa lub w części wyraża w zdaniach starego króla. A myśl ta polega na tem, że nie można absolutnie sądzić czynów ludzkich, bo nikt nie zna tajnych powodów, które kierują postępowaniem innych, i nikt nie jest w stanie rozeznaczyć, czy i w jakim stopniu mogą oni za te postęпки odpowiadać. Łączność zupełna dusz w miłości nie zależy ani od woli istot ludzkich ani od ich uczuć, które mogą im się zdawać nieomyślne, a mimo to zawieść je na błędną drogę, bo te uczucia nie mają nic wspólnego z prawdziwymi dążeniami duszy głębokiej, którym ulegają bezwiednie.

Melisanda została żoną Golauda. Dlaczego? Bo sprzyjały temu okoliczności zewnętrzne — potrzeba opieki i schroniska ze strony Melisandy, oraz jej nieznajomość nie zbudzonego jeszcze własnego serca, — uczucia Golauda, sprzeciwiające się właściwościom jego głębszej istoty wewnętrznej. Stąd niemożność ich wzajemnego zbliżenia. Czy skądinąd zbliżyła Melisandę i Pelleasa prawdziwa, głęboka łączność dusz, naprawdę nie wiemy. Ale los ich był im przeznaczony. Przeznaczenie poprowadziło Melisandę do miejsca, gdzie miała spotkać Golauda. Przeznaczenie również zatrzymało Pelleasa, który miał opuścić kraj na czas dłuższy, przed samem przybyciem Melisandy. I stało się, co się stać miało. Poglądy autora na życie wypowiada też wprost król Arkel. „Jestem bardzo stary — mówi on o małżeństwie Golauda z Melisandą, a jednak dotąd nie mogłem ani przez jedną chwilę widzieć jaśniej w sobie samym, jakże więc mógłbym sądzić czyny drugich?“

Toż samo w odpowiedzi, danej Pelleasowi, gdy ten, wybierając się w podróż, prosi go o pozwolenie i radę: „Jeżeli sądzisz, że to z głębi twego życia podróż ta jest wymagana, to ci jej nie zabraniam, bo musisz wiedzieć lepiej odemnie, jakich wydarzeń powinienes dostarczyć sobie i swemu przeznaczeniu.“ Wreszcie tragiczna katastrofa, gdy Melisanda umiera, kończy się na sentencji Arkela: „Gdybym był Bogiem, miałbym litość nad sercem ludzkim.“

Miłość, która łączy dusze bez względu na warunki zewnętrzne bytu istot ludzkich i obowiązujące reguły moralne, a nawet wbrew ich powierzchownym uczuciom, nie powoduje się też przy-

tem dusz tych przymiotami, bo „musi być coś więcej niepojętego i potężniejszego zarazem, niż piękność duszy najpiękniejszej lub najpiękniejszej twarzy, kiedy trzeba mu być posłusznym.“ Tak się dzieje w wypadku Palomidesa i Alladyny („Alladine et Palomides“). Palomides jest narzeczonym córki króla Ablamora, Astolainy, istoty wyjątkowej, promieniejącej, jak zorza, „której dusza, widoczna wkoło niej, bierze nas na ręce, jak cierpiące dziecko i, nic nie mówiąc, koi wszystkie troski.“ A jednak Palomides przekłada nad nią grecką niewolnicę Alladynę, która ma duszę biednego, nieświadomego dziecka, a pięknnością ciała równać się jej nie może.

Na rozkaz króla Ablamora kochankowie zostają wrzuceni do ciemnej pieczary, która, dzięki złudzeniom ich miłosnych uniesień, wydaje im się miejscem czarodziejskiem, strojnem w kwiaty i drogie kamienie, aż do chwili, gdy promień światła daje im poznać całą nagą okropność ich położenia. I oboje nie mogą przeżyć swego krótkotrwałego, ułudnego szczęścia.

Z pośród tych utworów dramatycznych, poświęconych łączności dusz w miłości, poza obrębem zwyczajnych warunków zewnętrznych, „Aglavaine et Selysette“ wyróżnia się i odróżnia szczególnie. Rzecz ta jest napisana na innych zasadach estetycznych, niż przeważna część dzieł Maeterlincka. Anegdota i akcja jest tu o wiele więcej zredukowana, prawie nie istnieje, ale niema też tych powtarzań, niedopowiedzeń, zdań urywanych, wykrzykników, którymi autor posługuje się zwykle dla wyrażenia tajemnicy, strachu, przeznaczenia i t. p. Za to idea rozwija się w dłuższych dyalogach, wypowiadających całą myśl bezpośrednio i sięga w ten sposób wyższych szczytów, pomimo drażliwej i nie mającej w sobie nic idealnego sytuacji, przedstawiającej miłość we troje. Méleander, mąż serdecznej, impulsywnej, nieco dziecinnej Selysetty, którą kocha, kocha także idealną, szlachetną, wzniosłą Aglavainę. Ale Selysetta, dusza, nie zwolniona jeszcze od ziemskich przesądów uczuciowych i nie umiejąca dostroić się do obyczajów, panujących w wyższych sferach ducha, jest zazdresną. To nie przeszkadza jej jednak kochać i podziwiać Aglavainy. Ale jest nieszczęśliwą, żyć dalej w tych warunkach nie może i wie, że jedna z nich musi ustąpić. Więc się poświęca i sama ustępuje, rzucając się ze szczytu starej wieży w takich warunkach, by myślano, że spadła przypadkiem.

A oto jak określa Aglavainę Méleander: „Nie jest podobną do innych kobiet... Jest to inna piękność... piękność dziwniejsza, więcej duchowa, więcej zmienna, liczniejsza, że tak powiem; pięk-

ność, która ujawnia duszę, nigdy jej nie przerywając. Jest ona jedną z tych istot, które potrafią połączyć dusze z ich źródłem; w jej obecności nie czuje się już nic, co by nas odgradzało od prawdy.“ Aglavaine pisze do Meleandra, oznajmiając o swym przyjeździe: „... Widziałam Cię raz tylko lat temu trzy, a jednak, idąc do Ciebie, odczuwam mniej niepokoju, jak gdybyśmy dziećmi spali w jednej kołysce... .. Teraz nie będziemy mieli innej troski, prócz troski o szczęście. A dla Ciebie, dla mnie, dla Selysetty także, sądząc z tego, coś mi o niej mówił, szczęście znajduje się w tem tylko, co mamy najlepszego w duszy. Nie będziemy mieli innych trosk, jak tylko troskę o pozyskanie możliwie największej sumy piękności, abyśmy mogli wszyscy troje więcej się kochać. Kochając się, staniemy się dobrzy. I włożymy tyle piękna w siebie i wkoło nas, że nie będzie już miejsca dla nieszczęścia i smutku. A jeżeli, mimo wszystko, zechcą nas nawiedzić muszą stać się piękni, nim do drzwi naszych ośmielą się zapukać...“ Aglavaine i Meleander są szlachetni. W miłości, która łączyła ich zawsze, gdy się jeszcze nie znali, poszukują oni tylko urzeczywistnienia piękna, równie zewnętrznego, jak przedewszystkiem piękna duszy. Są to istoty wyższe, tylko tak świadome swej doskonałości, że to odbiera im jedną z pierwszych ozdób duszy, bez której przy najświetniejszych przymiotach jej piękno nie ma wdzięku, mianowicie skromność. Wiedzą oni wszystko, ale jednego zdają się nie wiedzieć, a przynajmniej do czasu się tego nie domyślają, że w stosunkach ludzkich miłość we troje nie może godzić się ze szczerością, dobrocią i szlachetnością, czyli wogóle z tem pięknem duszy, które, według nich, jest istotnym celem i szczytem miłości; że musi ona być fałszem, hypokryzyą lub cynizmem, a nadto okrucieństwem, bo jedno z trojga musi być poświęcone, musi cierpieć. I tak też jest w ich wypadku. Miłość ich się nie ukrywa, bo w ich przekonaniu jest nietylko uprawnioną, lecz szczytną. Ale Selysette, natura prosta, naiwna, nieświadoma własnych przymiotów i przekonana o swej niższości, cierpi. W istocie rozumie ona lepiej instyktownie to, o czem tamci, przy swej doskonałości, zapomnieli, ale cierpienie swe przypisuje tylko sobie samej i dlatego postanawia ustąpić z drogi szczęścia, jako mniej godna. Meleander i Aglavaine widzą, że Selysette cierpi, ale przypisują to również jej nierozumieniu i w swym egoizmie znajdują na to łatwą radę: Selysette ma duszę piękną, tylko ukrytą—trzeba ją zbudzić, udoskonalić, podnieść do swego poziomu, wtedy i ona będzie mogła podzielać ich szczęście. I nie wątpią, że będą w stanie tego doko-

nać. Gdy nareszcie przekonywują się, że są w błędzie, jest już za późno. Niestety, które sami niebacznie sprowadzili, weszło do ich domu i nic go już nie powstrzyma w dokonaniu swego dzieła.

Zobaczymy, jak wyraża się miłość Meleandra i Aglavainy:

Meleander — Niema tygodnia od czasu, jak żyjemy razem pod tym dachem, a już nie mogę sobie wyobrazić, że nie zrodziliśmy się w jednej kolebce. Wydaje mi się, że nigdy nie byliśmy rozłączeni i że cię znałem dawniej, niż siebie samego. Widzę cię wcześniejszą od wszystkiego, czem sam jestem, czuję twą duszę lepiej, niż własną, jesteś mi bliższą, niż wszystko, co stanowi moją istotę, i gdyby mi powiedziano „trzeba, byś ratował swe życie,“ to twoje życie musiałbym ratować, bym mógł żyć... Nie widziałbym siebie, gdybyś tu nie była, i nie odnajduję już siebie, nie uśmiecham się sobie i nie mogę kochać siebie samego, jak tylko w tobie. Wydaje mi się nieraz, że dusza moja, że moja istota wraz ze wszystkim, co posiadają, zmieniły zamieszkanie i że to część mnie samego, która nie jest z tego świata, całuję wtedy z płaczem, gdy cię tak całuję...

Aglavaine — Ja mówię to samo, Meleandrze. Gdy całuję ciebie, zdaje mi się, że siebie samą całuję, kiedy będę piękniejszą... Jestem piękną tylko, gdy jesteś przy mnie, i słyszę mą duszę tylko obok twojej. Szukam siebie poza sobą i odnajduję się w tobie; szukam ciebie poza mną i odnajduję cię we mnie... Nie rozróżniam już naszych rąk, naszych dusz, ani naszych warg i nie wiem już napewno, czy to ty jesteś mą jasnością, czy też ja staję się twym światłem?... Wszystko miesza się tak w naszych istotach, że niepodobna powiedzieć, gdzie jedno z nas się zaczyna i gdzie kończy się drugie... Najdrobniejsze twoje poruszenie objawia mię mnie samej. Każdy twój uśmiech, każde twoje milczenie, każde twoje słowo przywiązuje mię do nowego piękna... Czuję, że kwitnę w tobie, jak ty kwitniesz we mnie, i rodzimy się nieustannie jedno dla drugiego...

Meleander — Gdzieżeś była przez te wszystkie lata, kiedy żyliśmy, nie domyślając się wzajemnie, że oboje żyjemy?

Aglavaine — Myślałam też o tem Meleandrze, bo dusze nasze mówią do siebie, nim jeszcze otworzymy usta.

Meleander — A jednak, gdy do mnie mówisz, to głos mej duszy słyszę poraz pierwszy.

Aglavaine — I ja też, Meleandrze, moją duszę słyszę, gdy mówisz do mnie, a kiedy milczę, twojej słucham duszy... Nie mogę już znaleźć mojej bez twojej napotkania, nie mogę twojej szukać, bym jednocześnie nie znalazła mojej.

Meleander — Mamy w sobie ten sam świat, Aglavaino... Bóg pomylił się chyba, czyniąc dwie dusze z naszej duszy... Nie sądzę, by trafiło się komu, co nas spotkało, i by były inne życia, podobne do naszego.

Aglavaine — O! ja myślę czasem, że to niemożliwe!

Meleander — I ja również, Aglavaino, i obawiam się.

Aglavaine — I czegoż się boisz?... Odnależliśmy się, więc czego jeszcze można się obawiać?

Meleander — Właśnie to, kiedy się jest szczęśliwym, lękać się należy... Niema nic groźniejszego nad szczęście i każdy pocałunek może zbudzić wroga. Ale jest jeszcze co innego... Czy pomyślałaś o Selysetce?

Aglavaine — Tak.

Meleander — I to cię nie trwoży?

Aglavaine — Nie, Meleandrze, to mię już nie trwoży. Czyż nie mogę cię kochać, jak brata?

Meleander — Ale jeżeli ona będzie płakała?

Aglavaine — Nie będzie długo płakała, jeżeli wzniesie się z nami do tej miłości, która drobnostek miłości nie zna? Ona jest piękniejszą, niżeli sądzisz Meleandrze, podamy jej rękę i dosięgnie nas. A gdy znajdzie się przy nas, nie będzie już płakała i błogosławić nas będzie za łzy wylane, bo są łzy więcej dobroczynne, niż pocałunki.

Meleander — Czy myślisz, że ja będę mógł cię kochać, jak siostrę, Aglavaino?

Aglavaine — Ach...

Meleander — Czy sądzisz, że ty będziesz mogła mię kochać, jak brata, Aglavaino?

Aglavaine — Kiedy mię o to pytasz, to już nie wiem, Meleandrze.

Meleander — Nie mogę w to uwierzyć. Będziemy walczyli dzień i noc, będziemy długo walczyli... I im dłużej trwać będzie ta walka, tem większe wzniesie się między nami pożądanie, które, jak coraz gęstsza zasłona, rozdzieli nasze dusze. I, co najlepsze, umrze w nas samych, z powodu tego pożądania. Wydaje się, że w gruncie tego wszystkiego jest tylko drobnostka, ale ta drobnostka ma, być może, moc odsunięcia raz na zawsze dwóch dusz od ich doskonałego piękna. Czyż wszystko, gwiazdy i kwiaty, ranki i wieczory, myśli i łzy nie przemieniają się, stosownie do danego sobie wzajemnie pocałunku? Czy noc ma tę samą głębię w oczach siostry, co w oczach kochanki? Nie zamykajmy drzwi najpiękniejszym prawdom, Aglavaino. Całe światło naszych dusz

rozbije się o takie małe kłamstwo. Nie jesteś moją siostrą, Aglavaino, i nie będę mógł kochać cię, jak siostrę.

Aglavaine — Prawda, że nie jesteś moim bratem, Meleandrze, ale dlatego też zapewne musimy cierpieć.

Meleander — A więc i ty lubisz niepotrzebne cierpienia?

Aglavaine — Nie, Meleandrze, lubię tylko te cierpienia, które mogę odjąć drugim.

Meleander — Ale jakie cierpienia możemy tu odjąć drugim, bez zabicia najlepszej cząstki nas samych?

Aglavaine — Tego nie wiemy jeszcze, Meleandrze, ale musimy tak postępować, jak gdybyśmy wiedzieli, a jeżeli mamy się pomylić, to lepiej pomylić się na swoją szkodę.

Meleander — Wiem o tem, Aglavaino, ale co robić?

Aglavaine — Przeznaczenie zbliżyło nas, Meleandrze, poznaliśmy się, jak dwie dusze może nigdy jeszcze się nie poznały. Kochamy się; i nic na świecie nie może już sprawić, bym cię nie kochała, abyś ty mię nie kochał.

Meleander — Wierzę w to tak samo, jak ty, Aglavaino. Nie widzę nic na świecie...

Aglavaine — A jednak, gdybym była przyczyną łez istoty niewinnej, czy poznałbyś mię?

Meleander — Może płakać tylko wskutek pomyłki.

Aglavaine — Łzy, które się mylą, są też bolesne...

Meleander — A więc nie pozostawałoby nam, jak tylko uciekać od siebie, Aglavaino, ale to jest niemożliwe! Tak piękna rzecz nie zrodziła się, by umrzeć, i musimy mieć względem siebie obowiązki.

Aglavaine — I ja tak myślę, Meleandrze, i sądzę, że mamy coś lepszego do zrobienia, niż uciekać od siebie. Nie mogę sobie wyobrazić, by się to miało skończyć we łzach...

Meleander — Nie wiadomo, co jest przeznaczone, ale pewnem jest, że łzy nie dały nigdy długo na siebie czekać.

Aglavaine — Tymczasem trzeba, by ktoś cierpiał, trzeba, by cierpienie przypadło nam. Są tysiące obowiązków, Meleandrze, ale sądzę, że rzadko kiedy można się pomylić, jeśli się stara odjąć cierpienia słabszym, by przenieść je na siebie.

Meleander — Jesteś piękna, Aglavaino!

Aglavaine — Kocham cię, Meleandrze (obejmują się).

Meleander — Czy to ty płaczesz, Aglavaino?

Aglavaine — Nie, to my, Meleandrze.

Meleander — Czy to my też drżymy?

Aglavaine — Tak... (całują się).

Sceny tej wysłuchała Selysette, ukryta w zaroślach parku, i wtedy to powzięła ostateczne postanowienie nie zagrażać im swoją osobą szczęścia, dla niej już w każdym razie na zawsze utraconego. Tutaj zaznacza się różnica, jaka zachodzi pomiędzy teoretyczną szlachetnością wzniosłej Aglavainy, a szlachetnością naturalną i nieświadomą siebie prostodusznej Selysetty; szlachetnością, której zresztą nie widzimy w samym fakcie jej ustąpienia i samobójstwa, lecz w tej subtelnie delikatnej trosce o ukrycie swego poświęcenia przed tymi, dla których go dopełnia, by wspomnieniem swej krzywdy nie zatrucić ich przyszłego szczęścia. Ale zmylił ją co do tego instynkt jej serca, bo poświęcenie, przechodzące miarę, staje się ciężarem nie do zniesienia dla tych właśnie, którzy zeń mieli korzystać, choćby nawet cała jego doniosłość nie była im znaną, i niepodobna przypuścić, by odtąd szczęściu Meleandra i Aglavainy, nareszcie zwolnionemu od wszelkich przeszkód, nie stanęło raz na zawsze w poprzek bolesne widmo jej niewinnej śmierci.

Z tem wszystkiem „Aglavaine et Selysette,“ jeżeli zewnątrz nie wyodrębnia się w twórczości autora, to swą treścią wewnętrzną należy do tego samego rodzaju koncepcyi, jaki cechuje ogół dzieł jego. Łączność dusz, przeznaczonych sobie, ich nieświadome porozumiewanie się w milczeniu i na odległość, koncepcya miłości integralnej, piękno obok prawdy, jako najwyższy pierwiastek moralny, zawierający w sobie pojęcie dobroci, poświęcenia i t. p. — oto przedmiot tego utworu.

Ale wśród dzieł Maeterlincka jest jedno, które swym charakterem wychodzi zupełnie poza obręb wszystkich jego teoryi mistycznych. Dziełem tem jest „Monna Vanna,“ dramat, którego bohaterowie nie są już emanacyami medyków, pogrążonych w transie medyuncyjnym, lecz ludźmi z ich naturalnymi właściwościami charakteru i namiętnościami, będącymi prawdziwym bodźcem ich czynów. Podlegają oni prawom psychologii zwyczajnej w znaczeniu klasycznym, której autor w swoim czasie zaprzeczył wszelkiej doniosłości. Bo też „Monna Vanna“ jest wynikiem, zresztą wyjątkowym w jego twórczości, ewolucyi w ideach i zwrotu do poglądów realniejszych na życie, zaznaczonych w części w przedmowie do nowego wydania swego Teatru w „La Sagesse et la Destinée,“ w „Le Temple enseveli“ i w „La Vie des Abeilles,“ gdy mówi o swym mistycyzmie (wyrażonym zwłaszcza w „Le Trésor des Humbles“), od którego zresztą te rozprawy bynajmniej wolne nie są, że „nie jest bezrozumem, ale też niezbyt zdrowem zapatrywać się w ten sposób na życie.“ „Nie trzeba nadużywać

tajemnicy, wzywać jej i zamykać się w milczeniu, które jej towarzyszy, z wyjątkiem chwil, gdy jej obecność daje się istotnie odczuć, jest uderzającą i niewątpliwą, a to się trafia nader rzadko.“ Mało jest między nami takich, nawet wśród największych zwolenników mistycyzmu, którzyby nie byli przekonani, że nieszczęścia moralne, które nas spotykają, zależą w gruncie od naszego umysłu i od naszego charakteru; zaś nieszczęścia fizyczne— od działania pewnych sił, przeważnie mało znanych, które nie są zupełnie obce temu, co możemy mieć nadzieję poznać kiedyś w naturze...“ Prawdą jest, że życie nasze jest niczem, że wysiłki, na które się zdobywamy, są śmieszne, że istnienie naszej planety jest tylko drobnym wypadkiem w historii światów, ale prawdą jest również, że życie nasze i nasza planeta, to zjawiska w historii światów dla nas najważniejsze.“

Zdania te, wraz z przytoczonymi już poprzednio, dowodzą, że jeżeli autor nie wyrzekł się zupełnie swego mistycyzmu, to przynajmniej znalazł sposób pogodzenia go o tyle, o ile z rzeczywistością życia naszego na tej ziemi, które, cokolwiek o niem naszym ograniczonym umysłem sądzić możemy, jest faktem dla nas niewątpliwym.

Dramat „Monna Vanna“ nie ma też żadnego podobieństwa z jego mistyczno-fantastycznym Teatrem dla maryonetek, gdzie „Przeznaczenie,“ „Strach,“ „Dusza głęboka“ i wogóle tajemnica, otaczająca zewsząd i przenikająca wszędzie byt człowieka, występuje bezpośrednio, jako przedmiot główny. Rozgrywa się on na gruncie i w warunkach, nie przekraczających granic naszych pojęć i sądów zwyczajnych, tylko nieprawdopodobieństwo w podstawie intrygi świadczy, że autor nie zwykł krępować się zbyt znacznie względami na możliwość lub niemożliwość przy tworzeniu sytuacji dramatycznych. Wojska florenckie, pod dowództwem kondotiera Prinzivallo oblegają Pizę. Miasto jest już zupełnie wyczerpane—nie posiada ani żywności, ani amunicji i w szturmie, do którego gotuje się nieprzyjaciel, uledek musi i stać się pastwą zniechęconej Florencji. W chwili, gdy pozostaje już tylko oczekiwać z rezygnacją ostatecznej katastrofy, jeden z najznakomitszych patrycyuszów miasta, Marco, otrzymuje niespodziewaną i szczególną wiadomość—oto Prinzivallo ofiaruje się nie tylko zaniechać szturmowi, ale nawet dostarczyć Pizie środków zwyciężenia Florencji, pod jednym tylko warunkiem, mianowicie, że słynna z piękności synowa Marca, żona Guida, przyjdzie sama i naga do obozu Prinzivallo i spędzi z nim noc jedną, poczem zostanie natychmiast zwróconą mężowi. Warunek jest niezmiernie upoka-

rzający dla godności miasta i wymaga niezwykłego poświęcenia ze strony męża i rodziny zakładnicy. Ale wobec położenia zupełnie rozpaczliwego, w jakim znajduje się Piza, i świetnych widoków, jakie w ten sposób dadzą się uzyskać, sam Marco radzi go przyjąć. Tak też zostaje postanowionem i Monna, drżąca z obawy, idzie oddać się okrutnemu zwycięzcy. Ale ten przyjmuje ją ze wszystkimi należnymi jej stanowisku względami. I w ciągu tej nocy przypomina jej dawne czasy, gdy dzieckiem jeszcze ją kochał. Teraz wezwał ją tylko, by jej wyznać swą miłość i gotów jest dla niej przejść na stronę Pizy, pomimo niebezpieczeństwa, jakie mu grozi od zemsty Guida.

Tymczasem zapasy żywności i amunicji, wysłane przez Prinziwalla, przybywają do miasta. Radość, z jaką mieszkańcy przyjmują swe wyzwolenie, daje się słyszeć w obozie. Światła zajaśniały na szczytach wież, życie zbudziło się naraz, jak pod działaniem różdżki czarodziejskiej, w mieście, które przed chwilą gotowało się na śmierć. Monna Vanna czuje się dumną i szczęśliwą, że jej to wszystko zawdzięczają rodacy i wdzięczna też jest temu, który jej dał tak piękny dowód miłości. O świcie Monna powraca do miasta w towarzystwie Prinziwalla. Naród wita ją z zapałem, jak zbawczynię. Ale pomimo świadectwa Monny, że Prinziwalla cześć jej oszczędził, zostaje on, na żądanie Guida, wtrąconym do więzienia. Monna uzyskuje tylko, ze względu na swe zasługi, że więzień zostanie powierzony jej pieczy, co pozwoli jej ustrzedz go od możliwego zabójstwa.

Przy całym nieprawdopodobieństwie tej historii, mamy tu już tylko, w warunkach zapewne niecodziennych, naturalny w stosunkach ludzkich konflikt obowiązku prywatnego z obowiązkiem publicznym, w wypadku Marca i Guida, oraz grę właściwych ludzkiej naturze uczuć i namiętności. Widziny więc plebs, który nie czuje swego poniżenia z chwilą, gdy jest pewnym zaspokojenia swych potrzeb materialnych; egoizm Guida, trawionego pragnieniem zemsty; stopniowa przemiana uczuć Monny dla Prinziwalla, radość i duma z odniesionego nad zwycięzcą tryumfu i wyzwolenia swego miasta od zguby. Co zaś do postąpienia Prinziwalla, to jego nieprawdopodobna nielogiczność tłómaczy się jedynie fantazją autora. Dlaczego Prinziwalla, będąc zwycięzcą, oddał się na łaskę i niełaskę zwyciężonych i obrażonych, o których zemście nie mógł wątpić, kiedy o względy Monny Vanny mógł się być starać po zdobyciu miasta i ofiarować temuż te same korzyści, nie czyniąc z siebie całkiem niepotrzebnej ofiary? Zapewne miał

to być z jego strony dowód szczeroci uczuć i sposób zdobycia sobie wzajemności Monny, ale poco, kiedy w tych warunkach jej wzajemność musiała być bezcelową?

Prawdziwą myśl przewodnią tego dramatu znajdujemy w tych słowach Marca, zwróconych do Guida: „Teraz, gdy miasto jest ocalone, żałujemy prawie tego ocalenia, które tak drogo ciebie kosztowało. I schylamy głowę przed tym, który sam jeden poniośł niesłusznie cały tego ciężar. A jednakże, gdyby wczoraj mogło powrócić, musiałbym jeszcze postąpić, jakem postąpił, wyznaczyć te same ofiary i przyczynić się do tej samej niesprawiedliwości. Bo człowiek, któryby chciał być sprawiedliwym, strawiłby życie na smutnym wyborze pomiędzy dwiema lub trzema nierównymi niesprawiedliwościami.“

Po napisaniu „Monny Vanny“ Maeterlinck powraca znowu do swego świata tajemnicy.

Pominawszy kilka utworów czystej fantazyi, przeznaczonych dla opery i zresztą dawniejszych, niż „Monna Vanna,“ jak „Les Sept Princesses,“ „Ariane et Barbe-Bleue“ i t. p., ostatniem jego dziełem scenicznem jest „L'Oiseau bleu,“ feerya, którą w tym roku podziwiano w teatrze Réjane w Paryżu. „L'Oiseau bleu“ jest rodzajem uscenizowanej bajki czarodziejskiej, ale nie pozbawionej znaczenia filozoficznego i pełnej alluzyi do idei mistycznych autora, z tą różnicą względnie do utworów dawniejszych, że prowadzi wprost, wprawdzie tylko we śnie dwojga dzieci, do krain zaświatowych.

Pozwala on tym razem swej fantazyi nadać formy widzialne tajemnicy, która otacza krótką chwilę naszego ziemskiego bytu. Niebieski ptak, to symbol szczęścia, które stać się może naszym udziałem o tyle tylko, o ile posiadziemy znajomość świata i samych siebie, dzięki czemu będziemy mogli poznać piękno wszechrzeczy. Posiadać niebieskiego ptaka, znaczy to być panem natury i swego przeznaczenia, ale ani go znaleźć, ani schwytać go nie łatwo. Dzięki magicznemu dyamentowi, który im dała wieszczka, i pod kierunkiem Światła, które z jej rozkazu je prowadzi, dzieci drwala Tyła odbywają w tym celu podróż do sfer pozaziemskich.

Idą więc naprzód do krainy Wspomnień, gdzie przebywają dusze zmarłych, pogrążone we śnie, z którego budzą się każdym razem, gdy kto o nich pomyśli na ziemi. Tu odwiedzają swych dziadków, zamieszkujących taką samą chatę, jak ta, którą mieli za życia. U nich to spostrzegają w klatce niebieskiego ptaka.

Niestety nie jest to prawdziwy ptak niebieski, bo gdy go dotknąć, zmienia barwę i staje się szarym. W strasznym pałacu Nocy, gdzie światło niema wstępu, i dokąd dzieci Tyla udać się musiały bez tego cudnego przewodnika, udało im się go schwytać. Ale i ten okazał się nieprawdziwym, bo za dotknięciem natychmiast żyć przestał. Po zwiedzeniu królestwa Przyszłości, zamieszkane-go przez dzieci, które dopiero mają się narodzić, oraz ogrodów szczęścia, dzieci Tyla powracają na ziemię i wtedy dopiero widzą, że ptak niebieski, którego szukały tak daleko, jest tu, w klatce z łożyny, zawieszonej w ojcowskiej chałupce. Bo naprawdę niebieski ptak znajduje się zawsze w naszym najbliższym otoczeniu lub właściwie w nas samych. Trzeba tylko umieć go dostrzedz i wyobrazić jego barwę i oto czego dowiedziały się dzieci Tyla w swej pozaziemskiej wycieczce.

Poza swą twórczością dramatyczną i rozprawami na tematy mistyczno-filozoficzne,¹⁾ Maeterlinck jest autorem poezyi, od których rozpoczął swą karierę literacką. Poezycy te p. t. „Serres chaudes“ stanowią, wraz z dołączonymi później *Quinze Chansons*, tom oddzielny.

„Serres chaudes“ to zbiór wierszów dziwacznych, złożonych bez żadnej reguły i bez logicznego związku ze sobą, które swą osobliwą niezrozumiałością, a nawet wprost brakiem wszelkiego sensu, wywołały w swoim czasie, t. j. w okresie tak zwanego dekadentyzmu, ogólne zgorzenie, podobnie jak głośny wówczas utwór J. K. Huysmansa „*A Rebours*.“

Co znaczy ta cieplarnia, te głodne księżniczki, marynarze na pustyni, strzelec łosiów, który został dozorcą chorych i t. d.? Zapewne trudno by się tego domyślić. Odtąd, poznawszy idee autora, który zresztą odrzekł się tych pierwszych prób, jako twórców wyobraźni chorobliwej, wiemy, że to wszystko ma wyrażać śmiertelną nudę i bezgraniczne zniechęcenie duszy, zamkniętej, jak w cieplarni, w sztucznej atmosferze współczesnych warunków bytu moralnego, wynikłych z ducha negacyi i materyalizmu.

Chaotyczność wywołanych tu obrazów przedstawiać ma nieład w objawach i stosunkach życiowych, jak się one zwłaszcza ukazują tej duszy chorej poprzez szyby cieplarniane. Więc białe pawie nudy odleciały do stawu bez słońca, więc żółte psy grzechów i hyeny nienawiści krążą wokoło leżących lwów miłości,

¹⁾ W tej liczbie tłumaczenia: „*L'Ornement des noccs spirituelles de Ruysbroeck l'admirable*“ i „*Les Disciples à Saïts et les fragments de Novalis*.“

przed którymi pomykają owce pokus. I z pośród palm leniwych i nenufarów i ciężkich, odurzających woni dusza, zmęczona i bezsilna, spragniona świeżego tchnienia prawdy, choćby ta była przykrą, woła daremnie o zmiłowanie:

Boże, mój Boże! Kiedyż będziemy mieli deszcz
I śnieg i wiatr w cieplarni...!

Od tych majaczeń cieplarnianych Maeterlincka do jego obserwacji nad życiem pszczół i wynikłych stąd realniejszych poglądów na życie odległość jest duża.

ORWID.

Podstawy etyki Schopenhauera.

III.

Brak jednolitej definicyi charakteru i sprowadzenie do wspólnego mianownika tak różnych rzeczy, jak intelligibilność i empirya, wywołało wiele zasadniczych sprzeczności, zaciemniających prawdziwy sens zagadnienia.

Podług Schopenhauera w charakterze ludzkim należy odróżnić aż trzy stopnie objektywacyi Woli:

- 1) charakter intelligibilny, albo idea charakteru danej jednostki, posiadająca indywidualne cechy w czystej formie;
- 2) charakter empiryczny istotny;
- 3) charakter empiryczny nie objawiający się dzięki zewnętrznym okolicznościom w swej właściwej postaci, dedukowany z czynów jednostki.

Gdyby Schopenhauer w konsekwencyi do swej metafizyki, uznającej wolę za uniwersalną istotę wszechrzeczy, ogłosił charakter poprostu za jej zjawisko, to wszystkie czyny ludzkie mogłyby być tylko dobre lub tylko złe, albo wreszcie zupełnie indyferentne, i etyka we wszystkich trzech ewentualnościach stałaby się niemożliwą i zbyteczną. Pogląd ten, a raczej przesłanki do jego wysnućia, rzeczywiście znajdujemy w IV księdze „Welt als Wille und Vorstellung,“ w § 63, traktującym o wiecznej sprawiedliwości. ¹⁾

¹⁾ 1, str. 452.

Płytkie umysły, niezdolne do przeniknięcia zasłony principium individuationis, przy postrzeganiu świata nie widzą jego istoty, lecz luźne, różnorodne, a nawet sprzeczne z sobą zjawiska. Dla nich rozkosz i cierpienie, zło i dobro, morderca i ofiara mordu są rzeczami zupełnie sprzecznymi. Umysły takie sądzą, iż w życiu rzeczywiście źli ludzie tryumfują i cieszą się powodzeniem, dobrzy zaś pędzą swój żywot wśród cierpień aż do śmierci.

Zupełnie inaczej jednak przedstawia się świat tym, którzy przy pomocy intuicyjnego poznania umieją dotrzeć do wewnętrznej, ukrytej istoty rzeczy; dla nich jest jasnym, że dręczyciel i dręczony to jedno, że wszelkie nierówności i przeciwieństwa istnieją tylko w zjawiskach, nie dotykając Rzeczy w sobie.

Dla ratowania etyki od śmierci, jaką jej gotują powyższe poglądy, nasz filozof wypowiada przekonanie, że obok potężnego, powszechnego egoizmu musi istnieć pewna ilość *istotnie* moralnych charakterów; są one konieczne, bo stanowią *conditio sine qua non* istnienia moralności i naukowej etyki. Kto tej konieczności nie uznaje, Schopenhauer nie zamierza go przekonywać i zwraca się jedynie do tych, którzy podzielają jego przekonanie.¹⁾ Uznając obok egoistycznych, niemoralnych, *istotnie moralne* charaktery, należało także uznać różnice *istotne*, t. j. tkwiące głębiej, niż w zjawiskach, co Schopenhauer rzeczywiście czyni w „Paragrach“ i rażącą sprzeczność z kardynalnymi podstawami swego systemu, przez to powstałą, usiłuje zatuszować naiwnem przyznaniem się do niemocy²⁾, co również przeczy jego poglądom na filozofię wogóle i na swoją w szczególności.³⁾

Abstrahując od tych ciągłych, wzajemnie się znoszących sprzeczności, widzimy, iż świat pozaempiryczny został zupełnie wyraźnie podzielony na dwie odrębne połowy: w pierwszej króluje jedna, niezmienna Wola, w drugiej — intelligibilny charakter zjawisk, czyli idee, przez które Wola drogą wolnego aktu koniecznie przejść musi, przyjmując na siebie czystą, zindywidualizowaną postać i dopiero w formie zjawiska wystąpić w świecie empirycznym. Wielość idei jest istotną, — jak jednak to przejście z absolutnej jedności w różnorodność jest możliwe, i w jaki sposób mogą w intelligibilnym świecie odbywać się akty woli lub

¹⁾ III, str. 585. ²⁾ V, str. 233—234.

³⁾ Wykazanie zasadniczych sprzeczności całego systemu wogóle p. t. „Rozbiór krytyczny podstaw zasadniczych filozofii Sch.“ przez S. Smulikowskiego, Warszawa, 1881.

wyboru, chociażby wolne i bez dostatecznej racyi, nie jesteśmy w stanie zrozumieć, bo autor tej koncepcyi nic nie mówi, nic nie mówi także sama nazwa tego procesu, a Wola, jedyne miarodajne źródło, najwyraźniej neguje świat idei, będący wielością poza zjawiskiem. Świat ten jednak był dla Schopenhauera konieczny i najbardziej potrzebny jego etyce, która, nie przypisując realnego bytu istniejącym w świecie różnicom, tem samem podpisałaby wyrok śmierci na siebie. Nie architektoniczno-logiczne,¹⁾ lecz etyczne względy skłoniły go do przyjęcia świata idei, tak sprzecznego z fundamentalnymi założeniami całego systemu. Gdyby chodziło o „zbliżenie woli do zjawiska,“ idee mogłyby wcale nie istnieć, bo zbliżenie to jest zbyteczne i bez niego nie ucierpiałyby ani Wola, ani świat empiryczny.

Drugi stopień objektywacyi Woli: charakter empiryczny, jako niezmiennie zjawisko niezmiennej istoty, nie mógł być ostatnim, ponieważ zachodzące w nim zmiany były zbyt widoczne, aby je można było negować, nie tracąc związku z realnem życiem. Uznając niezmiennosc charakteru, należało wprowadzić jeszcze jedno pojęcie charakteru empirycznego, objawiającego się w czynach, nie zawsze odpowiadającego indywidualnym popędem woli.

W ten sposób zamiast prostego i przejrzystego przedstawienia rzeczy, do jakiego nauka zawsze dążyć powinna, mamy wymuszoną, nienaturalną kombinacyę pojęć, która, chcąc zachować z pozostałą częścią systemu choćby powierzchowny związek, musi stać się sprzeczną i dziwaczną.

Rozważając charakter ludzki, należy bezwarunkowo zerwać z metafizyczno-spekulacyjną metodą i przenieść go na konkretny teren empiryi. Czy mamy go uważać za wrodzony i z niego wyprowadzać czyny, czy też odwrotnie: z czynów dedukować charakter i uważać go za pojęcie bez realnego substratu²⁾—dla etyki jest to zagadnienie dość obojętne, natomiast niezmiernie ważną rzeczą, decydującą o jej istnieniu, jest kwestya niezmiennosci charakteru.

Charakterem ludzkim — w najogólniejszem sformułowaniu — nazywamy sposób reagowania świadomości na bodźce otoczenia i świata wewnętrznego. Jest on pierwotnie wrodzony, później-

¹⁾ Jak chce Volkelt w swej monografii o Schopenhauerze. Rozdział „Die Objektivation des Willens,“ Str. 177—191.

²⁾ Georg Simmel: „Einleitung in die Moralwissenschaft“ t. I, str. 268, 282.

sze jednak ukształtowanie zależy od środowiska, w jakim się rozwija. Wykonywanie lub wyobrażanie czynności sprzecznych z wrodzonymi popędami pozostawia po sobie tendencję do ich dalszego wykonywania, która z biegiem czasu zamienia się w stałą dyspozycję woli. Uznaje to psychologia, uznaje w całej rozciągłości i pedagogia współczesna, która w przeciwstawieniu do średniowiecza nie odstrasza od grzechów, lecz mówi i zachęca do cnoty, bo potępienie złego, o ile wyłącznie absorbuje świadomość wychowanków, przynosi ujemne skutki. „Usiłowanie zmierzające do ukształtowania charakteru przez innych lub drogą moralnego samodoskonalenia nie pozostaje nigdy bezowocnem. Z drugiej zaś strony najlepsze wrodzone skłonności nie dają rąkomi moralnego rozwoju, jeżeli ich nie wspomocze wychowanie.“¹⁾ Wychowanie zewnętrzne, pobudzające do czynów, nie jest bynajmniej obojętnem dla etyki—jak twierdził Schopenhauer—bo stwarza obiektywne, użyteczne dla innych dobra, a także jest nieodzownym warunkiem świadomego samo-wychowania, które posiada doniosłe moralne znaczenie.²⁾ Nie można go odrzucać dlatego, że ubliża godności ludzkiej, jako naśladowanie cudzych własności. Bezwzględne, ślepe naśladownictwo nie zasługuje na pochwałę, to prawda, ale tem więcej naganne jest uparte trwanie przy błędach i wadach, dlatego tylko, że są własne i z wolnej woli jeszcze przed narodzeniem wybrane. Schopenhauer między jednym a drugim nie widział różnicy i, sformułowałszy rzecz ze zwykłą sobie jednostronną krańcowością, zupełnie spaczył swój pogląd, który, przy głębszem rozważeniu, mógłby się stać zdrową i pożyteczną myślą.

Naśladowanie jest pierwotnym, głęboko tkwiącym instynktem, którego wykorzenienie byłoby niezmiernie trudne i szkodliwe, ponieważ w obu swych formach: jako ślepy instynkt i jako świadome, przemyślane naśladowanie cudzych czynności, oddaje człowiekowi wielkie usługi; ta ostatnia forma nie jest właściwie naśladowaniem, bo w niej postrzeżone zjawisko jest tylko bodźcem do samodzielnego procesu myślowego, który w swej konkluzji orzeka, że dany fakt ma być wykonany również i przez postrzegające indywiduum. Jeżeli przyjmujemy, że wykonywanie

¹⁾ D-r H. Schiller: „Handbuch der praktischen Pädagogik.“ 3 wydanie str. 125. Także G. Noth: „Die Willensfreiheit. Ztschr. für Philosophie u. phil. Kritik.“ Tom 128, r. 1906.

²⁾ Wundt: „Ethik,“ 3 wyd., 2 tom. str. 86.

czynów niezgodnych z pierwotnym charakterem osobnika, wywołuje dążenie do ich powtarzania, któremu już nie towarzyszy uczucie zewnętrznego przymusu, to — stosownie do podanej definicyi charakteru—stwierdzamy, że charakter ludzki jest zmienny; szersze lub węższe granice tej zmienności są już sprawą obojętną. Charakter, jako wyraz żyjących istot, nie może być stałą, skamieniałą substancją; jego wartość moralna polega nie na stosunku do świata intelligibilnego, lecz na zdolności do świadomego rozwoju i doskonalenia się w świecie empirycznym.

Niemożliwość odzyskania raz straconego honoru, istnienie sumienia, identyczność osobistości i znajomość ludzi mają świadczyć o niezmienności charakterów. ¹⁾ Argumenty te nie wytrzymują nawet najłżejszej krytyki.

Pierwszy argument zawiera w samym sobie zaprzeczenie: stracić honor może tylko ten, kto go posiadał, a więc człowiek honorowy; kto zaś jest honorowym, to, podług nauki o niezmienności charakteru, nie może się okazać niehonorowym. Rozważając ten sam argument obiektywnie, bez żadnych z góry powziętych założeń, dojdziemy również do niepomyślnego wniosku. Szumny frazes: „stracić honor“ nie oznacza nic więcej, jak popełnić czyn występny, stojący w sprzeczności z dotychczasowem życiem. Jeżeli sprzeczność ta była pozorna i wynikała tylko z braku okazji do złego, wtedy mamy do czynienia właściwie z niemoralnym osobnikiem, potrzebującym silnych antymotywów. Jeżeli jednak do spełnienia występku przyczynił się nie charakter sprawy, lecz fatalny zbieg okoliczności, któremu trudno było się oprzeć, to, o ile później nastąpiła ochronna reakcja, występki nie pozostawi po sobie szkodliwego śladu i może być bardzo skutecznym motywem przeciw popełnianiu go w przyszłości.

Argument powyższy jest więc teoretycznie fałszywy, a praktycznie — szkodliwy, bo wraz ze zbrodniarzami wyrzuca poza nawias społeczeństwa i dobre, w gruncie rzeczy niezepsute jednostki, zagraджа im wejście na drogę poprawy i skazuje na zupełną demoralizację. ²⁾

¹⁾ III, str. 429 — 430.

²⁾ Jakby pod adresem podobnych argumentów pisze Simmel: „Skoro ponad dotychczasową empiryą, dotyczącą niezmienności istoty ludzkiej, dążymy do jakiejś mistycznej, wiecznej podstawy tej istoty,—z jednej strony stajemy się ślepi na rzeczywiście zachodzące zmiany, z drugiej zaś — w niezliczonych wypadkach brak nam męstwa i radości do wywołania takowych,“ „Einleitung in die Moralwissenschaft,“ t. I, str. 274.

Co się tyczy sumienia, to głos jego może świadczyć również dobrze o niezmienności, jak i o zmienności. Wyrzuty sumienia występują wtedy, gdy człowiek zmienił sposób patrzenia na pewne zjawiska czyli sposób reagowania na nie, co jest identyczne ze zmianą charakteru. Bez tej zmiany byłby takim samym, jak w chwili czynu, a więc niezdolnym do skrucy. Głosu sumienia nie znali zatwardziali grzesznicy i święci, bo życie ich jest zautomatyzowane, wolne od walki motywów.

Inne argumenty, ¹⁾ czerpane częstokroć ze zwrotów potocznej mowy i przysłów ludowych, są tak słabe, że należy podziwiać lekkomyślność filozofa, który je używał.

Podkreślając ignorowanie oczywistych najprostszych faktów, musimy jednocześnie przyznać, że Schopenhauer, chcąc utrzymać swój pesymizm, nie mógł wybrać innej, wolnej od sprzeczności drogi. ²⁾

Determinizm, połączony z niezmiennością charakteru, obraca w niwecz cały gmach etyki lub robi z niej pozorną naukę, pozbawioną wewnętrznego związku z wiedzą i z życiem praktycznym.

Schopenhauer przyznawał otwarcie, że świadomość ludzką uważa za pole walki motywów bez żadnej czynnej roli — i pomimo to nazwał wolę wolną, nie w czynach wprawdzie, lecz w bycie, nie w *operari*, lecz w *esse*.

Jedną z najważniejszych, jeżeli nie jedyną zasługą jego w etyce jest bardzo trafne i jasne sformułowanie zagadnienia wolności woli; operując ściśle zdefiniowanymi pojęciami, przedstawił stronę empiryczną bez sprzeczności i przekonywująco, wyjąwszy parę mniej jasnych wyrażeń i wniosek ostateczny, nakładający na świadomość ludzką bez zastrzeżeń prawa fizycznej przyczynowości. Natomiast metafizyczne uzasadnienie wolności woli jest zupełnie chybione i należy bezwarunkowo do najslabszych fragmentów systemu.

¹⁾ III, str. 429 — 430.

²⁾ Zarzuty, stawiane Schopenhauerowi, że jest on niekonsekwentnym pesymistą, pochodzą stąd, że się nie odróżnia jego poglądów na życie doczesne (afirmacya Woli) i na egzystencję po zabiciu Woli. Niektórzy krytycy poświęcają tej właśnie materii całkowite rozprawy. Nie możemy im przyznać słuszności; tak samo pogładowi Salvati'ego („La Cultura“ № 6, r. 1909): „che alla filosofia di Schopenhauer con una certa buona volontà potesse per certi suoi lati essere affibiato l'attributo di „ottimistica,“ lo saperamo tutti.“ (?)

W jednakowych warunkach człowiek postępuje zawsze jednakowo—zdanie to jest podstawą niezmienności charakteru i determinizmu. Schopenhauer rozumiał je mechanicznie, t. zn.: znając charakter i działające nań motywy, można z całkowitą pewnością przepowiedzieć rezultat. Określony motyw, działając na pewną zindywidualizowaną wolę (charakter), musi wywoływać jeden i to tylko ten jeden skutek. Zjawiska nie posiadają żadnej samorzutności (aseitas), lecz występują wywołane przez przyczyny; skoro te są dane — skutki występują z koniecznością.

Rzeczywiście trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek bądź zjawisko, któreby mogło powstać bez przyczyn, lub takie przyczyny, któreby raz wywoływały skutek „a,” drugi raz zaś w tych samych warunkach skutek „b,“—lecz trudno także przyjąć twierdzenie Schopenhauera, że świadomość nasza jest tylko polem walki motywów, która się zawsze kończy jednakowo, jeżeli walczą jedne i te same motywy. Wiemy z własnego i cudzego doświadczenia dobrze, że w czasie takiej walki przypadkowe, nieprzewidziane skojarzenie wyobrażeń, nieco dłuższe zatrzymanie uwagi na pewnym obrazie i t. d., może dać zwycięstwo stronie słabszej. Oczywiście, że powyższe ewentualności nie powstają samorzutnie, lecz tkwią one tak głęboko w zagadkowej istocie, zwanej jaźnią ludzką, że ujęcie ich w zupełnie zamknięte koło skutków i mechanicznie działających przyczyn nie może zadowolić umysłu, uniejącego się dopatrzeć pewnych różnic między zjawiskami fizycznymi i psychicznymi.

Wiadomo, iż Schopenhauer nie lubił pośrednich stanowisk i wybierał raczej poglądy proste, krańcowe, chociażby jednostronne i sprzeczne. Przystępując do wolności woli, widział tylko dwa wyjścia: sympatyczny mu determinizm i indeterminizm w tak jaskrawej formie, w jakiej przez nikogo nie był ujmowany, łatwo go więc było odrzucić, jako niemożliwy do przyjęcia. Niemożliwym jest jednak schopenhauerowski determinizm, bo podniesione przeciw niemu zarzuty są zbyt poważne,—nie pozostaje więc nic innego, jak wejść na odrzuconą a priori drogę pośrednią, któraby jaźni ludzkiej przyznawała wpływ na przebieg psychicznych procesów, nie zrywając jednak z przyczynowością.

Zasadnicze zdanie: „W jednakowych warunkach człowiek zawsze postępuje jednakowo“ można wytłómaczyć inaczej, niż nasz filozof: jeżeli *w chwili dokonywania wyboru* znajduje się w świadomości jeden i ten sam szereg motywów o jednakowym charakterze i natężeniu, to wybór, czyli decyzja czynu wypadnie zawsze jednakowo. Takie tłómaczenie nie może się pogodzić

z schopenhauerowskim determinizmem,¹⁾ ponieważ przez położenie nacisku na moment wyboru motywów uwzględnia nie dający się przewidzieć współdziałająca jaźń.

Dla utrzymania pesymistycznego poglądu na świat przyjął Schopenhauer niezmiennosc charakterów, dla zachowania odpowiedzialności za własne czyny usiłował przekonać czytelników o wolności woli. Uznając empiryczne zjawiska za determinowane, wolność przypisywał ich istocie, Rzeczy w sobie, drogą następującego rozumowania:²⁾

Zjawiska empiryczne nie są wolne — *Rzecz w sobie (Wola) nie jest zjawiskiem empirycznym*, a więc Rzecz w sobie jest wolna; zapominając o tak kardynalnym prawie syllogizmu, że z dwu przeczących przesłanek nie można o niczem wnioskować.

Wolność w Rzeczy w sobie, czyli w *esse* — że użyjemy wyrażenia autora tej koncepcji — „łatwo jest powiedzieć słowami, lecz trudno wyobrazić.“ Podług Kanta³⁾ *esse* nie może oznaczać nic więcej, jak *positio rei*; zdanie najkrytyczniejszego filozofa przeszłości potwierdza również i Wundt, według którego pojęcie „*Sein*“ niema żadnego związku z jakimikolwiek własnościami rzeczy, powstaje zaś wtedy, gdy abstrahujemy od wszelkich cech i zmian przedmiotu i ujmujemy go pojęciowo tylko, jako taki, który jest i nie więcej.⁴⁾ Schopenhauer uważał „*sein*“ za nic więcej, jak „*erscheinen*“, jak pusty wyraz,⁵⁾ jednak, używając go w etyce, nadał mu odmienne, niezrozumiałe znaczenie.

Przyjmowanie w granicach tego czystego bytu pozaempirycznej jednostki, dokonywującej bez poznania wyboru intelligibilnego charakteru swego, a dalej — nazywanie takiego wyboru wolnym i wyprowadzanie z niego odpowiedzialności, czyli kar i nagród w świecie empirycznym, jest czemś tak zawikłanem i sprzecznem, że nie potrzeba bardzo krytycznego umysłu, aby je obalić.

1. Wybór bez współdziałania poznania jest niemożliwy tak w świecie empirycznym, jak i intelligibilnym, gdzie nie rządzą żadne prawa.

2. Jednostka, dokonywująca wyboru swego charakteru, jest wyobrażeniem sprzecznem, bo w pojęciu jednostki mieści się już pojęcie indywidualnego charakteru.

1) III, str. 439. 2) III, str. 475.

3) „*Kritik der reinen Vernunft*“, str. 472—3. Wyd. Reclama.

4) „*System der Philosophie*“, 2 wyd., str. 267.

5) II, str. 74.

3. Wina lub zasługa, popełniona w świecie intelligibilnym, powinna być nagradzana lub karana również w tym świecie, a nie przenoszona do empirycznego. Jednostka empiryczna nie jest identyczna z czystą, indywidualną wolą, istniejącą poza światem zjawisk, byłoby więc niesprawiedliwością karać ludzi za winy, popełnione przez ich intelligibilne charaktery, tembardziej, że w empirycznym świecie wszystkie nagrody, kary i cierpienia są pono tylko złudzeniem.

4. Teorya dziedziczności charakterów, którą uznawał Schopenhauer, z góry określa indywidualność mającego przyjść na świat osobnika, a więc wyłącza możliwość wolnego wyboru.

Za empiryczny charakter możnaby tylko wtedy czynić odpowiedzialnym ich posiadaczy, gdyby wybór następował z zupełną świadomością i przy normalnie rozwiniętym poznaniu.

Gdyby Schopenhauerowi np. powiedziano, że pewne dziecko, zachwycone przejażdżką powozem, chciało zostać woźnicą, i rodzice, pomimo obiecujących zdolności syna, oddali go do zakładu dorożkarskiego, a potem, mimo próśb i skarg, nie chcieli go przyjąć z powrotem do domu, tłumacząc, że zawód przecież został obrany dobrowolnie,—to nie ulega wątpliwości, że fakt taki wywołałby oburzenie na głupotę rodziców, którzy przypisują znaczenie aktowi, uczynionemu przez istotę o niedorozwiniętym poznaniu. Tak samo ma się rzecz i z mistycznym wyborem charakterów—przeniesienie go w światy pozazjawiskowe nie zmienia sprawy ani o jotę i jest tylko chybionem usiłowaniem wybrnięcia z trudnej sytuacji.

Świat intelligibilny, który zawsze u Schopenhauera wychodzi na porządek dzienny, kiedy trzeba wytłómaczyć lub usunąć jakąś sprzeczność, wydaje się nie królestwem czystej Rzeczy w sobie, lecz raczej norą ciemną, do której się kryją niedorzeczności schopenhauerowskiej filozofii przed światłem rzeczowej krytyki.

Stosunkowo najlepszym argumentem jest twierdzenie, że za wolnością przemawia zupełnie pewne poczucie odpowiedzialności, polegające na wewnętrznym przekonaniu, że nie kto inny, lecz my sami jesteśmy sprawcami wszystkich naszych czynów:¹⁾ można go bowiem nie uznawać i uważać za bezwartościowy, ale nie można zaprzeczyć jego istnieniu.

Cel więc, dla którego osiągnięcia wprowadził Schopenhauer swoją, conajmniej dziwną, teorię wolności moralnej, został chybiony: odpowiedzialność za czyny nie została uzasadniona.

¹⁾ III, str. 472.

Aby tego dokonać, należy odrzucić rozważania o pochodzeniu charakterów i zwrócić się do świadomości. Jeżeli pewien czyn popełniamy świadomie, jako występny lub cnotliwy, to karę lub nagrodę musimy uważać i w rzeczywistości uważamy za naturalne zjawiska. Jeżeli wiemy, że rozpalone żelazo parzy i pomimo to dotykany je ręką, to za doznany ból nie będziemy winili ani żelaza, ani wrażliwości naszego organizmu, lecz wyłącznie samych siebie. Natomiast niema żadnej odpowiedzialności tam, gdzie czyn został wywołany mimowolnie, albo wywołał niezamierzone skutki. Tę zasadę, chociaż nie całkowicie, uwzględnia również i prawo.¹⁾

Zagadnienie wolności woli, uważane przez Schopenhauera za najgłębsze w całej filozofii, za kamień probierczy dla prawdziwie głębokich umysłów, dzisiaj coraz więcej traci na aktualności. Etycy, wkładając w nie różnorodną treść,²⁾ nie przyznają mu wcale pierwszorzędного znaczenia, ani warunkują niem odpowiedzialności, a nawet w ostatnich czasach dają się słyszeć coraz śmielsze głosy, twierdzące, iż dla etyki wolność woli jest zupełnie obojętną i nie gra żadnej roli; zajmowanie się niem w przeszłości wynikało z wadliwego formułowania i płonnych obaw o zagrożony byt moralności.³⁾

Chociaż zdania takie wydają się zbyt pośpieszne, to jednak, po głębszem zastanowieniu się, przychodzimy do przekonania, że systemy etyczne po wykryciu źródła odpowiedzialności i zapożyczeniu z psychologii nauki o charakterze nie potrzebują wcale zaprzętać sobie uwagi wolnością woli.

¹⁾ Rozważanie odpowiedzialności tylko, jako niezbędnego czynnika w życiu społecznem (dr. Müffelman: *Das Problem der Willensfreiheit in der neuesten deutschen Philosophie*, Lipsk 1902. H. Gomperz: *Das Problem der Willensfreiheit*, Jena 1907. F. W. Förster: *Willensfreiheit und sittliche Verantwortlichkeit*. Forel: *Ueber die Zurechnungsfähigkeit der normalen Menschen*), jest prawnicze i jednostronne w porównaniu z etycznym, które bierze pod uwagę nietylko czyny, lecz i ich sprawców.

²⁾ Vide R. Eisler: *Wörterbuch der philosophischen Begriffe*, III wyd., str. 1810, artykuł: *Willensfreiheit*.

³⁾ Simmel, Müffelman i Gomperz—dzieła wyżej cytowane.

IV.

W rozprawie „Ueber die Grundlage der Moral“ przeprowadza Schopenhauer ścisłą granicę między *zasadą* i *podstawą* etyki. Pierwsza (das Princip, der oberste Grundsatz) „jest to najkrótsza i najzwężlejsza formuła postępowania, które ona przepisuje, lub jeśli nie posiada formy nakazującej—postępowania, któremu przypisuje istotną wartość moralną. Jest to więc ogólna formuła cnoty, zawarta w jednym zdaniu, czyli $\zeta\tau\iota$ cnoty. Zaś podstawa etyki (das Fundament, der Grund) jest to $\delta\acute{\iota}\omega\tau\iota$ cnoty, uzasadnienie owego nakazu, zalecenia lub pochwały, wyprowadzone bądź z natury człowieka, bądź ze stosunków świata zewnętrznego, bądź z jakich innych danych.“¹⁾

Każdego czasu głośzono wiele prawdziwej moralności, „ale nie odróżniając dwu zupełnie różnych pojęć $\zeta\tau\iota$ i $\delta\acute{\iota}\omega\tau\iota$, nie umiano jej uzasadnić, i przez to powstawały wymuszone, sztuczne kombinacye pojęć, nie zawierające bodźca (Antrieb) do sprawiedliwości i miłości bliźniego.“²⁾ Treść wszystkich systemów etycznych, $\zeta\tau\iota$, bez względu na ich zewnętrzne formy, da się wyrazić w jednym zdaniu: Neminem laede, imo omnes, quantum potes, iuva (nie szkodź nikomu, lecz wszystkim pomagaj, ile tylko możesz); jego uzasadnienie, względnie—wykrycie przesłanek, z których wynika, da nam podstawę ($\delta\acute{\iota}\omega\tau\iota$) etyki.

Uzasadnienie moralności, jeśli chce wywierać wpływ na życie, musi być proste, jasne i zrozumiałe dla każdego, bez względu na stopień umysłowego wykształcenia. Kto je naprawdę pragnie, ten nie powinien chwytac z powietrza pustych frazesów, jak np. „kategoryczny imperatyw“ lub „godność ludzka,“ lecz bez uprzedzeń wejść na drogę empiryi i zbadać, czy istnieją postęпки o prawdziwej, moralnej wartości, t. j. „wypływające z dobrowolnej sprawiedliwości, z czystej miłości bliźniego i prawdziwej szlachetności.“³⁾ Znalazłszy takie, należy je objaśnić, wykryć ich prawdziwe źródło, czyli wykazać specyficzne pobudki, skłaniające ludzi do wykonywania czynów, tak odrębnych od reszty innych. „Ta pobudka oraz wrażliwość na jej działanie będą stanowiły

¹⁾ III, str. 516–518. Przytaczane tutaj cytaty z rozprawy: „Ueber die Grundlage der Moral“ pochodzą z polskiego przekładu p. Bassakówny.

²⁾ III, str. 493, 566.

³⁾ III, str. 576.

ostateczną przyczynę moralności, znajomość zaś tej przyczyny da nam podstawę etyki.^{4 1)}

Czyny ludzkie są wywoływane przez trzy kategorye motywów:

- 1) egoizm, który w dążeniu do własnego dobra nie zna granic,
- 2) nienawiść (das Uebelwollen oder die Gehässigkeit), pragnąca cudzej niedoli i dochodząca aż do okrucieństwa,
- 3) współczucie, które ma na celu szczęście bliźniego i przechodzi w szlachetność.

Głównym i zasadniczym popędem, działającym w każdym zwierzęciu, a więc i w człowieku, jest egoizm, który pozostaje jaknajściślej związany z jego najwewnętrzniejszą istotą i jest z nią prosto identyczny. Wszystko to, co przeciwstawia się jego celom i zamiarom, wywołuje gwałtowne oburzenie, nienawiść i gniew, nie przebierający w środkach. Tylko siebie, jako pojedynczą personifikację, uważa za coś realnego, resztę zaś, nawet świat cały, skazałby na męki i zniszczenie, byle tylko siebie ocalić, sobie przykrości zaoszczędzić. Przy powszechności tego uczucia i jego gwałtownej sile, świat niechybnie zamieniłby się w teren oburzających nadużyć i walki omnium contra omnes, gdyby jednocześnie nie istniały inne czynniki, jak np. państwo, zmuszające ludzi do powściągliwości i maskowania swych nieokiełzanych popędów. Egoizm jest pierwszą i główną, chociaż nie jedyną potęgą, którą ma zwalczać moralność.

Rzadszem zjawiskiem, ale jeszcze gorszem, niż poprzednie, jest radość z cudzego nieszczęścia (Schadenfreude), z którego dany osobnik nie odnosi żadnej korzyści dla siebie. O ile egoizm jest naturalną, ludzką rzeczą, to Schadenfreude, występująca praktycznie w formie okrucieństwa — dyabelską, jaknajgorzej świadczącą o moralnej wartości człowieka.

Z tych dwu wad natury ludzkiej wynikają inne, drobniejsze, będące cechami niemoralnych czynów.

Trzecią kategoryę stanowią motywy moralne, będące wyrazem współczucia albo miłości bliźniego (nie w znaczeniu amor lub eros, lecz ἀγάπη i caritas). Tylko z nich powstałe czyny mają prawdziwą etyczną wartość, natomiast — żadnej, gdyby obok altruizmu, chociażby nawet ubocznie, działał motyw egoistyczny.

¹⁾ Ibidem.

Powstaje jednak pytanie, czy naprawdę istnieją na świecie czyny, pochodzące tylko z wewnętrznego poczucia sprawiedliwości i bezinteresownej miłości bliźniego. Na drodze czysto empirycznej trudno uzyskać wystarczające dowody, ponieważ badanie dotyczy jedynie faktów; cudze motywy i usposobienie wewnętrzne są dla nas niedostępne. Czyny moralne muszą posiadać pewną cechę wewnętrzną, która nie jest zupełnie wyraźna i dostrzegalna, lecz bądź co bądź należy ją brać pod uwagę: wewnętrzne zadowolenie sprawcy i zadowolenie własnego sumienia. Cechą zewnętrzną i podrzędną bywa zwykle uznanie bezstronnych świadków.

Gdyby na świecie nie istniały prawdziwie altruistyczne moralne postęпки, to etyka byłaby nauką bez realnego obiektu, jak np. astrologia lub alchemia, i szkoda byłoby czasu na wyszukiwanie jej podstaw. Tak jednak nie jest; ktoby zaś twierdził przeciwnie, to „nie miałbym mu już nic do powiedzenia i w dalszym ciągu zwracam się tylko do tych, którzy wierzą w rzeczywistość takich faktów.“¹⁾

Ażeby udowodnić istnienie prawdziwie moralnej pobudki czynów, Schopenhauer wystawia następujące przesłanki, z których tanta wynika, jako wniosek, i które same w sobie są aksyomatami:²⁾

1. Każdy czyn musi mieć dostateczny motyw.
2. Dostatecznie motywowany czyn może zostać zaniechany, jeżeli w świadomości zjawi się silniejszy antymotyw.
3. Każdy motyw musi stać w jakimkolwiek bądź stosunku do rozkoszy lub bólu (Wohl i Wehe) w najogólniejszem znaczeniu, ponieważ jedynie te uczucia są w stanie wpływać na wolę. Ból i rozkosz oznaczają: przeciw woli i zgodnie z nią.
4. Z powyższego wynika, że każdy czyn ma na celu istotę zdolną do odczuwania bólu lub rozkoszy.
5. Istotą tą może być albo sam sprawca, albo osoba bierna, której dany czyn przynosi pożytek lub wyrządza szkodę.
6. Każdy czyn, którego ostatecznym celem jest osiągnięcie pożytku lub uniknięcie szkody dla sprawcy, jest czynem egoistycznym.
7. Wszystko tutaj powiedziane odnosi się tak dobrze do wykonania, jak i zaniechania czynów.

Z tych punktów Schopenhauer wyprowadza wniosek, że czyn jest niemoralny, skoro został wywołany pośrednio lub bezpośrednio

¹⁾ III, str. 585. ²⁾ III, str. 586.

nie przez egoistyczny motyw, to znaczy skoro z wykonania go spodziewamy się jakiejś korzyści dla siebie bądź na tym, bądź na tamtym świecie, wytworzenia sobie dobrej opinii, zdobycia sławy, wzbudzenia szacunku i sympaty, a także, jeżeli zamierzamy przez to podkreślić (aufrecht erhalten) jakąś zasadę, z której spodziewamy się korzyści i dla samych siebie.

Jeżeli więc wyłącznie bliźni ma być celem moich czynów, to powstaje pytanie, jak to jest możliwe, aby jego ból i szczęście stały się bezpośrednio moimi motywami wbrew zwykłej kolei rzeczy. Do tego potrzeba zupełnej identyfikacji mojej osoby z bliźnim, znoszącej częściowo lub zupełnie istniejącą pozornie między ludźmi różnicę. Ponieważ jednak fizycznie nie tkwię w skórze drugiego i nie przeżywam bezpośrednio jego uczuć, więc tylko drogą prawdziwego poznania, znoszącego principium individuationis, mogę dojść do negacji egoizmu: *współczucia*, z którego wypływają kardynalne, etyczne cnoty sprawiedliwości (neminem laede) i miłości bliźniego (omnes, quantum potes, iuva).¹⁾ Zjawisko współczucia jest zbyt dobrze znane i bezpośrednio odczuwane przez każdego, by je można było zaprzeczać.

Bliższe określanie jego jest jednak różne.

Raz czytamy, że jest ono zadziwiającem prazjawiskiem (Urphänomen) i wielkiem misteryum etyki, linią graniczną, na której przekroczenie może się ważyć tylko metafizyka, to znowu, że należy je uważać za coś pierwotnego, prostego, wrodzonego naturze ludzkiej, niezależnego od pojęć, dogmatów i wykształcenia „i dlatego właśnie zdolnem jest oprzeć się wszelkim próbom, objawia się we wszystkich krajach i epokach; do niego, jako niezbędnie istniejącego w każdym człowieku, ludzie odwołują się wszędzie z całym zaufaniem i nigdzie nie należy ono do cudzych bogów.“²⁾

Raz objawy współczucia polegają na tem, iż „będę zupełnie bezpośrednio pragnął jego (bliźniego) dobra, a nie chciałem jego krzywdy, tak samo bezpośrednio, jak tego pragnę lub nie chcę dla siebie samego,“ żem tak zidentyfikował siebie z bliźnim, że przedział między „ja“ i „nie-ja“ zostaje zniesiony, co trafnie sformułował Calderon:

que entre el ver
Padecer y el padecer
Ninguna distancia habia.³⁾

1) III, str. 593—594. 2) III, str. 594.

3) III, str. 610. „... że między postrzeganiem cierpienia i przeżywaniem niema żadnej różnicy.“

W innym zaś miejscu znajdujemy ostrzeżenie przeciw przyjmowaniu poglądu, iż współczucie powstaje dzięki złudzeniu wyobraźni, które sprawia, iż cudze cierpienia uważamy za swoje. Pogląd ten ma być fałszywy, bo współczując, jesteśmy bez przerwy świadomi, że chodzi o ból obcy i jako obcy go odczuwamy. ¹⁾

Pierwotnie jesteście pono wszyscy skłonni do gwałtów i niesprawiedliwości, później przez wyobraźnię dostaje się do naszej świadomości wieść o cudzych cierpieniach, przez nas wywołanych, i następuje reakcja. Jeżeli psyche nasza jest wrażliwa na tego rodzaju bodźce, to obraz cierpiącego człowieka powstrzymuje nas od wyrządzania przykrości pośrednio lub bezpośrednio, chociażby z nią była związana korzyść własna. Pobudzanie współczucia nie jest koniecznym warunkiem moralnego czynu i może być zastąpione abstrakcyjnym przekonaniem o szkodliwości skutków, wynikających z niesprawiedliwego, egoistycznego postępowania. Zasada „*neminem laede*“ jest naprawdę trwałą i niewzruszoną zasadą, powstrzymującą od wykroczeń przeciw bliźniemu i od naruszania praw jego.

Schopenhauerowska charakterologia nie przyznaje jednak moralnego znaczenia postępkom, wypływającym z abstrakcyjnych norm, dla których nawet nie powinno być miejsca w prawdziwie filozoficznej etyce—aby więc uchronić się od zarzutu niekonsekwencji, zwolennik jedynie wrodzonych cnót tłómaczy: „Chociaż bowiem zasady i wogóle poznanie abstrakcyjne nie są ani źródłem, ani pierwszą podstawą moralności, to jednak dla moralnego życia są bezwarunkowo niezbędne; odgrywają one w niem rolę rezerwoaru do przechowania uczuć, płynących ze źródła moralności, które nie jest stale czynnym; gdy nadchodzi chwila zastosowania tych uczuć, wypływają one ze zbiornika... Bez stałych zasad stawalibyśmy się pastwą popędów antymoralnych we wszystkich tych wypadkach, kiedy pod działaniem wrażeń zewnętrznych popędy te zamieniają się na afekty.“ ²⁾ Na przeciwstawieniu czynnym motywom stałych zasad abstrakcyjnych polega panowanie nad sobą.

Neminem laede! jest nakazem negatywnym i pierwszym stopniem współczucia, będącym „*cnotą sprawiedliwości*.“ *Omnes quantum potes iuva!* jest pozytywnym, wyższym nakazem, formułą dla drugiej kardynalnej cnoty: miłości bliźniego.

¹⁾ III, str. 592. ²⁾ III, str. 596.

Współczucie jest jednak o tyle ograniczonem, że występuje w tych tylko wypadkach, gdzie jesteśmy świadkami cierpień. „Nieszczęście bowiem jest warunkiem współczucia.“ Przyczyna tego faktu jest prosta, bo polega na tem, że wszelkie cierpienia, bóle, przykrości, a zarówno brak, niedostatek i pragnienia są zjawiskami pozytywnymi, odczuwanymi bezpośrednio. Charakter szczęścia, zadowolenia jest negatywny, bo te stany uczuciowe oznaczają usunięcie braków i dolegliwości. Widząc szczęśliwego, pozostajemy obojętni, ponieważ położenie jego jest negatywne i nie posiada tego, co mogłoby w nas wywołać współ—czucie. Jeżeli dzieje się inaczej, to tylko wtedy, gdy dany osobnik jest naszym krewnym lub poddanym, albo że poprzednio smuciliśmy się jego nieszczęściem.

Ażeby zmniejszyć istniejący na świecie ogrom cierpień, od których nikt nie jest wolny, oraz złagodzić potęgę powszechnego egoizmu i złości, natura nie mogła uczynić nic skuteczniejszego, „jak właśnie wkładając w serce ludzkie ową cudowną zdolność, dzięki której, wspólnie z innymi, współodczuwamy ich cierpienia, a której głos, stosownie do okoliczności, głośno i wyraźnie woła na tego: Oszczędź! na tamtego: Pomóż!“¹⁾

Potwierdzenie współczucia, jako podstawy moralności, widać w zastosowaniu jego nie tylko do stosunków z bliźnimi, lecz i ze światem zwierzęcym, który, jako posiadający czucie, nie powinien być ignorowanym. Rozważając znane nam bądź z historii, bądź z życia bieżącego czyny etyczne, przychodzimy do przekonania, że źródłem ich jest współczucie, bez którego istnienie ich byłoby niemożliwem.²⁾

Faktyczne wykazanie podstawy moralności jest dostateczne dla uzasadnienia etyki, jednak nie daje zupełnego zadowolenia umysłom, dążącym do ostatniego prafenomenu (Urphänomen), który objaśnia wszelkie zjawiska, sam natomiast pozostaje nazawsze nierozwiązalną zagadką. W etyce metafizyczne uzasadnienie jest tem potrzebniejsze, że wszystkie systemy filozoficzne i religijne zgodnie twierdzą, iż życie nasze, oprócz praktyczno-etycznego, ma także metafizyczne znaczenie, sięgające do Rzeczy w sobie.

Człowiekiem dobrym nazywa się taki, który jest w jakikolwiek sposób pożytecznym dla swego otoczenia, skoro go jednak rozważamy in abstracto, to postrzeżemy, iż istota jego charakteru polega na tem, że mniej, niż inni, odróżnia siebie od bliźnich.

¹⁾ III, str. 627. ²⁾ III, 613—630.

Ten rodzaj poglądu na świat jest prawdziwy, bo polega na wszechjedności Rzeczy w sobie i odrzuca złudną wielość, uwarunkowaną jedynie empirycznymi formami poznania: przestrzenia i czasem. Przyjawszy taki pogląd, musimy uznać, że jedynie mądrymi i cnotliwymi czynami są czyny miłości bliźniego, a więc podstawą moralności jest współczucie. „W ten sposób mądrość praktyczna, polegająca na zachowywaniu sprawiedliwości i czynieniu dobrze, stykałaby się w swych rezultatach z najgłębszą nauką najdalej posuniętej mądrości teoretycznej; filozof praktyczny zaś, t. j. człowiek sprawiedliwy, dobroczynny i wspaniałomyślny, wyrażałby tylko czynem ten sam pogląd, który jest ostatecznym wynikiem najgłębszego rozważania i najtrudniejszych dociekań filozofa teoretycznego.“¹⁾

*

*

*

Rozprawa „O podstawie moralności,“ jako anonimowa rozprawa konkursowa, musiała stanowić pewną, skończoną całość, w której nie można było się powoływać na fakty stwierdzone gdzieindziej, lecz trzeba było wszystko samodzielnie uzasadnić. Schopenhauer we wstępie ostentacyjnie wyrzekął się wszelkiej metafizyki, jako gotowej podstawy dla etyki, i zapowiadał ściśle krytyczne, empiryczne badanie zjawisk moralnych i ich źródła, jednak już w pierwszym paragrafie bez żadnego uzasadnienia ogłasza postępkę egoistyczne za niemoralne,²⁾ potem skazuje na banicyę eudajmonizm³⁾ i za jedynie decydującą rzecz o moralności czynu ogłasza zamiar. Nie dając definicyi etyki ani moralności, a więc nieokreśliwszy swego stanowiska, przystępuje do rozważania etyki Kanta i wydaje sądy o jej zaletach i wadach. Przechodząc do pozytywnej części swej pracy, zapowiada, iż zajmie się badaniem, „czy wogóle istnieją czyny, którym bylibyśmy zmuszeni przyznać istotną wartość moralną, t. j. czyny, wpływające z dobrowolnej sprawiedliwości, z czystej miłości bliźniego i prawdziwej szlachetności.“⁴⁾ Przy wyliczaniu motywów woli maluje czarnemi barwami egoizm, ogłasza go za potęgę wrogą

¹⁾ III, str. 651. ²⁾ III, str. 491. ³⁾ III, str. 509. ⁴⁾ III, str. 576, 585.

moralności i później, wystawiwszy sześć pseudo-aksyomatów, wprowadza z nich w jakiś niezrozumiały sposób wniosek, że wszelkie czyny, wywołane pośrednio lub bezpośrednio przez motyw egoistyczny, nie mają żadnej moralnej wartości.

Schopenhauer więc właściwie nie więcej nie dokonał w swej rozprawie, jak a priori uznawszy egoizm za niemoralny, dowiódł, że jedynie moralnym i cnotliwym jest współczucie, czyli zupełny altruizm. W „Metafizycznym dodatku“ („Metaphysische Grundlage“) zatem nie należało wykazywać metafizycznej podstawy, bo ta w toku rozprawy była aż nadto dla każdego widoczną, lecz raczej wytłómaczyć, dlaczego z poznania wszechjedności woli, jako Rzeczy w sobie, ma wynikać konieczność czynów współczucia, a nie zupełnie dowolny wybór i równouprawnienie egoizmu z altruizmem, co byłoby również logicznem; a także w jaki sposób współczucie da się pogodzić z „wyższym“ stopniem moralności: nirwaną, która w gruncie rzeczy nie jest przecież niczem innym, jak egoistycznym eudajmonizmem.

Jako umysł wybitnie metafizyczny, Schopenhauer uczynił na wstępie fałszywe założenie, że etyka bez podstaw metafizycznych musi wypaść „unvollkommen“, a to sprawiło, że całe dowodzenie straciło obiektywny i krytyczny charakter.

Przystępując do wyszukania podstawy moralności, należało odrzucić gotowe systemy metafizyczne oraz wynikające z nich wskazania i zwrócić się ku odszukaniu takiego fundamentu, któryby był wolny od wszelkich wątpliwości i subiektywnych przymieszek. Nawiązując to do poglądu, wyrażonego w pierwszej części niniejszej pracy, formułujemy następujące zdanie:

Dobrem, a więc moralnem, jest wszystko to, co zachowuje istnienie i współdziela rozwojowi.

Etyka, której zadaniem jest najlepsze kształtowanie i regulowanie stosunków ludzkich, wzięwszy za kryterium powyższe zdanie, będzie mogła zbudować wolny od sprzeczności system, śmiało wyrzec się podstaw metafizycznych i zostać naprawdę dyscypliną praktyczną, zdolną do wywierania wpływu na bieg życia ludzkości. Na zdaniu tem może oprzeć się bez wahania etyka normatywna i ewolucyjna. Zawiera ono prawdę samą w sobie, jest aksymatem, nie potrzebującym żadnego uzasadnienia.

Schopenhauer uważał za konkretne zjawisko jednostkę, grupy zaś za prostą sumę jednostek i dlatego nie był zdolny wznieść się w etyce na wyższe szczyty, ani zatoczyć szerszych widnokręgów. Sformułowana zaś wyżej podstawa daje się zastosować zarówno do jednostki i narodu, jak do całej ludzkości. W intere-

się moralnym jednostki leży współzycie plemienne, narodowe lub państwowe, w interesie narodu lub państwa—harmonia stosunków międzynarodowych. Etyka indywidualna, społeczna i ogólnoludzka stanowi trzy szczeble w dążeniu do ideału, jaki w danej epoce posiada największą wartość.

Przyjąwszy takie stanowisko, nie możemy uznać współczucia za podstawę moralności,

1) jako uczucia, którego wyłączne panowanie prowadziłoby do wykonywania czynów częstokroć niepożytecznych i zamieniłoby życie jednostek w szereg luźnych, niczem niezwiązanych momentów,

i 2) jako uczucia negatywnego, nie zawierającego impulsu do pozytywnej twórczości.

Życie i czyny ludzkie nie mogą być izolowanymi częstkami w życiu społecznym, muszą być skoordynowane i wspólnie dążyć do pewnych celów. Współczucie, jako cel, byłoby absurdem, jako jedyna pobudka — szkodliwym, bo nie tylko zamieniałoby życie w chaos bezładnych czynów, lecz i nieustannie sprowadzałoby ludzi z raz wytkniętej, chociażby najwznioślejszej drogi. Dla prawdziwej moralności jest koniecznym wyzwolenie się z pod panowania chwilowych, subiektywnych czynników—uznaje to i Schopenhauer, kiedy w sprzeczności z podstawowym swoim poglądem dowodzi konieczności stałych zasad w etyce dla obrony przed afektami.¹⁾ Przyznawanie wartości tylko każdorazowemu zamiarowi jest w życiu praktycznym dość niebezpiecznym, a jednostronnym w etyce, która dbać powinna, aby między zamiarami a celami nie było rozdzwienku i aby każdy moralny zamiar realizował się w obiektywnie-etycznym czynie. Istnienie etyki naukowej i jej pretensje do kształtowania życia są najwymowniejszym dowodem, że w dzisiejszej moralności nie może być ignorowany, ani upośledzany pierwiastek intelektualny. Człowiek, kierowany wyłącznie uczuciami albo ożywiany dobrymi zamiarami, których nie umie wprowadzać w życie, jest daleki od typu, który pragnie urobić etyka.

Obok schopenhauerowskiego pytania: czy może być etycznym człowiek pozbawiony współczucia? — można takiem samym prawem postawić inne: czy może być etycznym człowiek głupi? Na oba pytania należy odpowiedzieć przecząco, bo obaj ludzie, o których chodzi, są nienormalnymi: pierwszy bez uczucia, drugi bez rozumu.

¹⁾ III, str. 596.

Z przyjęcia współczucia za jedyną moralną pobudkę i z odrzucenia etycznej wartości abstrakcyjnego poznania wynikało potępienie egoizmu we wszelkich jego formach i ilości, jako bezwzględnie antimoralnego czynnika.

Już byłby wielki czas zerwać w etyce z fałszywym patosem i górnolotną nienaturalnością, która odmawia wszelkiej moralnej wartości czynom, wywołanym przez działanie i współ-działanie motywu egoistycznego. Jest to nielogiczna, niesprawiedliwa i szkodliwa jednostronność. Należy unikać pustego wygłaszania utartych frazesów: „tylko altruizm jest etyczny!“ i t. p., bo to doprowadziłoby do zubożenia impulsów woli i nałożenia na ich objawy jedynego szablonu. Etyka nie zajmuje się pojedynczymi, oderwanymi czynami, lecz całym życiem, które zawiera w sobie i zawierać powinno różnorodne, a nawet sprzeczne pierwiastki. Sprzeczność ta zniknie zupełnie, skoro ujmiemy życie osobnika, jako wytwór najdoskonalszego psycho-fizycznego organizmu w związku z jego otoczeniem, i rozważymy je jako całość.

Praca nad własnym doskonaleniem, rozwijanie charakteru i umysłu, dbałość o swoje zdrowie fizyczne i in. mogą być z punktu widzenia etyki socjalnej uważane za moralne, jeżeli ich wykonawca czyni to nie tylko z egoizmu, lecz z przeświadczenia, że tak powinien postępować *każdy* człowiek i że nie powinien rzucać się na obce i nieznanne pola ten, kto ma wiele do czynienia na swoim własnym i to takiej pracy, która może wydać większą sumę społecznej użyteczności, niż każda inna, chociażby najbardziej altruistyczna. Mogą zachodzić i takie wypadki, w których jest wprost obowiązkiem społecznym utrzymać motyw egoistyczny przeciw budzącemu się w nas współczuciu.¹⁾ Schopenhauer jednak nie lubił pojęcia obowiązku, jako pokrewnego z „sollen“, przeciw któremu występował w etyce jak najenergiczniej; obowiązek zaś względem samego siebie wydawał mu się czemś wprost śmiesznym²⁾: nie może być mowy o obowiązku prawnym (Rechtspflichten) albowiem volenti non fit iniuria, ani o obowiązku miłości (Liebespflichten), albowiem do tego, aby kochać siebie ponad wszystko, człowiek nie potrzebuje żadnego przymusu.

Odrzucając podział obowiązków, przyjmujemy schopenhauerowską definicję w rozszerzonym zakresie: obowiązek jest kon-

¹⁾ Np. uczony, rozporządzający sumą pieniędzy, potrzebnych do przeprowadzenia kuracji wobec prośb karciarza o zapłacenie jego długu „honorowego.“

²⁾ III, str. 506–508.

sekwencyą, wynikającą z milczącego (moralnego) lub wyraźnie sformułowanego, dobrowolnego przyjęcia pewnych zobowiązań. Nie oznacza to nic więcej, jak: obowiązkiem jest to, co za obowiązek zostaje uznane. Nie wdając się na tem miejscu w rozważania o warunkach jego powstawania, konstatujemy jedynie, że jest on sankcjonowany przez intelekt, bywa zagrożony przez uczucia i afekty, zwyciężany przez nie lub przez inny, wyższy obowiązek. Kryterium przy podziale obowiązków na niższe i wyższe daje nam etyka; pomimo różnic w poglądach na nie, można zgodnie stwierdzić, że obowiązki względem siebie są naturalnem i konkretnem zjawiskiem, wynikającym z postawienia życia jednostki jakiegokolwiek bądź celu, który stawia pewne wymagania. Fakt społecznego współżycia ludzi podkreśla to jeszcze silniej: środowisko, z którego każdy osobnik ciągnie korzyści, ma zupełne prawo żądać od niego, aby posiadanych zdolności i pobranych dóbr nie marnotrawił, lecz je rozwijał i wzbogacał. Ze świadomości tego stosunku wypływają obowiązki względem siebie samego... i raczej żałować należy, iż tak rzadko są wypełniane.¹⁾

Etyka winna przyznawać wszystkim ludziom prawo do istniejących dóbr, większe zaś tym, którzy na to więcej zasługują. Dążenie do stworzenia ludzi „tylko dających,“ do czego zmierza schopenhauerowska etyka współczucia, musiałoby siłą rzeczy wytwarzać także ludzi „tylko biorących“ i doprowadzić społeczeństwa do bankructwa.

Współczucia nie można wyeliminować z etyki, ale należy je uwzględnić o tyle tylko, o ile nie stoi w kolizyi z intelektem, ergo z celami, do których w życiu mamy dążyć. Kant, formułując swój najwyższy nakaz: „Handle nur nach der Maxime, von der du zugleich wollen kannst, dass sie als allgemeines Gesetz für alle vernünftige Wesen gelte,“ był świadom niebezpieczeństwa chwilowych bodźców uczuciowych; co się zaś tyczy zarzucanego mu egoizmu, to wyznać musimy, że nakaz Kanta stoi od niego znacznie dalej, niż schopenhauerowskie współczucie, polegające na tem, że widzieć cierpienia i cierpieć — to jedno.

¹⁾ Höffding w cytowanej pracy na str. 39: „Już na stanowisku indywidualizmu może być mowa o obowiązku. Ponieważ w pojęciu „obowiązek“ znajduje się sam w sobie tego rodzaju stosunek między ciaśniejszym a szerszym zakresem, że ostatni powinien mieć pierwszeństwo nad pierwszym. Indywiduum w pojedynczych momentach może czuć się zobowiązanem ze względu na swą własną całość życiową (Lebenstotalität).“

Należy się jeszcze zastanowić, czy współczucie zostało udowodnione, jako podstawa moralności (w rozumieniu Schopenhauera) bez względu na jej wartość, którą staraliśmy się wykazać powyżej.

Podstawą moralności, czyli *diét*: cnoty miało być *uzasadnienie zasady* etycznej, nakazującej pewien rodzaj postępowania. Uzasadnienie to miało być wyprowadzone „bądź z natury człowieka, bądź ze stosunków świata zewnętrznego, bądź z *jakich innych danych*.“¹⁾ Sam Schopenhauer przyznał, że współczucie nie jest powszechną cechą natury ludzkiej, wykazaliśmy, że w stosunkach społecznych nie może być ono kierownikiem, zostało więc chyba wyprowadzone z tych, tak niewinnie określonych „*innych danych*,” t. j. metafizycznych. Etyka Schopenhauera może znaleźć tylko metafizyczne uzasadnienie, bo z metafizyki powstała. Jest ona oryginalna, ciekawa, zawiera wiele pięknych i prawdziwych myśli, lecz na realne życie nie jest w stanie wywrzeć wpływu, bo pochodzi „nie z tego świata.“

Schopenhauer w sobie widział świat cały, z siebie więc, a nie z faktów obiektywnych, będących dla niego tylko słabem odbiciem prawdy, snuł całą filozofię: intuicyjne, subiektywne poznanie było w niej jedynym środkiem, prowadzącym do ideału *prawdy, piękna i dobra*. Filozofia taka nie może być jednak naukową, chociażby miała do pomocy jeszcze większą erudycję i elokwencyę, niż ta, którą podziwiamy w „Welt als Wille und Vorstellung.“ Podnosząc zarzut nienaukowości, jesteśmy zupełnie świadomi, iż nie byłby on dotknął filozofa sprzeczności, który nie uznawał naukowego charakteru filozofii i nawoływał myślicieli, aby nawrócili z fałszywej drogi, którą od 3000 lat z niepowodzeniem kroczą. Do pomyślnych rezultatów dojdziemy—zdaniem jego—jedynie wtedy, gdy zaczniemy do filozofii stosować cele i metody *sztuki*.²⁾

Jednak rewolucyjne poglądy Schopenhauera, burzące u podstaw dotychczasowy gmach filozofii, nie znalazły uznania w pokoleniu współczesnem, nie znajdują go wcale i dzisiaj, w pół wieku po jego śmierci, nie znajdują zapewne i w przyszłości; czas—„opiekuńczy duch prawdy“ nie dał im palmy zwycięstwa.

D-R ZYGMUNT BUJAKOWSKI.

¹⁾ III, str. 516—318.

²⁾ Nachlass, IV, str. 26—43. Mniej wyraźne wzmianki w „Welt als W. u. V.“

PIŚMIENNICTWO.

PAWEŁ LOUIS. *Dzieje socjalizmu we Francji do 1908 roku włącznie*. Z upoważnienia autora przełożyła Marya Kellès Krauzowa. Spółka nakładowa „Książka“, Kraków. Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka; Lwów, H. Altenberg; New-York, The Polish Book Importind Co. Drukarnia Ludowa w Krakowie.

Wbrew urzędowej doktrynie socjalistycznej, nie uznającej różnic narodowościowych, wbrew usiłowaniom kierowników tego ruchu sprowadzenia wszystkiego do jednego szablonu, w każdym narodzie socjalizm nosi charakter zupełnie odrębny, uwarunkowany odmiennymi właściwościami duchowymi jego wyznawców. Można powiedzieć właściwie, że tyle jest socjalizmów na świecie, ile typów narodowych, ta sama bowiem teoria różni się przełamuje w duszach ludzkich. Rozwój samego socjalizmu zadaje kłam jego doktrynie.

Wobec tego ważnem jest i ciekawem zbadanie dziejów socjalizmu w oddzielnych krajach, gdyż to dopiero da nam możliwość wyrobienia sobie należytego pojęcia o tem, czem jest właściwie ruch socjalistyczny obecnych czasów. Zadanie to w stosunku do Francji spełnia książka Pawła Louis, która tem jest cenniejsza, że doprowadza czytelnika aż do chwili dzisiejszej. Chociaż bowiem autor wydał swą pracę już w r. 1898, jednak dla wydania polskiego napisał specjalne uzupełnienie. Dzieło to, przeznaczone pierwotnie dla publiczności francuskiej, wymagało nieraz takiej znajomości historii Francji, jakiej po przeciętnym czytelniku polskim nie zawsze można się spodziewać, to też w wydaniu polskim znalazły się na końcu objaśnienia i dopełnienia, również oryginalnie napisane.

Chociaż wiek XVIII, w przeciwieństwie do naszego stulecia, znacznie więcej się zajmował chłopem, niż robotnikiem, studjum jednak historyczne o ruchu społecznym nie może obejść się bez poświęcenia kilku stronic wiekowi XVIII. Wtedy nie było jeszcze ani nowoczesnego przemysłu, ani zorganizowanego proletaryatu, zaczęły się już jednak pojawiać idee komunizmu, wysnuwane z idealistycznych dążeń do sprawiedliwości i równości społecznej. Filozofia XVIII wieku, burząc podstawy dawnego ustroju, jednocześnie przygotowywała grunt do pojawienia się nowych teorii społecznych.

Na „prawa natury,“ którym przeczy własność prywatna, powoływał się w r. 1796 Gracchus Babeuf, którego „Manifest równych“ można uważać za pierwszy dokument nowożytnego socjalizmu.

Burżuazya skonfiskowała na swoją korzyść rewolucyę francuską, Babeuf'a ścięto, a stan czwarty pozostał w dawnem upośledzeniu. Rozwój jednak burżuazji, która zaczęła tworzyć przemysł nowoczesny, wywołał również i powstanie proletaryatu. Wówczas to zjawili się zwiastunowie socjalizmu, który potem nazwano „utopijnym,“ — St. Simon i Fourier. Teorii swych nie mogli oni jeszcze oprzeć na masach robotniczych, które nie dojrzały do czynnych wystąpień o swe prawa.

Pierwsze masowe wystąpienie robotnicze miało miejsce w Lionie w r. 1831, gdy miejscowi tkacze, doprowadzeni do ostatniej nędzy przez zastosowanie maszyn, zbuntowali się i opanowali na krótko miasto. Od tego czasu rozpoczyna się okres rozruchów i krwawych starć. Na czoło wysuwa się nazwisko Blanqui'ego.

Burżuazya tłumi siłą wojskową zaburzenia, występując z całą bezwzględnością, i osiąga chwilowy spokój. Tem usilniej zaczyna pracować myśl społeczna. Zjawiają się prace Ludwika Blanc'a, Proudhon'a, wysuwane są dwa nowe hasła: organizacyi pracy i powszechnej łączności proletaryuszy.

Spokój jednak trwał niedługo. Następuje rok 1848, warstwa robotnicza zmusza rząd do ustanowienia „warsztatów narodowych,“ zwinięcie ich wywołuje słynne dni czerwcowe, w których szabla Cavaignac'a dokonywuje prawdziwego pogromu proletaryatu francuskiego, ubezwładniając go na długie lata.

Dopiero w r. 1863 klasa robotnicza ocknęła się. Zaczęło się skupianie w dwóch kierunkach. Żywioły bardziej rewolucyjne poszły za Blanqui'm, świeżo wypuszczonym z więzienia. Umiarkowańsi, zwolennicy Proudhon'a, zwani również mutualistami, stworzyli ruch syndykalny, zakładając podwaliny zawodowych or-

ganizacji robotniczych. Nieco później silny wpływ na robotników francuskich wywołała „Międzynarodówka“ i socjalizm niemiecki.

Komuna paryska 1871 r. uwieńczyła ruch socjalistyczny drugiego cesarstwa, jak powstanie czerwcowe uwieńczyło wielki ruch między r. 1840 a 1848. Komuna w ciągu 70 dni władzała Paryżem, utworzyła rząd, rozporządzała armią. Poza Paryż jednak rewolucya nie wyszła i to było przyczyną jej upadku. Najczynniejszy udział w komunie brali blankiści.

Po klęsce komuny najprzód odrodził się ruch syndykalny. Niemal nazajutrz po niej, bo w maju 1872 r. dwanaście organizacji zawodowych łączy się celem utworzenia „Związku syndykalnego.“ Narazie związek ten został rozwiązany przez władze, po 3 latach jednak powstał nanowo.

Wkrótce rozpoczęła się w nim walka między syndykalistami a kolektywistami marksowskimi, którzy skupili się koło Guesde'a.

Narazie na kongresie lionskim w roku 1878 Guesde zdobywa tylko 8 głosów. Jednak w rok później syndykaliści doznają porażki na kongresie w Marsylii. Następnego roku w Hawrze następuje rozłam. Odtąd marksści mają przewagę.

Z biegiem czasu syndykaliści zrewolucjonizowali się znacznie. Popularną wśród nich stała się idea strejku powszechnego, przez co doszli do uznania rewolucyi ekonomicznej i gwałtownych przewrotów, niegdyś potępianych. Zwolennicy nowej taktyki biorą górę nad marksistami, którzy występowali przeciw strejkowi powszechnemu.

Wśród marksistów nastąpił rozłam. Od zwolenników Guesde'a oddzielili się w r. 1882 stronnicy Brousse'a, którzy wystawili, jako program swój, stopniowe przeobrażanie dzisiejszego ustroju. Przeciwnicy nazywają ich „posybilistami.“ Od partii Brousse'a znów w r. 1890 oddzielił się Allemane ze swoją grupą, który zarzucał Brousse'owi, że zanadto dba o wybory, zaniebując propagandy zasad.

Wyznawcy zasad Blanqui'ego zorganizowali się po komunie jeszcze wcześniej, niż marksści, i utworzyli oddzielną zupełnie grupę, mającą duży wpływ na robotników. Na czele jej stanął Vaillant.

Prócz tych organizacji powstała jeszcze jedna — „Związek niezależnych,“ składająca się z bardzo różnorodnych żywiołów, które nie chciały się poddać dyscyplinie istniejących partii socjalistycznych i właściwie stanowiły przejście między socjalizmem a obozem radykalnym. Do „niezależnych“ zaliczają się Jaurès, Millerand, Viviani, uczniowie Malon'a, zwani integralistami i inni.

Ciągłe spory osłabiały ruch socjalistyczny, to też powstał ogólny prąd do zgody, który doprowadził do porozumienia się w r. 1898. Ale wstąpienie Milleranda do ministerium Waldeck-Rousseau wszystko zepsuło. Niezależni i posybiliści stali przy nim, inne zaś partie napadły na niego gwałtownie. Zjednoczenie przysło, żywioly nieprzejednane utworzyły „Partyę socjalistyczną Francyi,“ bardziej zaś umiarkowani złączyli się we „Francuską partyę socjalistyczną.“

Dopiero w r. 1905 nastąpiło nowe zjednoczenie, na którego mocy wszystkie dotychczasowe organizacye polityczne socjalistów złączyły się w jedną partyę socjalistyczną. Deklaracya, zatwierdzona przez kongres ogólny, stwierdza, iż partya socjalistyczna stoi na gruncie walki klasowej, w parlamencie tworzy jedno koło, które dążyć ma do utrwalenia i rozszerzenia wolności politycznych i praw robotniczych, w prasie swej dopuszcza zupełną swobodę w rozstrzyganiu kwestyi teoretycznych, wymaga jednak jedności w akcji.

Po zjednoczeniu socjaliści zerwali zupełnie z radykalizmem, z którym dotychczas niektórzy z nich współdziałali.

Jednem z najważniejszych zagadnień dla nowej partyi stał się stosunek do syndykalizmu, który, odrzucając walkę polityczną, coraz wyraźniej jednak wstępował na drogę rewolucyi społecznej. Szybki rozwój syndykatów poczyna się od roku 1900, gdy ich organ kierowniczy „Konfederacya generalna pracy“ utrwaliła swój wpływ i ostatecznie określiła swoje stanowisko. Sprawa strejku powszechnego dzieliła obóz socjalistyczny, większość jednak była za zbliżeniem się do syndykatów.

W ostatnich latach zjawilo się nowe zagadnienie: powstała silna agitacya antymilitarna Hervé'go. W sprawie tej zdania również były podzielone, w końcu na jednym z kongresów uchwalono większością głosów, że proletaryat narodu zagrożonego ma obowiązek bronienia niepodległości swej ojczyzny, wogóle jednak należy zwalczać wojnę wszelkimi sposobami, nie wyłączając strejku powszechnego i powstania.

Wogóle socjalizm francuski nie posiada w teoryi tej jednolitości, co niemiecki, w praktyce zaś jest znacznie bardziej rewolucyjny i skłonny do gwałtownych przewrotów.

Pod względem siły socjaliści francuscy są znacznie słabsi od niemieckich. W r. 1907 do partyi socjalistycznej należało 76 federacyi, skupiających 48,237 członków. Budżet instytucyi centralnych wykazywał dochodu 131 tysięcy franków, ogólny zaś budżet jest kilka razy większy. Posłów w parlamencie partya

posiada 51. Zdobyli również socjaliści niektóre rady miejskie, jedne oponowali całkowicie, w innych zaś zapewnili sobie pokazny udział w zarządzie.

Książka p. Pawła Louis jest utrzymana w duchu ściśle socjalistycznym, daje jednak dobry materiał informacyjny.

WACŁAW DUNIN.

ADAM WOLBERG. *Obwiniam prasę polską!* Historia t. zw. rewolucyi, okresu 1905 — 1907 roku, oraz uwagi o obecnej polityce kraju, 1910. Nakład własny. Lwów, główny skład na Galicyę H. Altenberg. Częstochowa, księgarnia F. Kalnickiego.

Wstępne słowo do swej pracy zaczyna autor od pobożnego życzenia, aby przed zniesieniem kary śmierci, o ileby to u nas kiedy miało nastąpić, powieszono „pro memoria“ kilku redaktorów warszawskich.

Swoją krwiożerczą zawziętość tłómaczy, wytaczając cały akt oskarżenia przeciw prasie polskiej. Widzi on w niej źródło ostatnich i dalszych nieszczęść kraju. Albowiem „prasa nasza ma na oku tylko schlebianie czytelnikowi“ i „utrzymuje moralność i umysłowość narodu na niskim poziomie.“ Albowiem „uzurpowała sobie monopol rozumu i, uprawiając cenzurę stokroć zgubniejszą od dawnej murawjowskiej, rozporządza się myślą i sumieniem narodu, jako swoją prywatną własnością.“ Albowiem „nie dość naszej prasie, że się sama nie umie wzniesć do należytej wysokości, lecz z całą niesumiennością i zarozumiałością prawdziwego ignorantą nie dopuszcza, by się przedostawały przez nią w społeczeństwo głosy narodu, o ile one nie są trzymane w jej tonie, to jest o ile się do gloryfikacji członków jej zakonu nie przyczyniają.“ Albowiem „system jej polega na otumanianiu w sprawach najważniejszych, na trzymaniu pod korcem wszystkiego, co choć w najmniejszej mierze miłość własną czytelnika zadrasnąć może, na fałszywym wyjaśnianiu oczywistych pomyłek i błędów naszych, a w najlepszym razie na pokrywaniu wszystkiego niesympatycznego—derką milczenia.“ Albowiem „prywatą i sprawy partyjne, jak były, tak pozostały do ostatniej chwili wytyczniami naszej prasy, i nie szczerą intencją, nie logiczne rozumowanie są dla niej miarodajne, lecz ambicje jej koryfeuszy.“ Albowiem „prasa warszawska umie tylko dawać mądre nauki i rady biurokracyi, że nie społeczeństwo jest dla biurokracyi, lecz biurokracya dla

społeczeństwa,“ ale „sama tych mądrych rad do siebie nie stosuje.“ Albowiem prasa nasza, nie mając miejsca na sprawy poważne, „poświęcała i poświęca szpalty swoje stekom błazeństw w rodzaju „Godów weselnych księcia Abu-Aza w australijskiem Honolulu!“

Że prasa nasza nie stoi na wysokości zadania i że ma dużo grzechów na sumieniu—temu trudno byłoby zaprzeczyć. Czy jednak w danym wypadku oskarżyciel ma słuszność?

P. Wolbergowi idzie o to, że prasa „zdławiła“ głos jego w sprawie lokautu łódzkiego, jaki wypowiadał w kilkunastu artykułach, przesłanych do różnych redakcyi warszawskich. Z artykułów tych zaledwie jeden ukazał się w druku, co autor uważa za „prawdziwy cud.“ Dalej chodzi p. Wolbergowi o to, że prasa stołeczna pominięła milczeniem jego program polityki krajowej, umieszczony w „Gazecie Częstochowskiej.“

W sprawie lokautu łódzkiego p. Wolberg zajął stanowisko, z którym nie mogła się zgodzić przeważna część naszej prasy. Słusznie potępiając bezładny i anarchiczny ruch strejkowy u nas w czasie rewolucyi, autor wyciągnął stąd konsekwencyę, że lokaut łódzki był konieczny dla otrzeźwienia mas robotniczych, dla uratowania przemysłu. Prasa nasza jednak nie mogła, pomijając już inne względy, nie stanąć w obronie polskiego robotnika przeciw obcemu fabrykantowi. Nie mogła też umieszczać artykułów, sprzecznych z jej poglądami.

Co się tyczy programu polityki krajowej, pisanego w listopadzie 1909 r., to autor występował przeciw współdziałaniu z kadetami, co posłowie w Petersburgu już wówczas uczynili. W pozytywnej części swego programu pragnął autor nadać przedstawicielstwu naszemu w Dumie charakter delegacyi krajowej, na co możnaby się zgodzić, choć z innych motywów, niż te, które przytacza p. Wolberg. Nie pozbawionym też racyi był pogląd jego, iż Duna jest raczej instytucją doradczą, niż istotnym parlamentem prawodawczym.

Głos p. Wolberga zasługiwał na omówienie, choć nie miał takiego znaczenia, jakie mu przypisuje sam autor. Spotkał go coprawda ten sam los, co wielu innych, gdyż prasa warszawska wogóle zamała uwzględnia opinie kół prowincjonalnych.

W. D.

WACŁAW BERENT. *Ozimina*, powieść. Nakład Jakóba Mortkowicza, 1911. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka, Lwów, H. Altenberg, 8-o, str. 339.

Dziwna jest karyera literacka Wacława Berenta.

Na wydanego przed kilkunastu laty „Fachowca“ nie zwrócono należytej uwagi; autor jego pozostał w cieniu. I dopiero w r. 1903 „Próchno“ odrazu uczyniło imię jego głośnem.

Od tej chwili upłynęło lat osiem, minęły krwawe dni rewolucyjne, pamięć tych wrażeń niezwykłych już zatarła się w umysłach świadków i uczestników. Berent wciąż milczał; nie wiedział nikt, że w ciszy swej pracowni przygotowuje nowe dzieło.

Dziełu temu na imię „Ozimina.“

Przedewszystkiem zapytać należy: jaki zachodzi związek pomiędzy tą ostatnią powieścią a dawniejszymi utworami Berenta? czy „Fachowiec“, „Próchno“, „Ozimina“ są objawami jakiejś wspólnej myśli społecznej? czy płyną one z jednego źródła jakiejś troski narodowej czy zamiaru estetycznego? czy też może każda z tych powieści luzem chodzi i jak przedziela je znaczny okres czasu, tak oddala jedną od drugiej zupełna różnorodność treści i formy?

Na pytania te nie można dać bezwzględnie twierdzącej ani bezwarunkowo przeczącej odpowiedzi. Aczkolwiek bowiem utwory te powstały w różnych okresach życia autora i w odmiennych warunkach bytu narodowego, co wszystko odbiło się na ich treści; aczkolwiek wszystko to, co nazywamy fakturą, inne jest zgoła w „Fachowcu“, inne znów w modernistycznym nawskroś „Próchnie“, a jeszcze inne w „Oziminie“, doprowadzającej nowoczesność stylu (w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu) do przesadnego baroku: jednak wszystkie trzy te utwory mają to między sobą wspólnego, iż dążą do zsyntetyzowania rozbieżnych objawów życia społecznego w pewnych jego momentach wydatnych.

„Fachowiec“, napisany jeszcze w dobie trwania hasła pracy organicznej i pozytywizmu, w postaci bohatera, wstępującego do fabryki, by pracować z ludem i dla ludu, przedstawia społeczeństwo polskie, zwracające się ku trosce nad rozwojem kultury ekonomicznej. „Próchno“, zrodzone w chwili najwyższego tryumfu „młodej Polski“, maluje społeczeństwo przeestetyzowane—nerwami, choć w samej rzeczy nieczułe i tępe na objawy piękna. „Ozimina“ wreszcie zbiera objawy rozkładu duszy narodowej w ostatnich latach.

Berent jest syntetykiem współczesności.

Ustaliwszy to, zwróćmy się do „Oziminy“ i zapytajmy: czy utwór ten wiernie uchwycił pewne objawy życia polskiego? czy wyprowadzona tu przez autora synteza nie jest zbyt pośpieszna? nie wspiera się na niedostatecznej ilości przesłanek?

Przedewszystkiem zauważmy, iż dążność do syntetyzowania jest w „Oziminie“ tak wielka, że rozsadziła ramy takich kategorii, jak czas i przestrzeń. „Ozimina“ jest powieścią jednej nocy. A choć to noc długa, zimowa, żadną miarą uwierzyć nie możemy, by jej kilku godzin — od otworzenia balu w bogatym, mieszczańskim domu baronostwa Niemannów aż do świtania — mogło starczyć na wszystkie opowiedziane tu wypadki.

Pomijamy już zmieniające się, jak w kalejdoskopie, sceny w salonach, buduarach i sypialniach, w przypuszczeniu, że istotnie ci ludzie, niewyczerpani w gadulstwie, całą noc, aż do białego dnia, pokonawszy w sobie fizyologiczne oznaki znużenia i potrzeby snu, mogą i chcą wykładać sobie nawzajem swoje teorie.

Ale pozatem w ciągu tej jednej nocy dzieją się takie rzeczy, jak: nadejście do Warszawy wiadomości o rozpoczęciu przez Japończyków kroków wojennych na Dalekim Wschodzie, manifestacyjny pochód po ulicach Warszawy młodzieży rosyjskiej, objawiającej gromko swe uczucia narodowe z powodu wypowiedzianej wojny, zawezwanie rezerwistów pod broń, pochód starowierów przez nasze miasto, pierwsze strzały i szarże i pierwsze ofiary z pośród ludu warszawskiego.

I musimy stwierdzić, że nietylko tak nie było, ale nawet wprost nie mogło być.

Oczywiście, nie można posądzić Berenta o nierozumne pogwałcenie chronologii i geografii. Cóż więc powodowało autorem „Oziminy?“

Oto pro prostu nie szło mu w najmniejszej mierze o realistyczną zewnętrzną wypadków, ale o uwydatnienie ich treści wewnętrznej. A że zgrupował je na niewielkiej przestrzeni czasu, uczynił to w tym celu, by tem jaskrawiej wystąpiła synteza duszy zbiorowej w danym momencie historii. W ten sposób powieść staje się nawpół fantastyczną, niepodobną do rzeczywistości.

Ale w takim razie, jeśli w liczbie przesłanek znajdują się czyste zmyślenia wyobraźni, synteza staje się tem samem chwiejniejszą.

To samo, co powiedzieliśmy o czasie, stosuje się i do drugiej kategorii — przestrzeni. „Ozimina“ jest nietylko powieścią jednej nocy, ale i powieścią jednego salonu. To, co się dzieje

na ulicach, to tylko epizody, służące do tem dobitniejszego podkreślenia myśli głównej.

Ten salon podczas nocy balowej wyrasta na pewnego rodzaju symbol dzisiejszej „Polski.“ Dzisiejszej — w przeciwstawieniu do owej Polski w dniu wczorajszym i onegdajszym, której zaniżającym echem jest stary, nawpół zdziecinniały dziadek, snujący się, jak blady cień, po salonach baronostwa, w pogardzie i opuszczeniu.

Jakiż więc jest ten dzień dzisiejszy w polu widzenia „Ozimy“ Berenta?

„Pani — mówi profesor z Krakowa, jeden z nielicznych uczciwych ludzi w tej dziwnej powieści, do swej przygodnej interlokutorki — wiek jeszcze nie minął, kiedy w takich oto salonach niewiasty zwracały się do mężczyzny z pytaniem: „Ileś waćpan harmat zdobył?“ Jakże inne wiodą tu dziś gawędy.“

Dziś salon taki przedstawia obraz „kłamnego tokowiska;“ „sabat to czarownic i szakali zlot przed dyabła ogniskiem“ i t. d.

Ale najwymowniejsze dla scharakteryzowania myśli głównej utworu są refleksye bohatera powieści, Bolesława Zaremby. „Dostyc pajączyny gnuśności—myśli on, patrząc na bezwstydnę salonową zalecanki—rozsnuwa się tu po kątach, aby z tej plewy nie miał wreszcie wyrosnąć właściwy plewnik cynizmu... Bo ta szaruga obrzydliwości w słowach i myślach, zohydzająca nieomal oblicza ludzkie, wżera się przecie w niejedne oczy, jak gęsta mgła, gotowa oślepić najniezawodniejsze w człowieku instynkty: zaszczone upiorami domniemanej życia brzydlivosti, egoizmy, nie czynne a tęskliwe, podlegają najłatwiej takiej właśnie sugestyi. W ten sposób pleni się to lichy zastoju: od przegniłych ku najwrażliwszym... Gdy fala energii powszechnych opada, kobietom przedewszystkiem leniwieją dusze i zatruwają się wyobraźnie próżne. Już nie ci, co „harmaty“ zdobywali, królują w marzeniach, lecz egzystencye na atmosferę pokojów najczulej wrażliwe — artyści; dokonywają im oni władz uczuciowych rozkładu, lub też sami w technieniu dusz leniwych i wyobraźni zatrutych giną“ i t. d.

Długo jeszcze na ten temat rozmyśla pan Zaremba, zresztą sam bynajmniej nie lepszy od innych samców buduarowych. Dość, że charakter chwili dzisiejszej widzi autor w obniżeniu poziomu ideałów, zatracie ducha rycerskiego, wystudzeniu serc, przeroście wyobraźni, a przedewszystkiem olbrzymim, potwornym sięgającym rozmiarów rozroście zmysłowości. Ten ostatni rys podkre-

śla autor niejednokrotnie we frazesach, mających dużą siłę obrazowości, chociaż nieco barokowych.

Oto kilka przykładów.

„Jej suknie... opadały ciężko na jeden bok, wyciskając obcisłe sowity kształt biodra... jej włosy wchłonęły, rzekłbyś, w siebie cały nadmiar wegetacyjnych soków wspaniałego ciała i zaskrzepły lśniąca żywica.“

„Oto lilia o wątpliwem paniństwie w oczach, osóбка, myjąca raz po raz kocia łąpką swą czarną główkę, tak wdzięcznie, tak poduszkowo w ramionach pochyloną...“

„Pochylona ku śpiewakowi, skręcała się w sobie, jak łodyga słonecznika, przęąc w tem przegięciu pychę i chłód nagiej piersi i wytłaczając niemal w przeciwną stronę ociśnięte sukniami biodra.“

„Wszystkie te kobiety siedzą nieco za szeroko na krzesłach, nie domykały się kolana nóg krótkich; sprawia to może pulchność osób, lub, co prawdopodobniej, ta, w bierności zawsze półsenna egzystencya hodowanych stworzeń, to ich nieustanne poczuwanie się do kobiecości—fizycznej.“

Wreszcie—jeszcze jeden obraz znamieny, jeśli chodzi o określenie myśli satyrycznej autora:

„Dziś!-dziś!-dziś!“—naganiały ich rytmny dziarskie w boisko ochoty. „Abo my to jacy-tacy! jacy-tacy!“ — wydymała piersi i gardzile pycha basu pijana. A skrzypce tej ciał młodych fantazyi rzucały pod stopy melodye, jakby z łopotu proporców dalekimi wichry zdmuchnięte, piosnki dawnej ochoty, co krwi własnością już się stały i na żyłach chyba grają, gdy tak w uszy wichrem uderzą i wskroś przez całe ciało przeleca, jak skry.

„Tańczono mazura.“

Niegdyś więc „łopot proporców“ i „zdobywanie harmat,“ dziś—tylko *pas* mazurowe...

Z powyższem wiąże się bezpośrednio jeden jeszcze motyw „Oziminy,“ którego niepodobna nam ominąć w naszych rozważaniach. Oto w ten tłum mężczyzn zniewieściałych i kobiet o zatrutych wyobraźniach, słowem, schyłkowców i histeryczek, wprowadza Berent wyniosłą, dumną, samym świetnym mundurem wyróżniającą się postać pułkownika — Rosyanina. I przeciwstawia jego męską odwagę, zimną krew, energię, nawyk do rozkazywania—ich słabości fizycznej i duchowej; jego otwartość, szczerotę i prostotę żołnierską—ich układności salonowej i obłudzie. A przytem wkłada w usta jego niejedno gorzkie słowo pod adresem zebranego w salonach państwa Niemannów towarzystwa.

„Wy tu nietylko na swoją niemoc chorujecie—rozmyśla ten słowianofil swojego rodzaju — lecz i na Rzymu zgrzybiałość, na Francji zniewieściałość, na Niemiec gruboskóre zmateryalizowanie... Czorczi wszystkich nacyi swarzą się o duszę waszą.“

„I na co to wszystko? — mruczy pod wąsem gdzieindziej.— Po co tak przechytry krok ich tu każdy? Jakie sprawy tu zawile, jakie losy tu się ważą? Po co te przyjaźnie, umizgi, świadczenia i obłudy?“

„Za gwałtowny był ten męski mus nagłości wojennej dla tej słabizny—mówi do zebranych z powodu powołania pod broń rezerwistów.— Na plac boju przyślą nam pewno niemało takich; osobliwie z tych tu stron, gdzie na słabizny urodzaj dziś taki sławny.“

„Ot i generał sam!—mówi do siebie, patrząc na gospodarza, barona Niemanna, udzielającego mu w dreszczach przerażenia wiadomości o przybyciu żandarmów na rewizyę— ot i głównokamandujuszczy ichniej tu dziś egzystencyi, tej omiękłości i zniechęcenia życia, tego królowania kobiet i całej tej mierzawszczyzny!“

Wnioski są bezwzględnie krańcowe, niezwykle jaskrawe. A chociaż nasi współcześni pisarze, zwłaszcza niektórzy, przyzwyczają już nas zdążyli do „gryzienia“ nie „sercem,“ jak Słowacki, ale wątrobą, pomimo to słowa i myśli pułkownika odczuwamy niemal jak — zniewagę.

Czy takiego wyniku spodziewał się autor? Nie sądzimy. A jeżeli my to tak czujemy, to dlatego, że pomiędzy nim a nami istnieje jakieś zasadnicze nieporozumienie; więcej nawet, on sam jest z sobą w nieporozumieniu, w sprzeczności.

Sprzeczność ta, naszym zdaniem, stąd początek bierze, że autor, w przesadnej dążności do skoncentrowania kompozycyi, nazbyt już zwęził pole widzenia. Dowolność ta zemściła się na nim okrutnie: gardząc realistyczną powłoką odtwarzanych wypadków, autor zachwiewa wiarę w słuszność swych wywodów, a zamykając całą akcyę w ciasnych ramach salonu państwa Niemannów, stawia czytelnika wobec pytania: jakież jest stosunek Polski do tego domu i do tych ludzi?

Byłaby ta ciżba ludzi lękliwych, obłudnych i rozpustnych symbolem całej Polski? Wniosek ryzykowny, ale jedynie usprawiedliwiający zjadliwe przymówki w ustach pułkownika, który, jak cytaty powyższe wskazują, nie różniczkuje nic, kiedy mówi o „tych tu stronach“ i polskiej „słabiznie“ rzuca w twarz swą rosyjską, ciężką rękawicę pogardy?

Ale wniosek taki byłby, jak wiele rzeczy w tej powieści, zgoła dowolny. I sądzimy, iż stwierdzanie tego dowodami wprost ubliżałoby godności narodowej i piszącego te słowa, i tych, którzy je będą czytali.

Więc nie! więc salon pp. Niemannów, pełen kosmopolitycznej kanalii, nie jest obrazem całej Polski? Ależ w takim razie upadają wszelkie założenia autora: bo że t. zw. wyższe warstwy społeczne we wszystkich społeczeństwach europejskich są w części zgangrenowane, nad tem nie trzeba się rozwodzić; i Warszawa pod tym względem jest sielską Arkadyą w porównaniu z Paryżem, Berlinem, Wiedniem, Petersburgiem. „Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi,“ trzeba sobie powiedzieć z rezygnacją— a ta skorupa nie gorsza u nas i nie inna, niż na szerokim świecie. Słowem, rysy obyczajowe, przedstawione w „Oziminie,“ nie są wyłącznie własnością polską. Ale jeżeli tak, musimy przyjąć do wniosku, że poszukiwanie współczesnej duszy polskiej zawiodło Berenta na manowce, a nakreślony przezeń obraz społeczeństwa naszego w dniu dzisiejszym jest fałszywy, jak mówią malarze, źle narysowany, słowem, są to wnioski, oparte na niedostatecznej ilości przesłanek.

I teraz dopiero moglibyśmy rozprawić się z pułkownikiem, zadać mu kłam w oczy, gdyby nie to, że bronią ścisłych argumentów zbyt łatwe, mało zaszczytne odnieśliśmy zwycięstwo, a mierzyć się z nim jego własnym orężem, połajanek, nie mamy bynajmniej chęci...

Na zakończenie—kilka słów o stylu „Ozimy.“ Coś w niej jest, że użyjemy ulubionego wyrazu Berenta, „fascynującego“: wielka zdolność obrazowania, przybierania w kształty widome pojęć oderwanych, ujmowania w skrótach zjawiska, osoby, ruchu. Ale ta zdolność „myślenia obrazami“ dochodzi w „Oziminie“ do przesady, przeradza się tu i owdzie w nieznośny barok, jakby za dobrych czasów Mariniego czy Gongory.

Nie chcemy mnożyć cytat. Podamy więc jeden tylko przykład, obraz pogrzebu: „Karawan brzydki, aż do załkania, kołatał i zgrzytał chwiejnemi kołami pod zakasaną spódnicą żalobnego wozu, pluskał po kałużach, kolebał trupem w pudle i podązał głupkowatym truchcikiem indolencyi w grzązkie piachy podmiejskie. Chowano marzyciela. Ta smętna karykatura rodzimego pogrzebienia wrażała mu (t. j. Zarembie) w mózg jakby brunatno-żółtą barwę rdzy, co przeżera, zda się, tę nędzę okólną i rzuca się nieomal na ludzkie oblicza, stępia nagle marudą bezduszną, która jest na tych twarzach beznadziejnym smutkiem apaty.“

Dziwaczność stylu „Oziminy“ podnosi jeszcze nadmiar wyrazów niezwykłych, nanowo ukutych, często wbrew duchowi języka, jak np.: zopierzały, chrom, pakość, zachwytiliwy, zaszum, szelestny, pierst, dobrobytowy opas, nachajny, frywolny, rozpuch, wysłużny, stupor, wygłos, żagwienie się, rozgar, otrząs, zamra, spad, niepoimny, copel, zacisk, omrok, nęk i t. d.

Jak na manowce zesłała myśl narodowa „Oziminy,“ tak i jej forma artystyczna błąka się nieraz po bezdrożach.

HENRYK GALLE.

MAURYCY MANN. *Rozwój syntezy literackiej*, od jej początków do Gervinusa. Kraków. 1911, str. 131. Nakładem Akademii Umiejętności.

Wśród naszych prac nad historią literatury, zajmujących się przeważnie drobnymi choć pożytecznymi przyczynkami, szczegółami, dotyczącymi pewnych autorów lub utworów, rzadko tylko obejmujących w specjalnych monografiach całokształt twórczości jakiegoś pisarza, a jeszcze rzadziej wychylających się poza dziedzinę literatury polskiej — stanowi praca p. Manna objaw wyjątkowy i zasługujący na uwagę. Zamierzył on dać w rozwoju historycznym obraz „syntezy literackiej,“ obraz rozwoju usiłowań w kierunku ujęcia większej ilości zjawisk literackich, jednym słowem zamierzył opracować historię historii literatury, jak się ona w Europie przedstawia, od jej źródeł i postaci pierwotnych, aż do chwili zupełnego rozkwitu w dziełach Villemaina i Gervinusa.

Omówienie tych postaci pierwotnych syntezy literackiej znajdujemy w rozdziale pierwszym, poświęconym okresowi od czasów rzymskich aż do wieku XVI. Autor przechodzi pokrótce literaturę krytyczną łacińską, wyławiając pilnie te dzieła, w których dopatrzyć się można choćby pewnych śladów ujęcia w całość wybitniejszych utworów literatury greckiej i rzymskiej (Kwintylijan). Wieki średnie, zagłębiione w ćwiczeniach gramatycznych, stylistycznych i retorycznych, również nie popchnęły naprzód tej gałęzi wiedzy. W dziełach kompilacyjnych uczonych średniowiecznych przechowały się tylko mniej lub więcej cenne materiały historyczno-literackie (Hezychiusz z Miletu, Focysz, Jan Tzetes). W rozpowszechnionych w w. XIII encyklopediach znajdujemy i wzmianki o znakomitszych pisarzach lub ich utworach („Zwierciadło“ Wincentego z Bauvais) oraz zbiory życiorysów (Walter Burleigh). W późniejszych wiekach zaczynają mnożyć się katalogi i spisy bibliograficzne, rozpoczyna się praca nad metodyką

nauk (Possevin), wytwarzają się różne typy biografii, jak pamiętniki i wiersze pochwalne, wreszcie do wielkiego rozkwitu dochodzi nauka poetyki. Niektóre z nich zawierają już w zawiązku historię poezji (we Włoszech Muzio i Patrici, w Anglii Puttenham). Ale i te wszystkie studia nad literaturą nawet w w. XVI nie zostały uwieńczone syntezą historyczną, któraby odpowiadała wymaganiom naukowym.

Dopiero wiek XVII przynosi poważną, głębiej pojętą metodę syntezy literackiej w dziełach Franciszka Bacona. Rewolucyjne jednak poglądy jego przeszły na razie bez echa. „Historia literatury w wieku XVII nietylko nie rozwija się w stosunku do wieku poprzedniego, ale przez lat kilkadziesiąt znajduje się w zupełnym uśpieniu i martwocie; dopiero przez dwa ostatnie dziesięciolecia w. XVII ożywia się ruch na tem polu, wydając kilka poważniejszych dzieł“ (str. 25). Dotyczy to głównie Daniela Jerzego *Morhafa*, który daje pierwszą w literaturze niemieckiej historię poezji nowożytnej i w sposobie ujęcia przedmiotu, traktowanego porównawczo, zwiastuje już prawdziwą, naukową historię literatury. We Francyi Karol *Sorel* stworzył coś w rodzaju poradnika krytycznego, w którym omówił krótko wybór najcelniejszych dzieł francuskich. „*Jugemens des savans Bailleta*“ były imponującą pod względem rozległości pracą, obejmującą systematyczny zbiór sądów krytycznych o wszystkich pisarzach od Mojżesza i Homera aż do chwili bieżącej. Analogiczne dzieło wydał w Anglii *Sir Thomas Pope Blount*. Okres ten zamyka autor wzmianką o bibliografach i biografach włoskich (Rossi) oraz o naszym *Starowolskim*, którego „Setka pisarzy polskich“ „zupełnie wytrzymuje porównanie z podobnemi pismami u obcych, a zasługa Starowolskiego wzrasta, gdy się zważy, że on pierwszy przeorał pole dotychczas (w Polsce) nietknięte“ (str. 44).

Wiek XVIII, przełomowy w literaturze powszechnej, stanowi również przełom w dziejach syntezy literackiej. Wtedy to przypada najwyższy rozkwit metody starej a zarazem jej koniec. Praca nad historią literatury zaczyna się organizować, mnożą się wydawnictwa pomocnicze: bibliografie, encyklopedye, słowniki biograficzne, miesięczniki krytyczne, rozwijają się biblioteki, powstają nowe uniwersytety. Po takim dopiero okresie przygotowawczym będzie mógł wystąpić Herder i pchnąć historię literatury i jej metodę na nowe tory. Zanim jednak do tego doszło, szła praca w dawnym kierunku podręcznikowo-kompilatorskim. W Niemczech odznaczyli się w tym kierunku *Reimmann*, *Heumann*, *Stolle*, *Koch*, we Włoszech *Mazzuchelli*, autor cennego sło-

wnika bio-bibliograficznego, *Tiraboschi*, autor słynnej 14-tomowej „Historji literatury włoskiej,” wreszcie *Jan Andrès*, jezuita hiszpański, twórca syntezy literackiej wartości niepowszedniej, która miała być obrazem filozoficznym postępów i rozwoju literatury. We Francji, obok wydawnictw encyklopedycznych, mających wartość tylko jako zbiory materyałów, zaczynają mnożyć się „kursy literatury,” z których najslawniejszym jest kurs *La Harpe'a*. W Anglii stwarza nowożytny typ biografii literackiej *Samuel Johnson*, a dopełnia go *Warton* studjami nad dawną poezją angielską, średniowieczem i renesansem.

Wiekowi XIX, od Herdera do Gervinusa, poświęcone są dwa ostatnie rozdziały rozprawy, zawierające jedną trzecią objętości. Na tle głównych rysów filozofii Leibniza kreśli autor przełomowe znaczenie *Herdera* dla historii literatury; zawiele tylko wagi przywiązuje do wpływów czysto literackich na tę postać, posuwając się aż do twierdzenia, że „na krytyka, historyka czy filologa działają decydująco książki—i tylko książki“ (str. 86). Zapomina tu autor, że nikt, nawet krytyk i filolog, nie może być wyjęty z pod wpływu całokształtu stosunków i warunków, wśród których żyje — a tembardziej nie może to stosować się do *Herdera*, który nie był zasuszonym mółem książkowym, ale człowiekiem żywym.

W kierunku wytkniętym przez *Herdera* idzie teraz cały szereg pracowników, jak pani *de Staël*, *Schleglowie* (*Wilhelm* i *Fryderyk*). Stworzone przez tych pisarzy zasady metody porównawczej teorii środowiska i nieprzerwanej ciągłości zjawisk zaczęły teraz z wolna przenikać i do opracowań syntetyczno-literackich takich jak *Hartmanna*, *Wachlera*, *Eichhorna* i *Bouterweka*.

Omówieniem działalności historyczno-literackiej *Villemaina*, *Ampère'a* i *Gervinusa* kończy się rozprawa p. *Manna*, zawierająca przedewszystkiem bardzo obszerny materyał, zebrany pracowicie i sumiennie i czerpany z pierwszej ręki. Zatrzymaliśmy się trochę dłużej nad streszczeniem go, żeby dać ogólne przynajmniej pojęcie o jego bogactwie i rozległości. Dopiero też po stwierdzeniu, jak wieleśmy się z pracy p. *Manna* nauczyli, przystąpić możemy do zwrócenia uwagi na pewne jej braki natury ogólniejszej. Chodzi tu przedewszystkiem o pewien zbyt formalny, a więc sztuczny podział materyału, dokonany przez autora, z czego w konsekwencji wynika sztuczność samej jego koncepcji „syntezy literackiej,” oderwanie jej, z przyczyn czysto formalistycznych, od pokrewnej jej, a czasami nawet ściśle z nią złączonej, dziedziny monografii, krytyki literackiej, estetyki, teorii literatury i t. p.

Autor powiada na wstępie: „Historia literatury opracowuje przedmiot dwojako: w syntezach i monografiach. Syntezą literacką zwie się historyczne ujęcie większej ilości zjawisk literackich, gdy tymczasem monografia obejmuje tylko grupy niewielkie lub nawet zjawiska odosobnione.“ Jest to prawda, ale tylko konwencyonalna, gdy chodzi o *zakres* opracowań historyczno-literackich, ale nie o ich *metodę*. Przedewszystkiem pojęcia: „*większa i niewielka* ilość zjawisk literackich“ są bardzo nieściśle i nie mogą służyć za podstawę podziału logicznego. Gdzieby np, w takim razie wsadzić książkę o dwóch albo trzech autorach lub utworach, do „syntezy“ czy też monografii? A więc przy takim podziale nawet „ilość“ rozstrzygać nie może. Natomiast co się tyczy *metody historycznej*, to metoda ta stosowana jest (lub być powinna) zarówno w monografiach jak i syntezach. Monografista ma do czynienia z mniejszym ilościowo i mniej różnorodnym jakościowo materiałem aniżeli „syntetyk“, ale i on musi cały szereg zjawisk literackich ugrupować chronologicznie, musi je postawić na odpowiednio podmalowanym tle, musi je porównywać z innymi zjawiskami pokrewnymi lub sprzecznymi, wykazywać ich genezę i oddziaływanie, analizować je z rozinaitych stanowisk i t. p. Jednym słowem musi traktować tak samo twórczość jednego dajmy na to pisarza, jak syntetyk traktuje cały ich szereg. Zasadniczej różnicy tu niema—są tylko drobne, A więc p. Mann, łączając z zakresu swej pracy t. zw. monografię, ścięśnia ją zbyt i uboży, pomija całą dziedzinę badań, właściwie ściśle do jego tematu należąca. Przez to obraz jego staje się niepełny, pozbawiony pewnych rysów charakterystycznych, jakby przybladły w wyrazie. Tak samo, mniej więcej, ma się sprawa z estetyką i krytyką literacką. Są to dziedziny, zasadniczo wzięwszy, niewątpliwie odrębne od historii literatury, ale bez których ona absolutnie obejść się nie może, na których rezultatach musi budować tak samo jak i na opracowaniach monograficznych. Jeżeli zaś te rezultaty ignoruje, staje się suchym zbiorem życiorysów i dat, a nie syntezą literacką w nowoczesnem tego słowa znaczeniu. Wykazywanie konieczności opierania się w syntezach historyczno-literackich na ogólnych zdobyczach filozofii i psychologii zadalekoby mnie zaprowadziło, jak niemniej wykazywanie pokrewieństw pomiędzy historią literatury a krytyką literacką, sądzę jednak, że zwłaszcza co do tego ostatniego punktu, powinna już nastąpić pewna rewizya pojęć.

Sam autor zresztą nie zawsze, pomimo wysiłków w tym kierunku, utrzymuje się na swoim stanowisku formalistycznym

i utrzymać się na niem nie może. Z konieczności musi od czasu do czasu zbaczać w dziedzinę estetyki i krytyki literackiej, omawiać dzieła tego rodzaju, w których znajduje częstokroć więcej nowych i świeżych pomysłów syntetycznych i metodycznych, aniżeli w oficjalnych, potwornych pod względem metody i kompozycji „syntezach,” które właściwie na to nazwanie zupełnie nie zasługują. Tak samo i w stanowisku wyznaczonem np. Leibnizowi, dowodzi autor, że zdaje sobie sprawę ze znaczenia filozofii w rozwoju syntezy literackiej. Gdyby był zechciał włączyć w zakres swej pracy przynajmniej „monografię“ w szerokim tego słowa znaczeniu, byłby może nie potrzebował zajmować się tyle rozmaitymi poronionymi i nieszczęśliwymi pomysłami „syntetycznymi,” wyliczać tylu słowników i encyklopedyi—a natomiast wypełniłby niektóre luki, powiązał niektóre obecnie w oderwaniu od siebie stojące zjawiska, dał obraz pełniejszy i bardziej plastyczny rozwoju tej gałęzi wiedzy. O ile p. Mann zamierza dalej kontynuować tę tak pożyteczną i potrzebną naszej literaturze naukowej pracę, musi sobie zdać sprawę z tego, że im dalej w wiek XIX, tem trudności utrzymania się na stanowisku „czystej syntezy,” oderwanej od wszystkiego innego, bardziej się będą piętrzyły i grozić wprost zatorem nie do przebycia.

M. KRIDL.

D-R KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI. *Studia z zakresu statystyki wędrowek. Z 4 tablicami graficznymi.* Kraków, drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1909. 8-o, str. 134.

Studjum niniejsze zastanawia się szczegółowo nad znaczeniem, metodami i dotychczasowymi wynikami statystyki wędrowek. Przedmiot jej stanowią wszakże te tylko wędrowki ludności, które mają przede wszystkim znaczenie demograficzne, a nadto są objawem stosunków ekonomicznych i socjalnych, czasem także politycznych pewnych terytoriów. Nie miejsce tu zatem na ruch podróżnych w celach turystycznych, kupieckich, przemysłowych i służbowych. Również nie należy do zakresu statystyki wędrowek przenoszenie jednostek lub całych grup jednostek ludzkich w drodze przymusowej deportacji, więzienia, rozłożenia wojsk i t. p. Z tych samych powodów wyłącza też autor z tej dziedziny objawy tego rodzaju, jak wałęsanie się bez celu lub wędrowki hord koczowniczych, ograniczając statystykę wędrowek dla cyfrowego ujęcia tych wszystkich, z dobrowolnie powziętego posta-

nówienia wynikających, objawów ruchu ludności, które powstają wskutek wędrówek tej ludności w obrębie granic lub też poza granice pewnej jednostki administracyjno-politycznej, gospodarczej, etnograficznej lub geograficznej, obejmującej swym obszarem dotychczasowe miejsce pobytu emigrantów, a to bez względu na to, czy z tym ruchem łączy się powzięty zamiar stałej czy tylko czasowej zmiany dotychczasowego miejsca pobytu.

W zakreślonych w ten sposób statystycznych badaniach wędrówek autor ma na oku cel podwójny: ujęcie cyfrowe wędrówek ludności dla poznania ich morfologii, tudzież rozłożenia tego rodzaju ruchu ludności na takie części składowe, by na ich podstawie wyświetlić znaczenie wędrówek dla demografii. Stara się on przeto wybadać z jednej strony szczegóły, badane zwyczajnie podczas statystycznego ujęcia tak stanu ludności, jak i zmian w tym stanie, wywoływanych przez urodzenia, zgony, małżeństwa, z drugiej zaś strony uwzględnić pewne szczególne momenta, wynikające z istoty samych wędrówek.

Do pierwszych należą obok imienia i nazwiska poszczególnych jednostek, płeć, wiek, miejsce urodzenia, narodowość (język), przynależność państwowa, religia, stan cywilny, stopień oświaty, zawód i stanowisko, zajmowane w tym zawodzie; drugie obejmują dotychczasowe miejsce zamieszkania, cel wędrówki (państwo, kraj, gmina), jej rodzaj (stała, czasowa) i ewentualnie jej przyczyny, dalej czy dana jednostka wędruje sama lub z rodziną, wreszcie, który raz wychodzi na wędrówkę. Również wchodzi tu w rachubę zasób pieniędzy, wywożonych przez wychodźców, względnie przez emigrantów.

Autor omawia szczegółowo wszystkie te zjawiska ze stanowiska statystyki porównawczej, o ile statystyka ta do tych porównań należyta daje podstawę, wskazując przytem na szereg ważnych w tym względzie momentów.

Płeć przedstawia bardzo ważny czynnik także ze względu na analizę danego ruchu wychodźczego. Wzajemny stosunek obu płci pośród emigrantów pomaga często do rozpoznania jego istoty, gdyż wychodźcy, idący na stałe osiedlenie, biorą z sobą za zwyczaj także i swoje rodziny, względnie sprowadzają je potem z ojczyzny. Przy emigracji czasowej, zwłaszcza zamorskiej, w zasadzie płeć męska poważną cyfrą przeważa nad kobietami bez większych wahań, nadając zarazem samemu ruchowi charakter emigracji jednostkowej w przeciwstawieniu całych rodzin.

Wędrówki obejmują przede wszystkim żywioty, przedstawiające największą siłę w uwarstwieniu ludności według wieku

i tu znaczenie statystyki wieku wychodźców, względnie imigrantów, dla demografii wystąpi w całej pełni. Jeżeli mamy do czynienia z emigracją stałą o charakterze kolonizacyjnym, w której uczestniczą całe rodziny, to będziemy widzieli wśród wychodźców, obok osób w sile wieku, także i dzieci, przeciwnie zaś przy wychodźstwie czasowem, zarobkowem emigrują prawie wyłącznie jednostki, będące w pełni sił, a więc w średnim wieku.

Kwestya przynależności państwowej i narodowości jest, ze względu na ruch emigracyjny, o tyle ważna, że w niej można często znaleźć wyjaśnienie przyczyn i dróg badanej wędrówki. Stosunki ekonomiczne, polityczne i t. d. mogą rozmaicie wpływać na ruch emigracyjny i często można się doszukać przyczyn stałości lub czasowości wychodźstwa z pewnego państwa właśnie w datach, dotyczących narodowości emigrantów. Typowym przykładem może być Irlandya, gdzie masowa emigracya, wywołana przyczynami politycznymi i socyalnymi, pociągnęła za sobą obniżanie się cyfry ludności. Ze stanowiska statystyki administracyjnej przynależność państwowa i narodowa wychodźców, względnie imigrantów, przedstawia się jako rzecz nie małej wagi i dlatego także, ponieważ wskazuje o ile jednolitość państwowa czy narodowa rozluźnia się pod wpływem wędrówek, czy to wskutek ubytku rodzimych żywiołów, czy też pod wpływem napływu obcych pierwiastków.

Zróżniczkowanie ludności według wyznania może pod wpływem wędrówek ulegz poważnym zmianom, często wywołują one tak daleko sięgające przesunięcia w składzie ludności, że stan jednego wyznania rośnie w siły, drugiego przeciwnie—upada.

Badanie stopnia oświaty emigrantów dotyczy przede wszystkim elementarnej znajomości czytania i pisania. Chodziłoby w tym wypadku głównie o następujące kwestye: 1) czy istnieje jaki związek między oświatą emigrantów a charakterem samego ruchu, 2) czy stopień oświaty oddziałuje na bezpośrednią pobudkę wędrówek, 3) jak wędrówki wpływają na stan oświaty w terytoryach, między którymi się odbywają. W ten sposób statystyka zagłębia się z momentem oświaty emigrantów już w sam rdzeń i istotę badanych wędrówek i opiera je na szerokiej podstawie, gdyż zniemiera do uchwycenia związku między wędrówkami a dorobkiem kulturalnym społeczeństwa w najszerszym znaczeniu.

Przy badaniu kierunku wędrówek zajmuje uwagę przede wszystkim punkt początkowy i końcowy wędrówki, to jest miejsce, z którego emigrant wychodzi, i cel jego wędrówki, a wreszcie i pewien punkt pośredni, leżący między dotychczasowem miej-

scem pobytu emigranta a krajem, do którego wychodźca zdąży, wówczas zwłaszcza, gdy fale emigracyjne zatrzymują się chwilowo po drodze, aby dopiero po jakimś czasie podjąć dalszą wędrówkę.

Jednem z najważniejszych zagadnień w problemacie emigracyjnym jest niezawodnie ustalenie charakteru wychodźstwa ze względu na to, czy wychodźca zamierza na stałe opuścić swą dotychczasową ojczyznę, czy raczej myśli do niej powrócić po pewnym czasie. Ma to doniosłe znaczenie dla statystyki obu terytoriów, gdyż w razie wędrówki czasowej, zmiany, wywoływane przez nie w ilościowym i jakościowym składzie ludności, w jej ruchu naturalnym, rozwoju kulturalnym i ekonomicznym, doznają pewnego osłabienia w chwili, gdy się zacznie, względnie, gdy się już dokona ruch powrotny do pierwotnego punktu wyjścia danej wędrówki. Autor w tym względzie dowodzi, że koniecznem jest ujmowanie statystyczne ruchu powrotnego z wędrówek, tudzież wypadków powtórnej emigracji przez statystykę ojczyzny wychodźców, którego uzupełnieniem i kontrolą może być z jednej strony—wyodrębnianie emigracji czasowej według stwierdzonego zamiaru wędrówców, z drugiej zaś—statystyka krajów imigracyjnych, zapisująca wielokrotne przychodźstwo.

Rozróżnienie wędrówców według zawodów jest pożądanę często ze względu na wytłómaczenie przyczyn lub pewnych form emigracji. Autor zwraca tu jednak uwagę na ten ważny szczegół, że emigrant może należeć w swojej ojczyźnie do zupełnie innej grupy zawodowej od tej, do której wstąpi, względnie zamierza wstąpić, na emigracji. Dla statystyki emigracyjnej jest równie ważną rzeczą ująć cyfrowo w ojczyźnie wychodźców osłabienie pewnych grup zawodowych pod wpływem wędrówek, jak i badać, o ile jednostki, należące do pewnych zawodów, przerzucają się na obczyźnie na inne pole pracy, na którym łatwiej mogą znaleźć kawałek chleba. Stanowisko, zajmowane w danym zawodzie jest znów o tyle ważne, że nie tylko pozwala wejrzeć w socyalne ukształtowanie badanej masy emigracyjnej, lecz także może służyć za ważną wskazówkę do poznania charakteru emigracji. Przy emigracji jednostkowej i czasowej będą wędrowały najliczniej jednostki, zajmujące stanowisko samodzielne, natomiast w razie wychodźstwa stałego i w związkach rodzinnych przeważać będą członkowie rodzin bez samoistnego stanowiska.

Bardzo ważne, ale i bardzo trudne do rozwiązania zagadnienie przedstawia pytanie, jakie zasoby pieniężne wywołają emigranci zagranicę. Na kilka momentów zwraca też autor szczególną uwagę. Gotówka, przywieziona przez emigranta do Ameryki,

a wykazywana przez statystykę północno-amerykańską, jest tylko tem „netto“, które mu pozostało po pokryciu kosztów podróży. Autor sądzi wszakże, że statystyka kraju ojczystego z o wiele większym skutkiem może zająć się zbadaniem innych ważnych szczegółów, czy np. wychodźca ma w kraju jakąś nieruchomość, a jeżeli ją miał i pozbył się jej, czy przyczyną sprzedaży była chęć uzyskania środków pieniężnych na wędrowkę i t. p. W ten sposób możnaby śledzić, o ile z wychodźstwem połączone jest mniej lub więcej lekkomyślne wyzbywanie się ojcowizny, względnie o ile wychodźca idzie tylko po to w dalekie kraje, by wrócić z zaoszczędzonym groszem na rozszerzenie dobytku.

Po omówieniu przedmiotów badania roztrząsa autor szczegółowo *metody* badania. Badanie to, jak wszelkie wogóle badanie ruchu ludności, winno się oprzeć na obserwacji ciągłej i bezpośredniej. Gdy ta metoda wszakże nie wszędzie może znaleźć zastosowanie, pozostaje niejednokrotnie tylko obserwacja pośrednia. Jest to metoda wielce niedoskonała, bo usuwa z pod badania samo zjawisko, które ma być zbadane, kładąc wnioskować o jego ilościowej wartości i jakościowym różniczkowaniu ze znamion innego zjawiska, wnioskowanie to zaś musi się nieraz ograniczać do pewnych cech zewnętrznych, a w ten sposób zmniejszać także siłę prawdopodobieństwa całej konstrukcji logicznej. Jeżeli zaś między temi zjawiskami zachodzi wewnętrzny związek, to wtedy zwykle możliwem będzie tylko stwierdzenie ostatecznego ilościowego wyniku rozwijania się i działania tego zjawiska, o które nam chodzi, bez możności ujęcia jego wewnętrznego różniczkowania tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym. Typowego przykładu dostarcza właśnie jedna z głównych metod pośredniego badania emigracji za pomocą wyników spisów ludności. Za podstawę przyjmuje się wówczas stany ludności, stwierdzone dwoma spisami, przeprowadzonymi w pewnym odstępie czasu. Ilość mieszkańców, według czasowo wcześniejszego spisu, powiększa się o naturalny przyrost ludności (t. j. nadwyżkę urodzeń nad zgonami), stwierdzony w okresie między dwoma podstawowymi spisami, a następnie porównuje się ze stanem ludności według czasowo późniejszej konkskrypcji. Uzyskaną w ten sposób różnicę określa przyrost, względnie ubytek, ludności pod wpływem wędrowek. Jest to metoda niedoskonała, bo nieznanym pozostaje tu zarówno cel i charakter, jak i drogi wędrowek.

Więszemi zaletami odznacza się metoda, polegająca na posługiwaniu się wynikami statystyki miejsca urodzenia spisanej ludności, a jakkolwiek ma tę wadę, że rozporządza tylko osta-

tecznym wynikiem ruchu wędrownego, stwierdzonym w pewnej chwili, to jednak wadliwość ta może być złagodzoną w dwu kierunkach: za pomocą odpowiedniego ułożenia pytań przy spisywaniu ludności można samo zjawisko wędrowek o tyle oświetlić, że wprowadzenie szczegółów geograficznych rozjaśni nieco kierunek wędrowek tudzież ilościowe napięcie poszczególnych odgałęzień tego ruchu. Wady te mogą być także złagodzone za pomocą połączenia szczegółów geograficznych z szerszem uwzględnieniem czasu przybycia do miejsca pobytu, względnie i opuszczenia miejsca urodzenia w celu wywędrowania.

Te same wady i zalety posiada także statystyka cudzoziemców, spotykamy się tu bowiem z trudnością odróżnienia emigracji od ruchu podróźnych i tu także usuwają się z pod statystycznego ujęcia te wszystkie wędrowki, które przesuwały się przez dane terytoryum czasowo, w okresie, poprzedzającym chwilę spisywania obcokrajowców. Wszakże przez wewnętrzne zróżniczkowanie według płci, wieku, zawodu i t. d. można zyskać podstawę do ściślejzego zanalizowania badanej masy ludności.

Pomocniczym sposobem badania wędrowek może być posługiwanie się statystyką ruchu osobowego zakładów komunikacyjnych i wykazami publicznych i prywatnych biur pośrednictwa pracy tudzież agencji okrętowych.

Wszystkie te jednak metody pośredniego badania statystycznego wędrowek nie mogą dać pełnych wyników. Aby mózdz poznać statystycznie demograficzną i socjalną morfologię wędrowek, trzeba ich badanie oprzeć na bezpośredniem zetknięciu się z obserwowanym przedmiotem, czyli należy przyjąć zasadę zapisywania każdego objawu wędrowki. W tym względzie autor rozróżnia wędrowki wewnętrzne i immigrację z zewnątrz od wychodźstwa zewnętrznego. Badanie pierwszych powinno polegać na powszechnym i jednolitym katastrze bieżącym ludności, opartym na powszechnym obowiązku meldunkowym. Do ujęcia emigracji zewnętrznej koniecznym jest złożony system środków technicznych bezpośredniej metody działania. Obok ogólnych wykazów bieżących ludności, konieczne są osobne rejestry emigrantów zewnętrznych, oparte na obowiązku paszportowym. Uzupełnieniem i kontrolą dat, tą drogą zebranych, może być zwłaszcza statystyka immigracyjna tych krajów, do których emigracja dąży, a dopiero następnie obserwacja pośrednia, począwszy od statystyki ludności według miejsca urodzenia i statystyki cudzoziemców, prowadzonej w krajach immigracyjnych, a skończywszy na czysto rachunkowem porównywaniu wyników spisów ludności z uwzględ-

nieniem znanego przyrostu naturalnego w przyjętym za podstawę okresie czasu.

Wyzyskanie pierwotnego materiału w ten sposób uzyskane go winno obejmować trzy działania: zróżniczkowanie wędrówek za pomocą odpowiedniego łączenia i porównywania różnych grup cyfrowych, uzyskanych z rozłożenia surowego materiału w celu poznania ich demograficznego i socjalnego układu; porównanie rozwoju wędrówek z ruchem naturalnym ludności; zbadanie ich wpływu na rozwój ludności.

Rozpatrzywszy się w ten sposób w przedmiocie i metodach statystyki wędrówek, autor usiłuje dać obraz statystyczny wychodźstwa europejskiego, poprzedzając go zresztą jeszcze kilkoma uwagami krytycznymi na temat materiałów statystycznych, stojących obecnie w tym względzie do dyspozycji. Stwierdza w tym kierunku przede wszystkim, że pojęcie emigracji w dotychczasowych wykazach statystycznych państw europejskich opiera się w zasadzie na czynnikach natury formalnej, tkwiących w odpowiednich urządzeniach administracyjnych. Ponieważ te urządzenia są w różnych państwach odmienne, dlatego też pojęcie „wychodźcy“ jest niejednolite. Obok tej rzeczowej niejednolitości w ujęciu statystycznym wewnętrznego układu emigracji europejskiej brak też jednolitości czasowej. Nie uwzględnia też ta statystyka ani powrotu z emigracji, ani też rozróżniania emigracji stałej od czasowej, a przecież wychodźstwo zarobkowe na sezonowe roboty stało się jednym z najcharakterystyczniejszych objawów obecnych stosunków gospodarczych i społecznych pewnych krajów. Tylko jedne Włochy uwzględniały powyższe dwa rodzaje nowoczesnej emigracji, jednak od r. 1904 zarzuciły ten podział, tłumacząc to jego niedokładnością. Tymczasem autor dowodzi, na podstawie szczegółowej analizy dat statystyki włoskiej, że założenie, iż emigranci, zaliczeni do czasowych, w zasadzie do kraju istotnie wracają, okazuje się słusznem. Z tą chwilą wszakże staje się też widocznem, że włoska generalna dyrekcya statystyczna miała jakieś inne przyczyny, a nie brak dokładności w dotyczących cyfrach, skoro z r. 1904 przestała w swych wydawnictwach rozróżniać wychodźstwo stałe od czasowego.

Rozpatrując materialną treść europejskiej statystyki emigracyjnej dochodzi autor do przeświadczenia, że wewnętrzne zróżniczkowanie emigracji europejskiej pozwala rozróżnić pośród państw Europy dwie główne grupy. Jedna z nich to kraje o starszej już emigracji, jak Niemcy, Wielka Brytania i Skandynawia; wychodźstwo z nich traci na sile, chyli się ku upadkowi. I dzi-

wna rzecz, że równocześnie występują w nich te same objawy, jakie zazwyczaj można spotkać w budzącym się dopiero ruchu wychodźczym. Są to mianowicie cechy, właściwe wychodźtwa stałemu: silny udział płci żeńskiej i dzieci. Tem jednak znowu różnią się one od krajów o młodej emigracji, że miejsce gorączki i bezładu zastępuje pewna równowaga i przezorność; wychodźtwa rozwija się falisto, po silniejszej wędrówce, przeważnie płci męskiej, następuje od czasu do czasu ilościowe osłabienie ruchu, a z niem względne wzmoczenie się emigracji kobiet i dzieci. Zdaje się, że ze zmianą stosunków gospodarczych i socjalnych wychodźtwa z tych krajów przestaje być wędrówką w celach zarobkowych, a przemienia się w emigrację coraz szczuplejszej liczby osób, szukających wraz z rodzinami w innych krajach stałych podstaw bytu z całą świadomością i rozważą.

Do drugiej grupy należą Włochy i Austria, a więc państwa, które się obecnie wysunęły na czoło europejskiej emigracji. Tu falistość wychodźtwa nie występuje już z taką siłą, jak w Niemczech lub Szwecyi. Ale i one już naogół przeszły okres bezładnego i gorączkowego wychodźtwa, przybierając coraz wyraźniej charakter państw o emigracji zarobkowej.

Pośrodku stoją inne państwa środkowej i zachodniej Europy, zbliżające się charakterem swej emigracji raczej ku drugiej, niż ku pierwszej grupie.

Emigruje przeważnie ludność rolnicza, po niej służba i wyrobnicy. Jednak zasadniczej różnicy między temi dwiema grupami wychodźców europejskich w rzeczywistości prawie niema.

O ile chodzi o wpływ emigracji na przyrodzony rozwój ludności europejskiej, to bardzo trudno otrzymać czystą stratę ludnościową, ponieważ wychodźtwa wskutek powrotu pewnej części emigrantów do ojczyzny nie oznacza zawsze w całej swej rozciągłości stałego ubytku. Pewnem jest jednak, że choćby nawet niezbyt długi pobyt dziesiątków tysięcy poza granicami ojczystego kraju musi się po większym przeciągu czasu odbić na stanie i ruchu ludności, a tem samem wychodźtwa europejskie przedstawia w dziedzinie polityki ludnościowej bardzo doniosły problemat.

Badanie tej kwestyi jest niemożliwem bez odpowiedniego podkładu statystycznego. Stąd też opracowanie obecnie ogłaszanych materiałów statystycznych, jak zwłaszcza ulepszanie i pogłębianie administracyjnej statystyki wędrówek, jest postulatem dla życia i nauki bardzo ważnym, a statystyka ta nie powinna się ograniczyć na śledzeniu objawów wędrówek zewnętrznych, ale winna także i wewnętrzne wędrówki obejmować, mimo nie-

wątpliwych trudności technicznych i metodycznych w tym względzie istniejących. A szczegółowa taka statystyka jest tem potrzebniejsza, że wychodźstwo zarobkowe żłobić sobie zaczyna nowe łożyska, by szersze kręgi zatoczyć, nowe obszary ogarnąć i gdy w ten sposób nowe powstają zagadnienia dla nowożytnej polityki emigracyjnej.

Oby „*Studia z zakresu statystyki wędrowek*,” nacechowane tak wielką ścisłością i erudycją, zapoczątkowały istotnie dalsze badania w tym kierunku, przedewszystkiem w polskiej nauce i nad polskiem wychodźstwem.

DR. ZYGMUNT GARGAS.

LATOSIŃSKI JÓZEF. *Monografia miasteczka Wilamowic na podstawie źródeł autentycznych*. Str. 456. Kraków 1910. Nakład autora.

Jest w Galicyi w księstwie Oświęcimskim niezwykle miasteczko — Wilamowice. Liczy ono 1850 mieszkańców, żyjących głównie z uprawy roli, a kształci 28 swych synów w wyższych i średnich zakładach naukowych krajowych. Mieszkańcy jego mówią do dziś dnia jakimś dziwnym żargonem polsko-niemieckim, niezrozumiałym dla Polaka ani dla Niemca, pomimo to okazywali niejednokrotnie głębokie przywiązanie do ojczyzny; dość powiedzieć, że sześciu z nich walczyło w szeregach powstańczych w roku 1863. Wielką miłość żywią wilamowiczanie i do swego rodzinnego miasteczka; różne bywają ich losy, nieraz życie posunie ich daleko poza ojczyste łany, nieraz wybiją się na wyższe, na bardzo nawet wysokie stopnie w karyerze społecznej, a jednak nie tracą kontaktu ze swemi Wilamowicami, odwiedzają je, czynią dla nich zapisy i fundacye, starają się w nich złożyć swe kości. Pod tym względem za typowego wilamowiczana uchodzić może ks. arcybiskup lwowski dr. Józef Bilczewski, będący największą chlubą i dumą miasteczka. Każda prawie bytność tego dostojnika w Wilamowicach upamiętniona jest jakąś trwałą pamiątką, wreszcie w roku 1908 arcybiskup funduje tu ochronkę, w której mają dziaćwę nauczać, „że po miłości Boga i kościoła katolickiego idzie zaraz miłość ojczyzny i narodu.“

Muszą się mieszczenie wilamowiccy interesować żywo swą przeszłością, skoro p. Józef Latosiński, od lat trzydziestu kilku nauczyciel i kierownik szkoły wilamowickiej, uważał za stosowne napisać obszerną monografię miasteczka, przeznaczoną specjalnie dla jego mieszkańców. I właśnie sfera czytelników, dla których

przeznaczone jest dzieło p. Latosińskiego, wyróżnia je od wszystkich innych monografii miast i wiosek, jakie posiada nasza literatura. Autor, znając dobrze swych współobywateli, których znaczna część była zapewne jego uczniami, umiał nadać swej książce taki charakter, że musi być ona interesującą dla wilamowiczian, rozszerzając jednocześnie znacznie zakres ich znajomości historii ojczyznej. W monografii Wilamowice umieścił autor biografie wszystkich wybitniejszych wilamowiczian, wśród których każdy z żyjących mieszczan znajdzie niewątpliwie swych przodków i krewnych, a dalej krótką kronikę najważniejszych wypadków, zaszłych w Wilamowicach, doprowadzoną do końca 1909 r., a rozpoczynającą się od roku 1250. Ta kroniczka również może zająć nawet niezbyt skorych do książki czytelników. Ale obok tych rozdziałów, mających czysto lokalne znaczenie, nie brak w książce p. Latosińskiego ustępów, mogących zainteresować szerszy zastęp czytelników. Wilamowice miały wcale interesujące dzieje, z drugiej strony są w tem szczęśliwem położeniu, że przechowało się ich archiwum wiejskie, było więc na czem oprzeć rekonstrukcję ich historii.

Założone w roku 1250 przez niejakiego Wilhelma, otrzymują Wilamowice kolonistów, pochodzących z okolic księstwa Schaumburg-Lippe. Pierwszym znanym ich dziedzicem był Zdzisław, wspomniany w dokumencie z r. 1377, od r. 1423 pozostają w posiadaniu rodziny Biesów, herbu Kornicz, którzy wprowadzają w nich husytyzm. Od r. 1490 do 1605 należą Wilamowice do rodziny z Gierałtowic Szaszowskich. Rodzina ta zaprowadza w nich kalwinizm. Niedługo on jednak utrzymuje się w Wilamowicach. W r. 1626 wprowadzają nanowo wiarę katolicką ówcześni dziedzice Korycińscy. To przywrócenie katolicyzmu odbyło się w sposób wielce charakterystyczny. Oto, według zapisek ks. Jana Fijałka, plebana wilamowickiego († 1826): „Jaśnie W-ny Pan Krzysztof Koryciński, kasztelan wojskowy i kapitan (*sic*) gniewkowski, mąż roztropny, pobożny i nieśmiertelnej chwały godny, kiedy się dowiedział, iż poddani jego w Wilamowicach przyznają się do religii kalwińskiej, przybywszy do Wilamowic, zwołał wszystkich mieszkańców i napominał ich surowo, aby się nawrócili do wiary ojców swoich, a jeżeliby się kto znajdował nie chcący tego uczynić, tedy zaraz ma Wilamowice opuścić, bo Jaśnie Wielmożny Kasztelan deklarował, że żadnego kalwina cierpieć nie będzie. Taka mowa i ostra deklaracja wielkie wzruszenie w poddanych jego sprawiła, nawrócili się do wiary świętej katolickiej i bardzo mało zostało ich w uporze swym przy religii kalwińskiej. Jeden

tylko Gerstman nie chciał nawrócić się, musiał opuścić gospodarstwo i udał się do Komorowic. Gdy i reszta upartych umarła, zgasła zupełnie ta przewrotna sekta, a ostatnim sekty kalwińskiej wyznawcą był Matys Nonkis.“

Po wygaśnięciu rodu Korycińskich Wilamowice przechodziły kolejno w ręce Kalinowskich, Morsztynów, Łętowskich, Czernych, Szembeków, wszystkie te rody, z wyjątkiem Szembeków, po ojcowsku miały się obchodzić z wilamowiczaniem. Wieś tymczasem wzrastała w zamożność, dzięki rozwijającemu się tam coraz bardziej tkactwu, którego znajomość przynieśli wilamowiczanie przed wiekami ze swej pierwotnej ojczyzny; w początkach XIX wieku gromada wilamowicka jest już tak zamożną, iż postanawia wykupić się z poddaństwa i nabyć dobra wilamowickie. W roku 1808 zebrano potrzebne na ten cel 30,000 zł. reńskich i transakcyja została dokonana. Odtąd rządzi Wilamowiczami wójt, będący zarazem reprezentantem dominium wraz z przysiężnymi. W osiem lat po uzyskaniu uwolnienia od poddaństwa, Wilamowice otrzymały prawo miejskie. W r. 1845 pomyślność miasteczka dochodzi do szczytu, liczy ono 2030 mieszkańców. W latach następnych zaczyna miasto nieco upadać; tkacze miejscowi bowiem nie byli w stanie wytrzymywać konkurencyi z przemysłem fabrycznym. W ostatnich czasach tkactwo w Wilamowicach zaczyna się znów podnosić, do czego przyczynia się głównie założenie krajowego warsztatu dla nauki tkactwa.

Takie są koleje Wilamowic, opowiedziane przez p. Latosińskiego w jego interesującym dziele. Wątpić nie można, że praca ta spełni swe zadanie, t. j. nawiąże jeszcze silniejsze węzły między wilamowiczaniem a ich krajem rodzinnym.

Kronika miesięczna.

Rewizya spraw katolickich, jej rezultaty i możliwe następstwa. — Statystyka samobójstw. — Groźne cyfry. — Samobójstwa dzieci i młodzieży. — Brak środków zaradczych. — Jubileusz Towarzystwa Szkoły Ludowej w Galicyi. — Rezultaty dwudziestoletniej działalności. — Kronika teatralna.

Jednym z ogniw współczesnej polityki nacyonalistycznej jest stosunek podejrzliwy do Kościoła katolickiego. Nie dlatego bynajmniej, aby nacyonalisci rosyjscy byli szczególnie przeciwnikami Kościoła, jako takiego, chociaż i ten motyw odnaleźćby można, ale przede wszystkim dlatego, że olbrzymią większość katolików w państwie stanowią Polacy, mamy więc do czynienia z nowym na nas ze znanej strony atakiem. Źródła tej niechęci wyznaniowej należy szukać w następstwach Manifestu tolerancyjnego, kiedy dziesiątki tysięcy unitów powróciło na łono Kościoła katolickiego, pomimo licznych przeszkód, jakimi obstawiała praktyka biurokratyczna stosowanie tego Manifestu. Zarzuty agitacji katolickiej były z tej strony równie częste, jak ze strony interesowanych niecierpliwie zarzuty opieszałości w wykonywaniu formalności powrotu do dawnej wiary, a to porównanie określa już ich słuszność i ich ścisłość. Pobudki do akcji dostarczyła głośna sprawa ks. Wiercieńskiego w Moskwie, sprawa rozdęta, nie dość jasna i dlatego nie omawiana w swoim czasie na tem miejscu. Spowodowała ona dokonaną z rozkazu jeszcze zmarłego premiera rewizję konsystorzey katolickich w państwie, w Petersburgu, w Warszawie, w Wilnie i w Żytomierzu; rezultaty tych rewizyi ogłoszone zostały niedawno za pośrednictwem biura informacyjnego i wśród ludności katolickiej wywołały obawy nowych represyi, tembardziej, że następstwem rewizyi mają być nowe przepisy, które opracowuje jakoby naczelnik wydziału wyznań obcych, A. Tiażelnikow.

Przypatrzmy się zgromadzonemu przez rewizję materyałowi. Odrzućmy odrazu—jako błahą—tę grupę zarzutów, która dotyczy niedokładnego prowadzenia ksiąg metrycznych, zaniedbywania opłat stemplowych, nieodpowiedniego prowadzenia ksiąg rachunkowych i t. p., są to bowiem wypadki pojedyncze nieporządków, zdarzających się we wszystkich urzędach, a nietylko specjalnie w insytorzach katolickich. Co do pozostałych—powiedzmy odrazu ogólnie i na wstępie, że komunikat biura podaje je zbyt ogólnikowo i gołosłownie, nie stwierdzając w żadnym oddzielnym wypadku, że w takiej, czy innej parafii, w danej dacie wykryła rewizya jakiś fakt karygodny. W tej formie komunikat o rezultatach rewizyi jest stekiem zarzutów, które oddawna objijają się o uszy nasze i rosyjskie, wypracowaniem kliszowem, od warunków czasu i przestrzeni zgoła niezależnem. Gdybyśmy zaś mieli przed sobą chociaż jeden fakt, moglibyśmy mówić o zarzutach incydentalnych, których przecież żadną miarą uogólniaćby nie należało, gdyby można było przypuszczać dobrą wolę ze strony rewidujących.

Oto zarzut pierwszy dotyczy używania wbrew prawu języka polskiego zamiast państwowego w korespondencji urzędowej. Że zarzut to dziś nieprawdziwy, o tem świadczy pamiętany jeszcze przez wszystkich okólnik generał-gubernatora warszawskiego na skutek uwagi senatora Neudhardta. Drugi zarzut, że „duchowieństwo uchyla się od prawnych rozporządzeń ministryum,“ jest zupełnie bezprzedmiotowy, dopóki nie mamy określenia, o jakie mianowicie rozporządzenia chodzi rewidentowi. *A priori* zresztą każdy nieuprzedzony przyznać musi, że nieprawdopodobne jest uchylanie się od rozporządzeń władzy, która posiada prawo sankcyi.

Następny zarzut, że rewizya wykryła tendencye do „łączenia spraw duchownych Kościoła katolickiego ze sprawą narodową polską,“ jest tak stary, jak przyłączenie Polski do Rosyi. Wzięty od strony dobrej wiary jest tylko innem sformułowaniem faktu, że olbrzymią większość katolików w państwie stanowią Polacy, równomiernie przywiązani do wiary katolickiej, jak do swojej narodowości, co chyba nikomu przeszkadzaćby nie powinno. Ale tu oczywiście nie o to chodzi, lecz poprostu o język przy nabożeństwach dodatkowych. Źródła tego zarzutu szukać, niestety, trzeba także i w skargach niektórych grup litewskich, wnoszonych do rządu na rzekomą polonizacyę. Te starania i skargi mogą służyć za pozór, ale celem ukrytym jest zastąpienie języka polskiego rosyjskim, nie białoruskim, lub rusińskim, czy litewskim; a dążenie to przykrywa się płaszczykiem obrony interesów naro-

dowych tych grup, ba, nawet interesów narodowych tych nielicznych Rosyan rodowitych, którzy należą do Kościoła katolickiego i prawa te posiadają. Wartoby tu pamiętać, że tego rodzaju polityka na dłuższą metę posiada właściwości wprost przeciwne przymiotom włóczni Achillesa. Jeżeli zaś chodzi o sprawy narodowe w łonie Kościoła, to ten właśnie, jako międzynarodowy, równą je otacza opieką, a dowodem pośrednim odwieczne trwanie mniejszości narodowych, wiarę katolicką wyznających.

Idźmy dalej. „Dążenie do zagarnięcia przez księży oświaty szkolnej”—jest w praktyce o tyle niemożliwe, o ile oświatę tę w mocnej dzierży ręce rząd centralny i jego organy, wpływanie zaś i oddziaływanie moralne na dzieci i młodzież w kierunku katolickim wchodzi w zakres bezpośrednich obowiązków księdza; po to on jest poprostu. „Dążenie do poddania kierownictwu duchowieństwa partii politycznych“ i „systematyczne wywieranie wpływu na wiernych dla osiągnięcia celów politycznych“—to są zarzuty w formie zupełnie niejasne, o ile konkretnie nie wskazano, o jakie partie polityczne i o jakie cele polityczne chodzi. Księża, jako jednostki, należą u nas do wszystkich stronnictw, w założeniu Kościołowi nie wrogich; były próby założenia stronnictwa czysto katolickiego, ale się nie powiodły. Oto wszystko, o czym my wiemy,—a o ile stronnictwa mają istnienie legalne, to chyba księża nie są od korzystania z legalnych instytucji wyłączeni.

Przez „zakładanie narodowych organizacyi polskich“ rozumieją zapewne autorowie rewizyi uczestnictwo duchowieństwa w pracach kulturalnych zapewne, w wielkich oczach stracha „organizacyą narodową polską“ może być i kółko rolnicze, i sklep współdzielczy, i towarzystwo kredytowe, ale te instytucye ekonomiczne mają również żywot legalny i możność wybierania sobie kierowników zapewnioną. Że w liczbie tych kierowników spotykamy dość liczny zastęp księży, to dowodzi tylko, że zdołali sobie zaskarbić zaufanie i nikt niema prawa pozbawiać ich możności korzystania z tego zaufania.

Co rewidenci rozumieli przez zarzut „urządzania tajnych szkół polskich“—to odkrywa późniejszy już komunikat agencji, świadczący, że rewidenci są już przy pracy zakazodawczej. Odpowiedni okólnik dotyczy spraw jaknajbardziej wewnętrznych Kościoła katolickiego, bo nauki religii i moralności „wykładów dogmatów Kościoła i modlitw w lokalach prywatnych.“ Okólnik stwierdza, że „wspólne nauczanie dzieci katolików modlitw i dogmatów Kościoła rzymsko-katolickiego poza zatwierdzonemi przez władzę zakładami szkolnymi, winno być odniesione do kategorii

nauczania tajemnego we wszystkich wypadkach, gdy ma ono charakter systematycznego wykładu.“ Okólnik robi wyjątek dla katechizacyi. Każdy katolik jednak dobrze wie, że katechizacya to znów nie jest systematyczna i wyczerpująca nauka religii i jej zasad. I co do katechizacyi zaś widocznie zamierzone są jakieś środki, bo okólnik poleca wszystkim zarządzającym dyecezyami, a więc biskupom lub ich zastępcom, w razie sediswakancyi, aby dostarczyli wymienionych aż w sześciu punktach szczegółów o odbywaniu katechizacyi. Są tam takie szczegóły, na które nawet w większej części wypadków odpowiedź ścisła nie będzie możliwa. Pomimo tego wyjątku rozporządzenie to jest bardzo ciężkie dla rodziców, którzy uważają wykład religii w szkole za niedostateczny i chcieliby go w domu dopełnić. Wkracza przytem bezpośrednio w dziedzinę ograniczania nauczania wiary, co chyba jest sprzeczne w założeniu ze stanowiskiem Kościoła, uznanego urzędownie przez państwo.

Pozostałe zarzuty są natury już bardziej kanonicznej. Więc, że biskupi komunikują się bezpośrednio z Kuryą rzymską, podczas, gdy to jest wręcz nieprawdziwe i niemożliwe; a jeżeli chodzi o bezpośrednie komunikowanie się osobiste z kołami watykańskimi, o podróże *ad limina apostolorum*, to wszakże na te podróże otrzymują biskupi paszporty urzędowe, czyli udają się do Rzymu za wiedzą rządu. Dalej—„przeciwdziałanie małżeństwom mieszanym prawosławnych z katolikami“ leży zupełnie w zakresie obowiązków księdza katolickiego; wprawdzie komunikat dodaje „przez użycie gwałtu duchownego,“ ale fakty podobne istnieją tylko w postaci plotek małomiasteczkowych. Wreszcie co do zarzutu komunikowania się duchowieństwa w Rosyi z zakonem jezuitów zagranicą w celu rozpowszechnienia ich działalności w Rosyi, to ten opiera się jedynie na niepewnym gruncie sprawy ks. Wiercieńskiego w Moskwie, a cienia żadnych innych faktów nie ujawniono.

Tak się przedstawia komunikat o rewizyi spraw katolickich w świetle krytyki. W krytyce chodzi o wyrobienie sobie o całej sprawie własnego zdania, a oczywiście nie o oddziaływanie na opinię przeciwników, która jest opancerzona od wszelkich argumentów chęcią uderzenia, a, jak wiadomo, kto chce uderzyć, narzędzie zawsze znajdzie. Narzędziem, następstwem rewizyi, może być nie prawo, które musiałoby przejść różne instancje, a może nawet stanąć w sprzeczności z Manifestem tolerancyjnym, lecz szereg przepisów ograniczających, w których każdemu zarzutowi odpowiadałby odpowiedni zakaz. Stworzyłoby to nieznośną atmo-

sferę ograniczeń swobody osobistej i wyznaniowej, której istnienia wyobrazić sobie trudno. A przecież tutaj wszystko jest dziś możliwe.

W całej tej nowej akcji antypolskiej, w stronę Kościoła tym razem zwróconej, rząd i jego agenci zapominają o tem, jakim Kościół jest potężnym czynnikiem zachowawczym. Osłabiając jego powagę, ograniczając swobodę jego przedstawicieli, prowadzi się tem samem pracę w imię rozstroju, dla anarchii. Jest to posiew wiatru, który burzą plonuje.

*

*

*

Statystyka Pogotowia Ratunkowego podaje groźne cyfry, dotyczące samobójstw, cyfry ścisłe, niższe, nie wyższe od rzeczywistości, nie we wszystkich bowiem wypadkach wzywana jest instytucja do pomocy. W roku ubiegłym 584 osoby targnęły się na swoje życie, a liczba ta wynosi 5.7 proc. ogółu wypadków. Tymczasem, biorąc procentowo, odpowiednia liczba wynosiła 3.5 w r. 1897, spadła do 1.9 i 1.5 w latach 1900 i 1901, a od tego czasu stale się wznosi do 3.9 w r. 1907, 4—w r. 1908, 4.7 w r. 1909 i wreszcie 5.7 w r. 1910. Świadczy to wymownie, że samobójstwa szerzą się, innemi słowy, że wzmaga się niezadowolenie z życia, a równomiernie słabnie odporność na niedolę, doprowadzającą do tragicznego rozwiązania.

Jeżeli zamiast stosunku procentowego weźmiemy cyfry absolutne, to okażą się jeszcze bardziej zastraszające. W r. 1907 było 265 samobójstw, w r. 1908—293, w r. 1909—366, w r. 1910—564; na przestrzeni dwóch lat ostatnich liczba samobójstw podwoiła się prawie. Nie można przypisywać tego zjawiska zawodom i wykojeniom, spowodowanym przez t. zw. rewolucję, skoro na dwa lata ostatnie przypada najwięcej samobójstw; przyczyny muszą leżeć głębiej i gdzieindziej.

Zauważmy przedewszystkiem, że kobiety popełniają samobójstwa częściej, niż mężczyźni, jakkolwiek i ten stosunek w latach ostatnich uległ zmianie: w r. 1907 na stu samobójców przypadało 37 mężczyzn i 63 kobiety, w dwóch latach ostatnich—46 mężczyzn i 54 kobiety. Największa ilość samobójstw przypada na październik, listopad i grudzień; odpowiada to zarówno uczu-

ciowym, jak ekonomicznym powodom. Z jednej strony zawody miłosne stosunków, zawartych wiosną i latem, z drugiej—obawa nędzy przed zbliżającą się zimą. Względy ekonomiczne przeważają zresztą coraz bardziej; dawniej główną przyczyną były zawody sercowe, dziś—nędza lub obawa nędzy. Nie będziemy zbyt dalecy od prawdy, gdy do tej ostatniej przyczyny odniesiemy znaczne przewyżki obu ostatnich lat nad poprzednimi. Nic w tem dziwnego: coraz trudniej zapracować na utrzymanie, coraz ciężej, bo coraz drożej żyć; niewątpliwie fale t. zw. rewolucyj osadziły na mieliznach życiowych wielu wykołajeńców, do pracy niezdatnych; zmniejszenie personelu fabryk i zakładów przemysłowych z powodu stagnacji chwilowej odegrało także swoją rolę.

Szerzą się samobójstwa nie tylko wśród ludzi dojrzałych; brak odwagi życia młodzieży, nawet dzieciom. Pogotowie zanotowało w r. 1909—11 zamachów samobójczych dzieci, w r. 1910—6 wypadków podobnych, ale tu stanowczo liczby są o wiele niższe od rzeczywistości. Niedawno uwagę powszechną zwrócił fakt usiłowania odebrania sobie życia, powzięte zbiorowo postanowienie czterech uczniów gimnazjum prowincjonalnego, z których jeden tylko tragiczny zamiar do skutku doprowadził. Nie u nas jedynie zwracają uwagę podobne zjawiska. Częstsze muszą być na obszarze państwa rosyjskiego, skoro dały asumpt do okólnika ministryum oświaty, nakazującego podwładnym organom komunikowanie o każdym podobnym wypadku, z podawaniem szczegółowych o nim danych i okoliczności. W r. 1905 były w Rosyi 53 samobójstwa dzieci i młodzieży, w r. 1906 już 88; późniejszych danych nie posiadamy, ale z pewnością twierdzić można, że cyfry wzrosły. Najwięcej było samobójstw młodzieńców w wieku 17—18 lat, ale odbierały sobie życie także i dzieci jedenastoletnie! Wśród przyczyn niewielkie miejsce zajmują złe postępy w naukach (4 wypadki), chociaż pozornie zdawałoby się przeciwnie; najwięcej spowodował rozstrój nerwowy (6), ale w liczbie przyczyn mamy reprezentowane dość poważnie i zmęczenie życiem (4)! u dzieci jeszcze! W Prusach gorzej: w ciągu czterech lat 1894—1898 odebrało sobie życie 1,708 dzieci w wieku szkolnym; w Saksonii jeszcze gorzej: w r. 1900 jedno samobójstwo dziecka przypadało na sto samobójstw wogóle; w r. 1902 przypada już jedno na 42 dorosłych! Badacze niemieccy przypisują przyczyny nadmiernemu rygorowi szkolnemu; wymieniono nawet straszne wyrazy: obawa szkoły! We Francyi w ciągu lat trzech, 1900—1902, zanotowano 179 wypadków samobójstw dzieci do lat szesnastu i 1,154 wypadki samobójstw młodzieży od 16—21 lat; tu jest le-

piej, ale powraca ta sama przyczyna nauki, ale nie od strony szkoły; lecz od strony rodziców. W porównaniu zatem z Europą jest u nas może nieco lepiej, ale słaba pociecha, skoro jest i tak źle.

Ze stanowiska psychologii jednostki samobójstwo jest najstraszniejszą tragedią, bo pogwałceniem najbardziej elementarnego instynktu samozachowawczego i przemożeniem obawy śmierci. Ze stanowiska socyologicznego nie chodzi o ilość ludzi, którzy w ten sposób kończą, ilość to bowiem zawsze nieznaczna; ale samobójstwa są wyrazem najbardziej krańcowym braku odporności w stosunku do ciosów życia i w tem znaczeniu wzmożenie ich ilości świadczy o zmniejszeniu odporności w bardzo szerokich sferach, a cóż wart naród i jego przyszłość bez tej odporności, zwłaszcza naród jak nasz, podległy zbiorowym ciosom zewnętrznym i skazany na szare życie wewnętrzne, bez nadziei? Dla publicysty straszna to klęska, tem straszniejsza, że niepodobna spełnić obowiązku, niepodobna wskazać środków zaradczych poza komunałami.

Znamy przyczyny. Więc zawiedziona miłość. Choćbyśmy z tysiocy kazalnie i trybun głosili, że miłość jest w życiu tylko epizodem, że jak wszystko na świecie przemija i dziś ukochany czy ukochana staje się jutro lub pojutrze obojętnym—czy zmieni to fakt pragnienia szczęścia, wzajemności, bezpośredniego połączenia, pragnienia aż do bólu, aż do wieczystego zapomnienia? Więc — u kobiet — następstwa miłości. Bez względu na taki czy inny stosunek przekonaniowy do panien-matek i do dzieci nieślubnych, czy zdołamy uspokoić obawy, zmienić wiekami wytworzony obyczajowy stosunek społeczeństwa do tych zagadnień, czy zdołamy usunąć prześladowanie? Więc—nędza. Wyliczymy wszystkie instytucje filantropijne i pomocnicze, wyliczymy drugie tyle podobnych, które założyćby należało; czyż realnie możemy się ludzić, że wszystkich głodnych nakarmimy, że bezdomnym zapewnimy ogniska, poszukującym damy je? Nie i nie — i stąd bezradność.

Zwiększenie ilości samobójstw świadczy o osłabieniu zdrowia społeczeństwa. Trzeba mu je zapewnić; trzeba wyrabiać od dziecka odporność na nieszczęścia i radość życia—zdrowie moralne i fizyczne; czy zdołamy? Niewątpliwie jedną z przyczyn jest brak wiary, istotnej pocieszycielki nieszczęśliwych i strapionych. Faktem jest, że ten brak wiary szerzy się w zastraszający sposób. Ile możemy, współdziałamy zaradzeniu złemu, ale sprawa wysuwa się z pod naszej kompetencji; inne są do tego organy.

Jeżeli samobójstwo człowieka dojrzałego jest tragedią wewnętrzną, o ile straszniejszą jest samobójstwo dziecka lub młodzieńca, chociażby nawet chłodny badacz rzucił pytanie, czy byłby dzielny człowiek z tego, który nie zniósł dwójki czy zdrady ukochanej pensyonarki. Kiedy jakiś głośny fakt zmaci stojące wody obojętności, różne sypią się uwagi i rekryminacje, padają słowa między innymi o rygorze szkolnym, o rygorze domowym. Gdyby te przyczyny działały istotnie, liczba wypadków musiałaby zmniejszać się, nie zwiększać, rygor ten bowiem był dawniej o wiele mocniejszy, niż dziś. Powrócić więc znowu wypadnie do braku odporności, jako przyczyny ostatecznej. I zastanowić się, czy czasem pewnej winy nie ponosi tu pedagogika współczesna.

Stulecie, w którym zwiększa się ilość samobójstw wśród dzieci i młodzieży, nazwano stuleciem dziecka; co za mimowolna a gorzka ironia! Nazwano je tak z powodu zajęcia się przeważnego duszą dziecka, badaniem jej, pielęgnowaniem—życie poszło w ślady nauki. Biedne dzieci po staremu tułają się bez opieki, ale w klasach średnich i zamożnych dziecko stało się despotycznym ośrodkiem życia. Z tak częstą przesadą odwrócono rolę; dom—ognisko rodziny całej—przystosowano do potrzeb dzieci, rodzice usuwali się w cień, stając się pierwszymi ich sługami, budząc przez to egoizm i nadmierne o sobie rozumienie. Kiedy tak kształcone i chowane w domu dzieci stają się pyłkami w tłumie szkolnym czy później życiowym, mają naturalnie pretensje do całego świata o adorację, której były przedmiotem. Mimowolne okrucieństwo otoczenia obojętnego staje się w takich wypadkach stokroć dotkliwsze i prowadzi do zniechęcenia, do zawiedzionych nadziei—pospolitych dziś wśród całej młodzieży— a w wyjątkowych wypadkach do tragicznego końca.

Taki koniec zdarza się tylko wśród dzieci i młodzieży klas średnich. A więc nie działa tu czynnik, najbardziej usuwający się od naszego oddziaływania,—głód i nędza. Więc łatwiej złemu zaradzić. Trzeba nacisk największy położyć na uodpornianie młodych dusz i organizmów, uodpornianie fizyczne i moralne, przyzwyczajanie do znoszenia bólów i trosk, bo te wplatają się nieustannie w szare, zwykłe życie, trzeba strzedz dzieci od rozwoju egoizmu, budzić w nich instynkty społeczne, budzić radość życia, nie rozdelikacąć nadmiernymi względami i opieką. Usuniemy wtedy przyczyny zła, nie tylko wyjątkowe wypadki tragiczne, ale i ogólny nastrój zniechęcenia, którego są najjaskrawszym objawem i wykwitem.

*

*

*

Dwadzieścia lat minęło od chwili, kiedy znakomity poeta, w zaraniu młodości działacz polityczny, skupiający przez czas krótki w rękę swoim nici sprzysiężenia, rzucił hasło szerzenia oświaty polskiej wśród ludu, szerzenia jej szczególnie tam, gdzie w okolicach o ludności mieszanej kulturze polskiej groźny zalew zagraża. Pamiętny wskazań większego towarzysza, by „przed narodem nieść oświaty kaganiec,“ pomny własnych wytycznych, by „z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe,“ a nie stroić się „w uwiedłych laurów liść,“ założył inicjatywą swoją podwaliny gmachu, który wyrósł potężnie, instytucji, która zadania swoje dzielnie i owocnie spełnia.

Przy osiwiatym poecie skupiła się garstka młodzieży uniwersyteckiej. I to był zawiązek „Towarzystwa Szkoły Ludowej.“ Ale był grunt do pracy, były warunki sprzyjające, studenci wchodzili w życie, stawali się coraz poważniejsi, nie zniżając lotu i ducha nie gasząc, z wszechnic nowe coraz płynęły szeregi, kierownicy i szeregowcy, zapatrzeni w cel główny, umieli zapomnieć o dzielących ich różnicach, omiąć rafa wartkich prądów politycznych. A naród zbiera dziś owoce tej pracy. Owoce, streszczone w sprawozdaniu za dwudziestolecie, wielkiemu twórcy poświęconem, a przez sekretarza głównego, d-ra Maryana Stępowskiego napisanem. Są to cyfry, suche cyfry tylko, ale jakże wymowne!

Towarzystwo Szkoły Ludowej liczy obecnie 30 tys. członków, złączonych 277 kół i 17 związków okręgowych, a na cele swoje w ciągu minionych lat 20 uzyskać potrafiło od społeczeństwa około 5 milionów koron. Pozatem istnieje znany dar grundwaldzki, na który zadeklarowano już koło 1½ mil., a złożono przeszło pół miliona. Budżet roczny instytucji wynosi około dwóch milionów koron. Po latach dwudziestu, utrzymuje Towarzystwo w tej chwili na zachodnich i wschodnich kresach dwa gimnazya, dwa seminarya nauczycielskie, 5 szkół t. zw. wydziałowych, 148 szkół ludowych, 100 szkółek początkowych, 113 kursów dla dorosłych alfabetów, 40 kursów zawodowych, 18 ochronek, 18 burs, 27 domów ludowych, razem 472 różnego typu zakładów. W szkołach, przez T. S. L. założonych, pobiera naukę 18,429 młodzieży, która niechybnie skazana byłaby na wynarodowienie. Równoległe z tem toczy się szeroka akcja w kierunku oświaty pozaszkolnej. Rozmiary jej są równie poważne. Określa je cyfra 1,995 czytelników i biblioteczek, 7,991 odczytów, wygłoszonych w jednym roku przez wędrownych prelegentów. Czytelnie mają z górami 300,000 dzieł. Dodać do tego należy obchody narodowe, widowiska sceniczne,

organizację wycieczek gromadnych do Krakowa, organizację sprzedaży książek na odpustach i jarmarkach, znakomitą organizację wypożyczania przezroczy do illustrowania odczytów, wydawnictwa kalendarzy i książek popularnych, nakoniec wydawnictwo wybornego „Przewodnika Oświatowego,“ aby uzyskać przybliżony obraz tej wielkiej pracy, jaką Towarzystwo spełnia.

Dwa są główne ogniska działalności: kresy wschodnie i zachodnie.

W Galicyi wschodniej, gdzie wśród 4.8 milionów ludności Polacy stanowią 40 proc., najliczniej są rozsypane koła i kółka T. S. L. Na pierwsze miejsce wysunęło się tu koło w Tarnopolu, które założyło i prowadzi 3 szkoły handlowe, bursę, bibliotekę publiczną, uniwersytet ludowy, muzeum ziemi podolskiej, biuro porady prawnej, 39 szkół początkowych, 12 kursów dla analfabetów, 130 czyteln. Na zachodzie środek ciężkości działalności T. S. L. leży w Białej, która wraz z Bielskiem, leżącym naprzeciw po drugiej stronie rzeki, stanowi jeden z większych centrów fabrycznych w Galicyi. T. S. L. utrzymuje tu gimnazjum realne, seminarjum nauczycielskie i szkołę ludową i wydziałową, oraz szkoły w wioskach pobliskich Leszczynach i Hołenowie i stąd posuwa się na Śląsk i Morawy.

Praca na kresach zachodnich jest nietylko organizowaniem szkół, co rozpoczęła już Ślązka Macierz szkolna, ale ciągłą walką z niemieckim Schulvereinem i czeską Maticą Skolską. Szkoły muszą stać na wysokości tej samej, co czeskie i niemieckie, ażeby przyciągnąć dzieci i rodziców, którzy oddają często pierwszeństwo wzorowo prowadzonym szkołom czeskim i niemieckim. Postulatem ważnym było stworzenie szkół średnich, aby wychować polską inteligencję, któraby prowadziła dzieło polskiej oświaty wśród ludu. Oprócz gimnazjum polskiego w Cieszynie, którego upaństwowienie tyle kosztowało trudów, stworzono przeto gimnazjum realne im. J. Słowackiego w Orłowej. W Radwanicach i Herzmanicach założono szereg szkół ludowych i ochronek. Na Morawach, w Morawskiej Ostrawie i Czechowicach, założone szkoły wydziałowe, szkoły ludowe i ochronki w Przywozie, Maryańskich górach, Witkowicach i t. d. świadczą o niesłabnącej pracy i ruchliwości Towarzystwa.

Ogółem, w zakładach naukowych T. S. L. pobiera naukę 14,000 młodzieży płci obojej. Najczęściej szkoły te po wybudowaniu i urządzeniu przechodzą pod zawiadywanie Rady Szkolnej Kraj., a Towarzystwo udziela w całości lub w części funduszków na ich utrzymanie. Od samego początku istnienia swego T. S. L.

podjęło walkę z analfabetyzmem dorosłych, zakładając kursy czytania i pisania. Aż do ostatniego roku prowadzone były także kursy wśród żołnierzy, co jednak przerwane zostało na rozkaz komendy wojskowej. Ochronek założyło T. S. L. 18. W wielu wypadkach przechodzą one pod opiekę Sióstr im. Maryi, które łączą je z kursami gospodarstwa domowego i szycia dla matek. Kursy dają utrzymanie i możliwość nauki synom i córkom włościańskim, którzy wprost tłoczą się dziś do średnich zakładów naukowych. Godnym uwagi jest typ uczelni, których 5 założyło izraelskie koło T. S. L. im. Goldmana; są to ogniska wychowawcze, przeznaczone dla chłopców w pozaszkolnych godzinach. Dzieci przygotowują się tam do nauki i otrzymują podwieczorki. T. S. L. założyło dalej pięć domów ludowych typu miejskiego i dwadzieścia dwa domy ludowe na wsi. Z tych za najlepszy uchodzi dom ludowy w Grzymałowie, gdzie mieści się kółko rolnicze, kasa zaliczkowa, gospoda mieszczańska i kasyno z wielką salą teatralną i odczytową. Na polu kształcenia zawodowego młodzieży wymienimy tu szkołę handlową żeńską w Tarnopolu, szkoły uzupełniające przemysłowo-handlowe tamże oraz w Morawskiej Ostrawie, kursy rolnicze w Dublanach i Zaleszczykach, kursy przemysłowo-handlowe, dające naukę szycia, kroju, robót ręcznych, wyrobów nicianych, pończoch, kaftaników, introligatorstwa, korespondencji, buchalteryi, rachunków kupieckich i t. d.

To wszystko z ofiar, groszowych ofiar, albo i większych, w których społem uczestniczą mieszczaństwo i arystokracja, inteligencja i lud, wszystkie warstwy, wszystkie poglądy polityczne, nawet — wszystkie wieki. Bo oto dzieci, czytelnicy pisemka „Mały Światek“, wychodzącego we Lwowie, zbierały fundusz, który wystarczył na założenie szkoły we wsi Kulikowo, pow. złoczowski, o ludności rdzennie polskiej, która zupełnie po polsku mówić zapomniała, a T. S. L. obok szkoły, stworzonej na śląskich kresach przez grono profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, zarządza ubogim „domem ludowym“, który powstał z zapisu prostej włościanki, Janiny Bobrowej. A chociaż zjazdy delegatów — najwyższa władza Towarzystwa — głośnymi nieraz rozbrzmiewają walkami i sporami, to przecież te setki ludzi, zgromadzone z obszaru całego kraju, rozjeżdżają się w zgodzie, zagrzane do pracy, jak niedawno po zjeździe nowosądeckim. Tak silne jest w tej armii oświaty poczucie solidarności i wspólnego celu narodowego.

Dumą wzbiera dusza polska, kiedy na takie rezultaty działalności spogląda. Dumą — dlatego, że na tym jednym kawale ziemi polskiej dano żywiołowi naszemu możliwość pracowania w dobrych

warunkach. I widzimy, że pracować umie i pracować chce; postępy Galicyi na wszystkich polach świadczą o niepożytej żywotności narodu naszego. Dlatego tak bardzo pospolite przed laty kilkunastu, a i dziś jeszcze tu i owdzie występujące zołhydzenie Galicyi, gdyby było prawdziwe, prowadziłyby prostą drogą do zwątpienia o przyszłości i sile tego narodu. Na szczęście tak nie jest. Dzielnica, która przeszła najstraszniejszy może, bo najzręczniejszy, najkonsekwentniejszy i najsystematyczniejszy ucisk narodowościowy, dłuższego potrzebowała okresu rekonwalescencyi, przychodzenia do sił, dźwignania się z niemocy. A my — niecierpliwi jak zawsze — żądaliśmy rezultatów z dziś na jutro; gdy nie widzieliśmy ich w przestrzeni lat kilku, ocenialiśmy braci naszych z gryzącym pesymizmem. Spójrzmy na okres półwiekowy — wtedy ocenimy właściwie. W ogólnej działalności kulturalnej Towarzystwo Szkoły Ludowej jest potężnym ogniwem. Jest wyrazem inicjatywy społeczeństwa samego, współdziałającej z władzami politycznymi, samorządnymi, jak zwykle bywa w społeczeństwach normalnych. Patrzymy na nie z dumą, radością, do której — wyznajmy otwarcie — mieszamy drobinę zazdrości. Z tęsknem uczuciem zwracamy oczy ku tamtej stronie kordonu, łącząc się szczerem i serdecznem uczuciem z życzeniami potężnego dalszego rozwoju ostoji i placówki oświaty polskiej w Galicyi.

*

*

*

Piszemy tę kronikę teatralną w chwili rozpoczęcia tak zwanego wielkiego sezonu, a mówić w niej mamy o paru miesiącach obejmujących i t. zw. sezon martwy. Nie niesłuszniejszego jak ta ostatnia nazwa, stosowana do pory letniej w życiu miasta i w teatrze. Nie zamiera Warszawa, że garstka szczęśliwych na wczasy wiejskie podąży. Nie zamiera teatr, skoro pozostali nieszczęśliwi, wobec zmniejszenia zakresu obowiązków towarzyskich, w nim właśnie ucieczki i rozrywki szukają.

Łatwo zresztą tezę tę poprzeć najbliższymi przykładami. W lecie przecież mieliśmy świetne występy znakomitego artysty lwowskiego, Żelazowskiego. Jeżeli kreacje w repertuarze współczesnym mogą, zdaniem naszym, różnie nasuwać wątpliwości co do interpretacji, gry zbyt rozrzuconej, przesadnej i pewnego nadużywania efektów, to w dziedzinie tragedyi istnej rozkoszy widzowi dostarcza powściągliwość gry i skupienie najsilniejszych cech charakteru odtwarzanych postaci. Niezapomnianym zwłaszcza

cza w tym względzie będzie Ludwik XI. Od chwili wejścia na scenę schorowanego, duszonego astmą straszego starca, który ze strzępów stworzył państwo francuskie i dlatego mimo wszystko pozostaje potężnym geniuszem politycznym — aż do kulminacyjnej sceny okropnej spowiedzi przed zgrozą zdjętym św. Franciszkiem i do skonu, kiedy tyran kona i skonać nie może, podziwialiśmy niesłychane wytrzymanie typu i wielki realizm w najlepszym stylu. Tak dalece, że cechy charakteru, wyżej zaznaczone, mogłaby dyktować nie znajomość historyi i nie znajomość tragedyi Delavigne'a, lecz poprostu przypatrzenie się grze wielkiego artysty. Warto przy tej sposobności zaznaczyć, że z całego repertuaru romantyków francuskich „Ludwik XI“ jest bodaj jedynym utworem, który pozostanie nazawsze, bo zawsze robi wrażenie bardzo silne. Zawdzięcza to zapewne temu, że autor szczęśliwie uniknął przesady, rozwichrzenia, nagromadzenia okropności, które cechują ten okres twórczości dramatycznej, a w widzu współczesnym wywołują uśmiech ironiczny, albo zgoła ziewanie.

Przy okazji występów Żelazowskiego widzieliśmy rzadkie zjawisko, tragedję polską „Syna Królewskiego“ Krechowickiego. Nie jest to arcydzieło — zapewne; nie zasługiwało przecież na lekceważenie, jakie je spotkało. Utwór ten — poprawny zresztą — zasługuje na uwagę, chociażby z powodu pewnego morału historyczno-zoficznego — nie nowego, ale zawsze, niestety, prawdziwego — o wiecznej anarchii i szukaniu pomocy z zewnątrz, którego słusność stwierdzamy nawet dziś, a pewne tyrady możnaby śmiało i do współczesności zastosować. Postać Bezpryma, ponura i tragiczna, w pożądaniami i w wykonywaniu władzy, znalazła doskonałego interpretatora w Żelazowskim; natomiast całe otoczenie i wystawa stały, niestety, na poziomie trzeciorzędnej sceny prowincjonalnej; i ten wzgląd może wpłynął na zlekceważenie sztuki. W słabszej o wiele mierze można wszakże ten zarzut zastosować i do „Ludwika XI.“ Rozumiemy trudności, wynikające z sezonu urlopów i pospiesznych prób i kładziemy je na szalę sądów; nie zmienia to jednak faktu, że kierownictwo powinno było więcej dołożyć starań, aby brakom tym zaradzić.

Od hymnu zstąpmy do prostej powieści — niżej nawet: od tragedyi do lekceważonej przez piszących dziedziny operetki i farsy. Nie zawsze da się zresztą ta eliminacya z dziedziny sztuki dokonać; przypomnijmy tu zdanie Wagnera, który powiedział niedługo, że gdyby nie był autorem „Pierścienia Nibelungów“, chciałby być autorem „Zemsty nietoperza.“ Notatki te są zresztą publicystyczne tylko; teatr jest tu traktowany jako objaw życia, a objawem życia jest także powodzenie operetki i farsy.

„Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać...” Dlatego siedemdziesiąty piąty tryumf święci operetka bez treści, pod względem muzycznym nie ciekawa i nie oryginalna. I dlatego także, że artyści naszych scen lekkich nietylko grają, ale bawią się sami i bawią publiczność, wymyślając coraz to nowe szczegóły i pobudki śmiechu; znajdujemy tu także pierwiastki niepospolitości. A w tłumnym uczęszczaniu publiczności widzimy jeszcze jeden znak czasu: wyczerpania po napięciu bolesnem lat ostatnich, zapanowania sceptycyzmu po płomiennej wierze i—niestety—obniżenia typu życia intelektualnego i obyczajowego.

Nie przyczyniało się zresztą do tego podczas lata kierownictwo naszych scen lekkich. Owszem—widzieliśmy tam tłómaczenia utworów francuskich, niewątpliwie literackich, lekkich komedyi, nie fars, a niejeden stały bywalec ze zdumieniem słyszał głosy, drżące wzruszeniem z tych desek, z których szły w widownię tylko race śmiechu. Zjawisko to wywołało nawet liczne komentarze na temat współzawodnictwa naszych scen i niewłaściwego ubiegania się o nieodpowiednie nowalie. Zarzuty niesłuszne, bo trafnie mówi Francuz o poszukiwaniu dobra, gdzie je wziąć można, a wolna konkurencya może wyjść tylko na korzyść widzów. Dla nich istnieje tylko jedno kryterium — wykonania. Otóż pod tym względem powiedzieć można, że widzieliśmy eksperyment ciekawy, naogół udany, że pewne niedociągnięcia były nieuniknione w zespole, do najłatwiejszych efektów farsowych przyzwyczajonym. Nie byłoby niedociągnięcia, gdyby sceny nasze nie były chińskim murem oddzielone, gdyby racjonalna dyfuzya talentów zapępiała nieuniknione tu i tam luki, gdyby może całe kierownictwo było jednolite. Próżne marzenia! — połączenie kultury literackiej i dobrego smaku, znawstwa gustu publiczności i schlebienia mu równocześnie z kierowaniem, energii i taktu...

Jakby w odpowiedzi na te sukcesy scen drugich, artyści, reżyserya i kierownictwo pierwszej sceny naszej pokazali co umieją przy otwarciu sezonu. W Rozmaitościach pokazano nam „Grube Ryby,” starą i nienajlepszą komedię (farsę?) Bałuckiego. Grana była dawniej i na tej scenie i na tamtej, przy ul. Daniłowiczowskiej i grana była dobrze; ale w najśmielszych marzeniach nie śniło się autorowi, że można ją podać tak, jak nam pokazano przed paru tygodniami. Bezprzykładna trójca wielkich artystów, Frenkla, Kamińskiego i Wojdałowicza, nietylko podniosła farsę na poziom satyrycznego obrazu życia z przed lat czterdziestu, wystudyowanego i wyreżyserowanego w najdrobniejszych szczegółach, ale przypominała nam najzupełniej najświetniejsze trady-

cye tej pierwszej sceny polskiej. Z widowni rozbrzmiewał tak rzadki zdrowy śmiech, pozbawiony wszelkiego podniecenia erotycznego; rodzice znaleźli nareszcie sztukę, na którą dzieci posyłać mogą; kasa co wieczór wcześniej zamyka swoje okienko. Słowem—wszyscy są zadowoleni, zwłaszcza artyści, którym—nie autorowi—tryumf ten przypisać trzeba.

Teatr Wielki otworzył sezon dramatem Björnstjerne Björnsona „Ponad siły,“ także—z małymi wyjątkami—granym i wyreżyserowanym bardzo dobrze. Są to właściwie dwa dramaty skrócone u nas i przykrojone do rozmiarów jednego, długiego, kilkogodzinnego przedstawienia. Nie nudnego, owszem, bardzo ciekawego. Ciekawego, jak ciekawem jest zagadnienie najwyższego napięcia woli, łamiącego się o przeszkody naturalne w pragnieniu cudu. W pierwszej części cudem ma być przywrócenie do zdrowia, przeszkodą—twarde prawa przyrodnicze; w drugiej cud—to zgoda klas, a przeszkoda—uczucia nienawiści, ludziom wrodzone. Druga część słabsza od pierwszej: doskonałe przeciwstawienie zaciętych pracodawców i zaciętych robotników, obu klas bez słuszności, bo właśnie zajadłych, ale słabe rozwiązanie nie w treści, lecz w formie. W treści słuszne: kwestyę społeczną w zakresie możliwości życiowej rozwiązuje miłość, wyrozumiałość, praca społeczna, współdziałanie, filantropia. Nieudane w formie: mgliste, gdy antagonizmy narysowane są jaskrawo i realistycznie, mgliste, bo w sennem marzeniu tylko. Dlatego mowy przywódców robotników i twardych fabrykantów wywołują odgłos pozytywny lub negatywny w duszach słuchaczy, zależnie od ich pochodzenia i przekonań, gdy rozwiązanie przechodzi bez wrażenia dla wszystkich, mimo świetnej poprostu dekoracji i doskonałego nastroju. Autorowi zbrakło wiary i nadziei przy doskonałej obserwacji zewnętrznej. Jedna jeszcze nasuwa się wątpliwość z powodu przedostatniego aktu. Mina rewolucjonisty wysadza w powietrze wszystkich fabrykantów. Wobec socyologicznie stwierdzonej roli naśladownictwa w życiu, wobec tego, że szaleńców nie brak nigdzie, a tembardziej u nas, nasuwa się pytanie, czy podawanie ze sceny, w obrazie realnym wybuchu, tego rodzaju rozwiązania kwestyi społecznej jest właściwe i pożądane? Odpowiedź przecząca wywołuje odrazu setki objekcji, tak łatwych i tak prostych, że ich wypisywać nie warto, a jednak ze stanowiska twórczości i praw autora bardzo ważkich. Dlatego postawionego pytania nie rozwiązujemy i na tym akordzie wątpliwości kronikę tę zamykamy.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Franciszek Kostrzewski.

Są ludzie wybitni, którzy wcześniej usuwają się z areny życia publicznego i towarzyskiego w zacisze domowe; wieść o ich śmierci wywołuje okrzyk zdumienia, że żyli jeszcze, bo współcześni zupełnie o nich zapomnieli. Są inni, do ostatniej chwili trzymający się na wyłomie życia; gdy życie ich długie, stają się wyrazem jakby wieczności; zda się, że byli zawsze i będą zawsze; gdy umrą, budzą żal szczery nawet u tych, którzy ich nie znali, bo każdy składa z nimi do grobu wrażenia i wspomnienia swego wieku dzieciennego, dojrzałego czy już podeszłego.

Do tej drugiej kategorii należał Franciszek Kostrzewski. Kilka pokoleń bawiła twórczość jego. Poślinione, niedołożne paluszki dziecka przewracały mozolnie kartki „Tygodnika“ i „Kłósów“ a buzia składała się do uśmiechu, potem sylabizowała mozolnie zabawne podpisy i śmiała się szeroko. Żółkły karty, biegły lata, zniedołożniałe od starości palce nowe przewracały strony, zmieniały się gruntownie typy i ludzie, a zmęczone wiekiem oczy widziały je wciąż odtwarzane tą samą, choć drżącą już ręką. Wystarczało zamknąć oczy i wywołać cienie przeszłości, aby ocenić wartość, realizm życiowy i prawdę tych niezliczonych rysunków.

W Kostrzewskiemu kochano rzecz najdroższą — wspomnienie, echo zamglonych, minionych lat. A artystę spotykano na ulicy, w teatrze, w salonie. Że zaś był człowiekiem dobrym, miłym, uprzejmym i zawsze pogodnym, więc kochano nie tylko artystę, ale i człowieka. I łza szczerzego żalu w wielu zalsniła oczach,

kiedy go nie stało, a w życiu Warszawy potocznem widzimy teraz lukę, gdzie przez pół wieku z górą widywaliśmy krzepką i wesołą postać nieodżałowanego pana Franciszka.

Ś. p. Franciszek Kostrzewski był dzieckiem Warszawy. Tu urodził się w r. 1826, tu pierwsze pobierał nauki, tu kształcił się w szkole sztuk pięknych pod kierunkiem Kokulara, Hadziewiczza, wraz z Gersonem, Brodowskim i innymi. Ale długie lata spędził na wsi, w krakowskiem, w licznych wędrownkach poznał kraj i lud, do typów wiejskich zawsze chętniej niż do miejskich powracał. Pochodziło to zapewne stąd, że Kostrzewski był na wskroś artystą swojskim, a tę swojskość polską odnajdywał łatwiej na mniejszym obszarze ulegającej zmianom wsi niż w niwelującym i kosmopolityzującym się mieście.

W pierwszym okresie twórczości, od r. 1848—1870, był Kostrzewski bardziej malarzem rodzajowym. Z tych czasów datują obrazy jego: „Wnętrze karczmy“, „Obrachunek z pańszczyzny“, „Odpust na wsi“, „Zaścianek Dobrzyńskich“, „Licytacya chłopskiego dobytku“, „Jarmark w miasteczku“, „Noc świętojańska“ i inne. Potem przerzucił się prawie wyłącznie na pole rysunkowe, pracując w „Tygodniku Ilustrowanym“, „Kłosach“, „Musze“, „Kolcach“, „Kuryerze Świątecznym“ i wielu, wielu innych, jako humorysta. Odtwarzał tam przeważnie i najlepiej typy z przed czterdziestu lat; pogodnie, bez złości wytykał różne śmieszności i zdrożności luźkie; liczne podpisy pod jego ilustracjami obiegały miasto i kraj, jako doskonałe dowcipy: miał zmarły artysta okres wielkiej, szerokiej popularności. Aż przysła starość i niedomagania jej na oczy padły, artysta zaczął tworzyć z pamięci, a przez długie lata nawykła do pewnych sztrychów ręka te same już oddawała typy; w podpisach była jeszcze aktualność, w kształtach już jej nie było. Mimo to nie lekceważono nigdy artysty; szanowano w nim przeszłość, ceniono długoletnią, niezmordowaną pracowitość i pracę, lubiono człowieka, który był wszystkim życzliwy, a tylko po cichu i bez złości na schyłku lat skarżył się czasem, że starego z posterunku spychają młodzi. Nie oni — usunęła go dopiero nieubłagana śmierć, znacząc kres dobremu, miłemu, pracowitemu i pożytecznemu życiu, po którym pozostał plon bardzo obfity, plon, który przesieje przez sito potomność i plewy od ziarn oddzieli, a ziarn tych zdrowych pozostań az nadto, aby Kostrzewskiemu zapewnić piękną kartę w dziejach sztuki polskiej.

ś. p. Filip Zaleski.

Z dynastji polskich wysokich urzędników państwa austriackiego ubył drugi: syn namiestnika Galicyi i sam był namiestnik, a ojciec dzisiejszego ministra dla Galicyi. Ś. p. Filip Zaleski urodził się w r. 1836. Karyerę swoją urzędniczą rozpoczął w namiestnictwie wiedeńskim, poczem różne jej przechodził stopnie w ministeryum spraw wewnętrznych, w namiestnictwie we Lwowie (za czasów Agenora hr. Gołuchowskiego), na stanowisku starosty w Brzeżanach, jako kierownik biura prezydialnego namiestnictwa. W r. 1875 powołał go do swego boku ówczesny minister Galicyi, Floryan Ziemiałkowski, potem był delegatem namiestnictwa w Krakowie, aż po śmierci Alfreda hr. Potockiego w roku 1883 został sam namiestnikiem Galicyi, a po ustąpieniu w r. 1888 Ziemiałkowskiego, z powodu różnicy zdań z Dunajewskim co do podatku wódczanego, został ministrem dla Galicyi i przetrwał na tem stanowisku aż do upadku gabinetu Taaffego w r. 1893. Był potem wiceprezesem, a następnie prezesem Koła Polskiego; ze stanowiska tego ustąpił po przyjsciu do władzy Kazimierza hr. Badeniego. Że zaś i zdrowie już mu nie dopisywało, więc złożył także mandat do izby i zaraz powołany został na dożywotniego członka Izby Panów. Była to emerytura polityczna; na tej emeryturze życia dokonał, mieszkając we Lwowie, gdzie był osobistością powszechnie znaną i bardzo popularną.

Zmarły był lubiany i szanowany nawet przez przeciwników politycznych, a zawdzięczał to czystości charakteru, osobistej dobroci, wyrozumiałości i taktowi. Zalety te niejedną oddały mu usługę przy załatwianiu spraw trudnych i drażliwych. Jako minister dla Galicyi miał tę zasługę, że zawarł ścisły kontakt z Kołem Polskiem, które poprzednik jego lekceważył, a autorytet osobisty Zaleskiego sprawiał, że nie był tylko figurantem, jak jego następcy. Jako prezes Koła, umiał równocześnie domagać się na każdym kroku uszanowania autonomii galicyjskiej i współdziałać z centralistycznymi liberałami w gabinecie koalicyjnym Windischgraetza. Usuwany niesłusznie przez inne, wrzące ambicje z różnych stanowisk, żalu nie chował i nie mścił się nigdy. Zeszedł też do grobu z opinią człowieka dobrego i polityka bardzo zdolnego.

ś. p. Zofia Trzeszczkowska

(ADAM M—SKI).

Pseudonimy literackie, których tajemnica wiernie i ściśle została dochowana, gotują częstokroć różne niespodzianki co do osoby, płci i wieku. Na wieść o śmierci Zofii Trzeszczkowskiej poczuli żal tylko nieliczni znajomi i wtajemniczeni; kiedy się jednak doda, że to umarł Adam M-ski, żal zatacza zaraz o wiele szersze kręgi; liczne szeregi miłośników poezyi boleją, że ubył nam poeta miary niepośledniej, wytworna tłumaczka arcydzieł literatury powszechnej, mniej znana z pięknej, gorącej twórczości oryginalnej. Ale i z tych wtajemniczonych niewiele kto wiedział, czytając poezye natchnione i płomienne, że pisała je kobieta o siwizną przypruszonej głowie, nie osoba młoda, zapału i wiary pełna—tyle było w autorki tej talencie żywotności.

Zofia Mańkowska urodziła się w r. 1847 w Dorohowicy, gub. mińskiej. Imię ukochanego i czczonego ojca, Adama, wraz ze skrótem nazwiska panińskiego stało się później źródłem pseudonimu. W domu rodziców bywał Syrokomla i serdecznem uczuciem darzył dziewczkę, która już w dwunastym roku życia tworzyć zaczęła. Tę młodocianą twórczość kołysały tradycje powstania 1831 r., a następnie młodemi oczami widziane tragiczne wypadki 1863 roku.

Młodo wyszła za mąż, młodo straciła ukochanego nad wszystko ojca, nie słaździła mu chwil ostatnich, mąż bowiem służył wojskowo w głębi Rosyi. Towarzyszyła mu później w przebraniu żołnierskiem na wojnę turecką, poczem osiedli w Nowogrodzie, gdzie spotkany wypadkowo powracający z wygnania Zienkowicz wywarł wpływ wielki na jej formę poetycką, a przypadkiem źródłem pierwszych tłumaczeń stają się kupione w drodze „Wędrówki Child Harolda“ i „Jocelyn“ Lamartine'a.

Potem już coraz śmieiej i szerzej próbuje ona swych sił literackich, pracując jednocześnie w rozmaitych kierunkach wiedzy i studyując obce języki, by móżdż perły literatur cudzoziemskich wcielać w język ojczysty. Powstaje więc tłumaczenie z prowanalskiego „Mireio“ Mistrala. Autor ten nadsyła jej jeszcze jedną pracę p. t. „Nerto“ do przetłómaczenia, ale poetka nie znajduje w tem tego, co podług jej słów „za serce chwyta,“ zaniechała więc tej pracy i bierze się do „Luizyad“ Camoensa, który obcho-

dem swego jubileuszu szczególną na siebie zwraca uwagę. Prócz Lamartina tłómaczy z francuskiego cały szereg autorów, jak: Baudelaire, Guy de Maupassant, Almeida Barbier, Leconte de l'Isle, Robinot Bertrand, André Theuriet, Alfred de Vigny. Dalej z czeskiego tłómaczy białym wierszem „Magdalenę“ Machara, oraz na prośbę Chmielowskiego „Melodye hebrajskie“ Byrona. Doskonałe tłómaczenia zyskują wielkie uznanie w świecie literackim; szczególnie Chmielowski i Jenike żywo zajęli się jej talentem, im też głównie zawdzięcza poetka podniętę i zachętę do pracy. Utwory te rozrzucone są po wielu pismach, które drukowały także liczne i piękne oryginalne poezye Adama M-skiego. Wymienimy tu poemat „Jeden z wielu,“ „Przebrzmiałe akordy,“ „Pieśni Dorohowickie“ i „Ostatnie akordy.“ Te—nie ujrzały światła druku w książce; zbyt były gorące i narodowe; cenzura w roku 1898 uniemożliwiła wydawnictwo Gebethnerowi i Wolffowi, którzy je nabyli.

I nasza „Biblioteka“ szczyciła się współpracownictwem zmarłej poetki. Jak inni, ocenialiśmy jej wielkie poczucie piękna, świetną formę, gorące a zacne uczucia i niezwykłą zupełnie skromność, która sprawiała, że nietylko nie szukała sławy, ale zdawała się przed nią i przed ludźmi uciekać. Niechże te słowa wspomnienia pozgonnego i wyrazy szczerego żalu będą naszym skromnym wiankiem na mogile w ziemi ojczyściej, w której po długim tułactwie na obczyźnie spoczęła. A tułactwo to nie wyziębilo jej polskich uczuć, owszem, wzmocniło je. Bo, jak sama mówi o sobie,

Kolysał mię ciemny bór,
 A potem żołnierski śpiew,
 I dotąd serce gra im wtór
 I w takt uderza moja krew.
 To z babki ust płynął ten śpiew
 Od Somossiery gór,
 I dotąd w takt uderza krew
 I serce gra im wtór.
 Z pod niebios gdzieś chrzęst orlich piór
 Rodzonej puszczy wiew—
 To wszystko me:—im duch gra wtór
 I serce me i krew...

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 6 październ. odbyło się w gmachu T. N. W. przy ul. Kaliksta № 8 pierwsze powakacyjne posiedzenie Wydziału II-go Towarzystwa, na którym p. Aleksander Kraushar wygłosił odczyt p. t. „Mniemane ostatnie votum kanclerza Jana Zamoyskiego na sejmie Warszawskim 1605 r.“ W dyskusyi głos zabierali p.p. E. Bogusławski, J. K. Kochanowski, St. Krzeziński, Fr. Pułaski, J. Siemiński, T. Wierzbowski i prelegent.

Dnia 5 października odbyło się posiedzenie Wydziału III-go, na którym przedstawiono następujące komunikaty: p. Wł. Gorczyński: „Pierwsze prace w Obserwatorium meteorologicznem pod Grodziskiem.“ Część II; p. Z. Weyberg: „O bromosodalicie glinowosodowym“; p. B. Możejko (przedstawił p. J. Tur): „Zatoki Dohrn'a u minogów i ich stosunek do układu żylnego“; p. W. Sierpiński: „Przykład funkcyi ciągłej, pantachicznie oscylującej, będącej różnicą dwu funkcyi monotonicznych“; p. C. Łopuski (przedst. J. Lewiński): „Moreny czołowe części północnej Królestwa Polskiego“; p. St. Lencewicz (przedstawił p. J. Lewiński): „Przyczynek do znajomości utworów dylawialnych okolie Miechowa“; p.p. J. Czarnocki i J. Samsonowicz (przedstawił p. J. Lewiński): „O górnym dewonie na g. Miedziance.“

Dnia 13 paźdz. odbyło się posiedzenie Komisji antropologicznej przy Wydziale II-im, na którym p. Edward Loth odczytał następujące referaty: „Kilka przypadków waryacji uzębienia u małp“; „O potrzebie jednolitego systemu przy badaniu antropologicznem części miękkich“; „O ważniejszych różnicach antropologicznych w układzie mięśniowym murzynów.“

Dnia 18 paźdz. odbyło się posiedzenie Wydziału I-go, na którym p. Stanisław Słoński odczytał referat p. t. „Rękopis Psalterza Puławskiego i jego

homograficzny przedruk Pilińskich z r. 1880.⁴ Zestawiwszy tekst wydania homograficznego z r. 1880 z rękopisem Psalterza Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, prelegent wykazał mylnie przez kopistę odczytane wyrazy i wyrażenia.

— KONKURS. Z powodu zbliżającej się rocznicy Skargi, ogłosiła redakcja „Przeglądu powszechnego“, z inicjatywy i z ofiary pieniężnej ks. Nowaczyńskiego z Wieliszowa, konkurs na temat „Działalność społeczna Skargi.“ W granice tematu wchodzi nie tylko organizacyjna praca Skargi w tworzeniu dzieł, jak *mons pietatis*, ale także działalność społeczna w szerszym znaczeniu, o ile cała działalność Skargi znaczyła ślady w życiu społecznym narodu. Tak pojęta rozprawa nie ma mieć charakteru historyczno-naukowego, ale raczej charakter publicystyczny. Nie wyłączone odtworzenie przeszłości jest jej celem, ale zbliżenie ducha Skargi do dni dzisiejszych, uplastycznienie pierwiastków rodzimych tego ducha, w tym zamiarze, aby wielka tradycja Skargi i wielki jego duch odżyły napowrót w narodzie. Nie cel więc teoretyczny ma być myślą przewodnią tej rozprawy, ale cel praktyczny, a jest nim ukazanie wielkiego rodzimego wzoru pracy narodowej i katolickiej i odrodzenie przezeń życia religijnego i narodowego. Rozmiary pracy wynosić mają około pięciu arkuszy druku. Nagroda wynosi 800 koron. Termin nadsyłania prac kończy się z d. 1 czerwca 1912 r. Sąd konkursowy składają p.p. d-r d-r: Józef Tretiak, Stanisław Krzyżanowski, Wiktor Czermak, Lucyan Rydel, ks. J. Pawełski T. J. Redakcja „Przeglądu powszechnego“ zastrzega sobie prawo pierwszego druku nagrodzonej rozprawy, za co, oprócz nagrody, zapłaci autorowi zwykle swoje honorarium. Natomiast autor ma obowiązek, po ukazaniu się pracy w „Przeglądzie powszechnym“, wydać ją swoim kosztem w osobnej broszurze. Rękopisy, zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą, temże godłem oznaczoną, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcja „Przeglądu powszechnego“, Kraków, ul. Kopernika 26.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Październik, 1911. Treść: Grabiec L.: „Współczesna Polska w cyfrach i faktach.“ Krytyka—Angiolini Alfred: Dzieje socjalizmu we Włoszech do 1910 r. włącznie; — Bogucka C. i Niewiadomska C.: Nasi pisarze. Ich życie i dzieła; — Chybiński Adolf, d-r: Materyały do dziejów król. kapeli Rorantystów na Wawelu; — Gralewski Stefan: Ironia śmierci; — Jelska Ora: Hanka; — Jougon Alojzy W., ks.: Nasze kazania zbiorowe; — Koliński Kazimierz: Mojżesz; — Kościelski Józef: W imię krzyża; — Lutosiński Józef: Monografia miasteczka Wilamowic na podstawie źródeł autentycznych; — Maciszewski Maurycy, d-r: Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej Polskiej; — Makuszyński Kornel: Dusze z papieru; — Malczewski Antoni: Maryja, — Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne; — Mickiewicz Adam: Pisma; — Plichta Półkozie

Stanisław: Pamiętnik z czasów 1863—1872 r.; — Posner Stanisław: Biblioteki amerykańskie; — Reymont Władysław St.: Wampir; — Rocznik Slawistyczny; — Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie; — Schneider Stanisław: Badania nad źródłami twórczości Juliusza Słowackiego w ostatnim okresie życia; — Słomiński Adam: Kodeks Napoleona przed sądem czasu; — Słowacki Juliusz: W Szwajcaryi i inne poezye; — Szydelski, ks. d-r: Archidiecezja Lwowska na synodzie w r. 1641; — Weyssenhoff Józef: Hetmani; — Wierzbicki Stanisław Józef: Atlantyda; — Zoll Fryderyk (starszy), prof. d-r: Pandekta czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego; — Pod prasą; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIAZKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BAKOWSKI KLEMENS: Dzieje Krakowa. Z 12 planami i 150 rycinami. Kraków, 1911. Spółka wydawnicza polska.

BĘŁZA STANISŁAW: W ojczyźnie Faraonów (z podróży i przechadzek po Egipcie). Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

BIELSKA KONSTANCYA: Jedenaste przykazanie (nie będziesz miał serca). Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom XIV. Zeszyty 4 i 5. Leśniowscy—Lewikowscy.

CHLEBOWSKI BRONISŁAW: Pisma. Tom I: Studya historyczno-krytyczne z zakresu dziejów literatury, oświaty i sztuki polskiej. T. II: Studya nad literaturą polską wieku XVI (Rej—Kochanowski). Warszawa, 1912. Nakładem Spółki wydawniczej warszawskiej. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

CHMIEŁOWSKI KONRAD: O moim kraju. Szkice krajoznawcze. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

CRONICA CONFLICTUS WŁADISŁAI REGIS POLONIAE CUM CRUCIFERIS ANNO CHRISTI 1410. Z rękopisu Biblioteki Kórnickiej wydał d-r Zygmunt Celichowski. Poznań, 1911. Nakład Biblioteki Kórnickiej.

DYBOWSKI ROMAN, D-r Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego: Romanizm a krytyka dzisiejsza w Anglii. Odbitka z „Pamiętnika Literackiego.“ Lwów, 1911. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie.

— Wpływy greckie w poezyi angielskiej. Kraków, 1911.

FOERSTER FR., D-r Prof. na politechnice i w uniwersytecie w Zurychu: Wychowanie człowieka. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Zeszyt I i II. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

HUXLEY THOMAS H.: Zasady fizyologii, w opracowaniu D-ra J. Rosenthala, prof. uniwersytetu w Erlangen, z upoważnienia D-ra Rosenthala przełożył D-r Adam Lange z czwartego poprawnego wydania niemieckiego. Nakładem Henryka Seidenfelda. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki.

JELEŃSKA EMMA: Jubileusz i inne nowele. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

JORDAN (Julian Wieniawski): Kartki z mego pamiętnika. Dwa tomy. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

KALENDARZ „Kroniki Rodzinnej“ na rok 1912. Z uwzględnieniem spraw opracował Ks. D-r M. Godlewski. Rok III. Warszawa, 1912. Nakład „Kroniki Rodzinnej.“

KUCHARZEWSKI JAN: Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi, oraz na Emigracji Zarys bibliograficzno-historyczny. Odbitka z „Przeglądu Narodowego.“ Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

LE BON GUSTAW, D-R: Psychologia wychowania. Przekład polski Izy Moszczeńskiej. „Biblioteka życia codziennego.“ Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

LICHTENBERGER ANDRZEJ: Nasza Minia. Powieść. Przekład z francuskiego Waławy Kiślańskiej. Część I i II. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dziel Wyborowych.“

MERCZYNG HENRYK: Polscy deści i wolnomysliciele za Jagiellonów. (Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“) Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

NOWACZYŃSKI ADOLF: Cyganerya warszawska. Sztuka w 4 aktach. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

PEABODY FR. B.: Jezus Chrystus i kwestya społeczna. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

ROCZNIK Gebethnera i Wolffa na rok 1912. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny, opracowany pod kierunkiem redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego,“ ozdobiony 200 ilustracyami, tablicami porównawczemi i portretami. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Tom IV. Rok 1910. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1911.

ROMER HELENA: Majaki. Powieść. Warszawa, 1911. Nakł. Geb. i Wolffa.

SACHS MARCELI: W pewnym domu. Wydanie drugie. Księgarnia powszechna w Warszawie.

SPRAWOZDANIE ze stanu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie w roku 1910. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1911.

SPRAWOZDANIE z czynności Wydziału Tow. Literackiego im. Ad. Mickiewicza we Lwowie za lata 1908—1910. Lwów, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.

SPRAWOZDANIE z działalności Ogrodów im. W. E. Rau'a w roku 1910.

SRKOWSKI MIECZYSLAW: Epigoni. Powieść. Wydanie nowe. Warszawa, Gebethner i Wolff.

STECKA M.: Edward Dembowski. Odbitka z „Przeglądu historycznego.“ Lwów, 1911. Polskie Towarzystwo Nakładowe.

SZYSZEŁO WITOLD: Małe Antylle i Jamajka. Z portretem autora. „Nowości literackie,“ tom. 51. Warszawa, 1911. Nakł. księgarni St. Sadowskiego.

ŚWIAT ZWIERZĄT: I. Zwierzęta ssące. Wydanie polskie pod redakcją prof. Jana Sosnowskiego. Zeszyt I i II. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

TOŁSTOJ LEW, HR.: Wojna i pokój rok 1812. Romans historyczny. Część XIII. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dziel Wyborowych.“

WIERZBIŃSKI MACIEJ: Pod Mysią więźą. Powieść współczesna. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

WINDAKIEWICZ S.: Adam Mickiewicz. Odczyt wypowiedziany na kursie uzupełniającym dla nauczycieli szkół średnich w dn. 5 i 6 kwietnia 1911 r. Kraków, 1911. Nakładem autora.

WYPISY HISTORYCZNE ilustrowane dla użytku młodzieży przy nauczaniu dziejów powszechnych, pod redakcją Kazimierza Wachowskiego. Zeszyt IV z 9 tablicami. Historia starożytna: Grecya (ciąg dalszy), opracowała D-r Justyna Jastrzębska. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

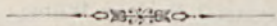
ZGLIŃSKI DANIEL: Wszeczmoc wyobraźni twórczej. Idee odległej przyszłości. Kraków, 1911. Księgarnia Literacka.

ZIMMERMANN KAZIMIERZ, KS. D-R: Ks. Patron Wawrzyński. Kraków, 1911. Nakładem autora.

ZŁOTE MYŚLI JULIUSZA SŁOWACKIEGO. Kolomyja, 1911.

ŻEROMSKI STEFAN: Aryman mści się. Godzina. Wydanie drugie. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

ŻULAWSKI JERZY: Gród Słońce. Baśń dramatyczna w trzech aktach. Nakładem Tow. wydawniczego we Lwowie, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.
